CZYTELNIA POLSKA

TOM IV.

IGNACY CHODŹKO.

PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

Dr. PIOTR CHMIELOWSKI.

CZĘŚĆ DRUGA.

KRAKÓW.
STARANIEM S. SZCZEPANOWSKIEGO i A. POTOCKIEGO.
1898.

W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

XV.

U pana Bielewicza. Wołodkiewicz.

W wielkich puszczach Radziwiłłowskich żyją podłowczowie jak w folwarkach. Książęta osadzają tam najwięcej swoich zasłużonych sług ze szlachty, i byle sprawowali się poczciwie, a stawali sprawnie i ochoczo na polowanie i obławy, mają tam kawał chleba z ojca na syna. Leśnicy włościanie zarabiają im ziemię i koszą siano po lasach; mają prócz tego pensyjkę ze skarbu książęcego; ze zwierzyny nie zdają ścisłego rachunku i niczego im nie braknie.

Tak sobie siedzi i pan Bielewicz, staruszek czerstwy jeszcze i jary. Sam odemknął nam wrota i wyprzedził mnie nawet w pobożnem powitaniu, bo ja na dziedzińcu lub w izbie chciałem powiedzieć: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* a on we wrotach tož samo powiedział; Marcin odpowiedział mu *na wieki wieków!* a ja zostałem się z niczem.

Podwórko małe ale czyste. Na środku krzyż z Męką Pańską, okratkowany i daszkiem pokryty; domek z pry-

zbami dla siedzenia i grzania się na słońcu, z większemi okienkami po jednej stronie w świetlicy, z mniejszemi przykurzonemi po drugiej w piekarni; naprzeciw domu świronek z oknami u strychu, za któremi tłuste połcie, polędwicy i kiełbasy wędzone dyndały na powietrzu; dalej inne gospodarskie, małe ale opatrzone stajenki, odryny i chlewki. Około nóg starego myśliwca dwoje psów gończych plątało się, a tłusty wyżeł leżał spokojnie na pryzbie.

— Bóg zapłać Jegomościu dobrodziejowi, żeś do mnie zawitał — rzekł pan Bielewicz.

— To ja przywiozłem dobrodzieja, bo to nowicyusz, nie wiedział gdzie zawrócić, a ja zawsze zaczynam kwestę od Jegomościa — odezwał się Marcin.

— Dziękuję więc i waszeci, panie Marcinie! rozgość się po staroświecku w stajni z siwą i dropiatym; *Eliasza* i *Barabasza* puść na osiedlicę, a jegomościa dobrodzieja do izby proszę.

W izbie znaleźliśmy młodą gosposię za krośnami; jest to córka pana Bielewicza. — No, Hanulko! rzekł do niej staruszek, dodaj do obiadu zabitego wczora szaraka, bo Bóg dał miłego gościa. A Jegomość dobrodziej dziś odpocznij u nas, bo choć niewiele jeszcze ujechałeś, ale wiele jeszcze masz przed sobą. Na obiad powrócą i moi synkowie, to i oni do nóg Jegomości dobrodziejowi uniżą się.

— Dziękuję, rzekłem, memu kochanemu dobrodziejowi za takie kordyalne mnie przyjęcie; na odpoczynek nawet do jutra chętnie przystaję, zwłaszcza że dzień dzisiejszy, za łaską Boską, dobre nam nadarzył spotkanie, które opowiedziałem panu Bielewiczowi.

— Jeździłem i ja niegdyś — rzekł on — po całej Litwie a szczególniej po województwie Mińskiem, gdym był dworzaninem u pana Wołodkowicza, niech Bóg świeci

nad jego duszą, gwałtem z tego świata na tamtem wypchniętą.

— Czy nie o tym Wołodkowiczu mówisz, który w Mińsku na trybunał napadł, i który strzelał baby jak kukawki?

— A o tym samym, tylko że to fałsz to strzelanie bab na drzewach, jakby nam innej zwierzyny mało było. Hajdamaka byłci to wprawdzie, ale też były czasy kaducznie hajdamackie; kto był zuchwalszy, kto duższy, ten i lepszy, ten miał i większą konsyderacyę, i szanowano go więcej, bo się lękano. Owszem, takiego gracza możniejsi panowie, potentaci nasi używali do sprawek i zuchwałości, na które sami odważyć się nie chcieli; dla tego nie było dnia, gdybyś nie posłyszał o zabojach, zajazdach i *wiolencyach* wszelkiego rodzaju.

Wołodkowicz był adherentem, a podobno i kolligatem naszego JO. pana i dobrodzieja, księcia Karola *panie kochanku*, który za życia swego ojca, księcia Michała *rybeńku* [1]) hetmana, był natenczas jeszcze miecznikiem litewskim. Szalona to za młodu była głowa, nim się piwko uchodziło. Kiedy zacznie bywało szumieć, a sprawiedliwiej mówiąc szaleć po Nieświżu, to *rybeńku* każe zwodzić mosty, aby do zamku nie wpadł. Więc gdy czy z jakiego partykularnego *rankoru*, czy z *imprezy* ułożonej, książe chciał komu dopiec, Wołodkowicz wnet stawał gotowy, i spełnił co do joty zamiary i wolę księcia dodawszy jeszcze i swojego.

Ale co najgorsze było, że w młodym wieku, bo wszystkiego nie miał lat trzydziestu, gdy zginął, polubił on sobie

---

[1]) Przysłowie księcia Michała Radziwiłła, wielkiego hetmana W. X. L.

często pałkę zalewać. Wtenczas taki z niego bywał waryat, że albo jemu pomagać, albo uciekać trzeba było. Samemu diabłuby nie ustąpił! Jakoż nieraz latał w nocy jak szalony z gołą szablą po polach, po błotach i cmentarzach, a wyzywał upiorów i diabłów na pojedynek, tylko że żaden nigdy nie stanął na placu. Natenczas skarżył się Wołodkowicz: — Co to za nieszczęście moje! książe Karol ile razy zechce, to bije się z diabłami, a ja nigdy żadnego doprosić się nie mogę.

Zły duchże i jemu podszepnął postanowienie zostania deputatem na trybunał na *kadencyę* ruską, która się w Mińsku odbywała, do czego także go książe prowadził i przyjaciołami Radziwiłłowskimi na sejmiku wspomagał; a nakoniec gdy został, do *sumptu* hojnie się dołożył, bo i kamienicę nam swoję w Mińsku na kwaterę oddał i z dóbr blizkich wszystkiego na kuchnię dostarczać kazał; a jeszcze przysłał *assygnacyę* do kupców na wino, ileby tylko nam potrzeba było

---

Z początku szło wszystko wyśmienicie. Pan statkował; wprawdzie bankietował i traktował po pańsku, ale nie szalał i nie hajdamaczył; obrano go nawet podskarbim trybunalskim. —

Marszałkiem trybunalskim był natenczas Sapieha [1]), a vice-marszałkiem *Morykoni*. Ale Sapieha nie przyjechał na początek sądów, a Wołodkowicz nie rad był, że niżej siedział od Morykoniego, którego Włochem i cudzoziemcem nazywał. Lecz i toby jeszcze uszło, bo pan Morykoni uważny i umiarkowany pan, puszczał słowa Wołodkowicza mimo uszu; ale przypadła jakaś sprawa naszego *familianta*, czy Radziwiłłowska, bo tego nie pamiętam, w której Wołodkowicz chciał na swojem postawić, a to nie udało się; powrócił więc z sądów jak lew rozjuszony i zaczął pić po dawnemu, przeklinając śmiertelnie cały świat, a wzywając i wyzywając wszystkich diabłów z całego piekła. Poznaliśmy, że będzie źle! Nuż my reflektować, nuż prosić, nic nie pomaga; zebrał hałastrę, która mu pić i wrzeszczeć pomagała, i nas pić przymusza. Całą noc, potem cały ranek jednostajna pijatyka i odkazanki, nakoniec pod wieczór wybiera się na trybunał.

Michał hrabia Sapieha, starosta puński, krajczy litewski, 1759—1760 r. Vice-marszałkiem Michał Morykoni, starosta poniński.

Wszyscy przytrzymywaliśmy go jak mogli, i za poły, i za ręce, i za pas; ja upadłem mu do nóg, prosząc, aby nie szedł. — *Kiryelejson!* — krzyknął — odpychając nas, bo to było jego przysłowie, gdy bywał w największej po pijanemu zajadłości. — Pójdę, choćby mnie tam diabli wziąść mieli! pójdę i nauczę tego Włocha, kto ja i kto za mną! — Widocznie ufał nieborak w Radziwiłła, a Radziwiłł był daleko!...

Szliśmy więc za nim; a że to było w wigilię festu Najświętszej Panny Maryi *Gromnicznej*, ofiarowałem się więc, leżąc krzyżem w czasie nabożeństwa, całej mszy tak wysłuchać, na *intencyę*, aby nam ten wieczór na sucho uszedł ale nie było mi potem czasu dopełnić tego *votum*.

Gdy przyszedł na ratusz, gdzie sądził się trybunał, warta puściła go jako deputata, choć sąd był w namowie; my zostaliśmy w izbie przeciwkowej, w tłumie palestry i panów aplikantów.

Ledwo drzwi za sobą zamknął Wołodkowicz, wszczął się tam zgiełk szalony, potem szczęk szabli, a nakoniec otworzyły się nagle drzwi i krzyknięto — *Warta! warta!*

Wtenczas ujrzeliśmy naszego pana przypartego do ściany, któremu odbierano szablę, a on *tuzał się* ze wszystkiemi i starał się dostać do drzwi.

W ten moment przypadł *Krajewski*, rotmistrz i komendant żołnierzy trybunalskich, a zanim kilkunastu *gemeinów*. — Kryminał! krzyczano ze wszystkich stron; krew ciekła z ręki pana *Dłuskiego,* deputata lidzkiego, a co najgorsza, kawałek krucyfixu, z rączką od figury srebrnej Pana Jezusa odcięty, leżał na stole. Poznałem, widząc to, że wyzywany po tyle razy szatan kierować natenczas musiał ręką mojego nieszczęśliwego pana, bo on, chcąc przez stół dostać pałaszem Morykoniego, gdy ten się uchylił, ciął po krucyfixie.

Porwał więc Krajewski ze swoimi Wołodkowicza, ale z wielką męką, bo to był człowiek młody, silny i *determinativus;* porąbałby i żołnierzy, gdyby Szwykowski, także deputat a sławny osiłek, nie wyrwał mu z rąk szabli. Kiedu już go tak wzięli obławą i prowadzili, to jest nieśli gwałtem, to jak się uparł we drzwiach rękami, aż uszaki wzruszał, a ze złości pienił się i ryczał, od czci i wiary wexując cały trybunał, a szafując diabłami że aż uszy więdły. Oj, nigdy ja nie zapomnę tego tertesu i samego Wołodkowicza, bo on natenczas był czysty potępieniec.

— Do turmy! do kordegardy! i okuć ekscessanta, kryminalistę! — zawołał Morykoni do Krajewskiego, — i wartować z ostrą bronią!

Poznałem, że nieprzelewki! Poleciałem więc do kwatery, porwałem garść dukatów ze szkatuły pańskiej, która zawsze była pod moim kluczem, dopadłem konia i ruszyłem, ile on mógł wyskoczyć do Nieświża szukając księcia Karola, bo on jeden mógł nas uratować.

O mil ośm koń padł, szczęściem blizko karczemki, kupiłem u żyda drugiego, płacąc ile chciał, i leciałem dalej. Stanąłem w Nieświżu w nocy. Dostukałem się do dworku znajomego mi doktora, i dowiedziałem się, że księcia miecznika niema, że polował aż w Białej [1]) na niedźwiedzie. Odmieniwszy więc znowu konia, puściłem się dalej. Noc ciemna choć oko wykol, i zawierucha powstała okrutna. Zbiłem się z drogi i musiałem czekać dnia w blizkim od Nieświża zaścianku, a nazajutrz, dostawszy już saneczki, jechałem prawda, wygodniej, ale nie tak pospiesznie, jak rzecz wymagała.

Szóstego aż dnia pod wieczór dopadłem księcia i to w głębokich tutejszych ostępach. Gdym opowiedział co się w Mińsku stało, książę jak oniemiał. — Panie kochanku! — krzyknął potem — Pan Michał sfiksował się!

— Ratuj, książę panie, bo zginie!

— Ja go z turmy wyratuję, choćby przyszło odbić, ale od biedy nie wyratuję. Niema on co popasywać w kraju. To eksces niesłychany!

Książę wnet zabrał myślistwo, i w nocy przyciągnęliśmy do Białej.

Wielu godnych panów i z sąsiedztwa i przybyłych z księciem, polowało z nim razem, którym gdy książe opowiedział z czem przyjechałem i zapytał o radę, każdy inną podawał: jedni zupełnie zaniechać i nie wtrącać się do niczego; drudzy pisać do Sapiehy, do Morykoniego i deputatów; inni, a między tymi pan Sołohub, nieodstępujący nigdy księcia, i bodaj przez ojca mu do konfi-

[1]) Hrabstwo bialskie w obwodzie białostockim.

dencyi akkomodowany, radził jechać do Nieświża i spuścić się na influencyę księcia hetmana. — Radzicie mi wszyscy, odezwał się książę, jak tchórze i partacze! a waść milczałbyś, rzekł do Sohołuba. Mam opuścić przyjaciela w nieszczęściu? Nic z tego nie będzie. Nie jedź sobie kiedy nie chcesz, panie kochanku! obejdę się i bez konsyliarzów, a dyrektorów moich dawno diabli pobrali. Mam zajechać do księcia ojca? a toć *rybeńku* nie puści mnie i za próg z zamku; każe *Mazzaniemu* [1]) zamknąć bramy, mosty pozwodzić, i księcia miecznika bez ceremonii do kozy zapakuje. Czyto już raz tak bywało? Czy waść sam, panie kochanku, nie instancyowałeś za mną w takich terminach? I prawdę mówiąc, za to tylko cierpię twoją filozofią i morały, któremi mię codzień napastujesz a z któremi schowaj się teraz.

— Jednakowoż, mówiono księciu, Wołodkowicz po takim *excessie* sądu i kary ujść nie może, a spokojną i łagodną *influencyą* więcej książe dokażesz, niżeli gwałtownym raptem na miasto i na trybunał, a zatem gorszym jeszcze *excessem*, który splami na zawsze honor i imię księcia, a zmartwi najmocniej księcia hetmana, ojca waszej książęcej mości!

I nakoniec... — zaczął znowu Sołohub.

— Cóż nakoniec? — przerwał mu rozgniewany książę.

Nakoniec możeby przyszło, cedził lękliwie jak przez zęby Sołohub, możeby przyszło waszej książęcej mości zmykać razem z Wołodkowiczem z kraju przed powszechną akklamacyą, a potem starać się żelaznego listu, czego jeszcze z żadnym Radziwiłłem nie było.

---

[1]) Mazzani, komendant tamtoczasowy zamku i fortecy Nieświżskiej.

Książę milczał, tylko głową kręcił; poznałem, że już miękczał w zapędzie; odezwał się jednakże, — Kossowski! a waśc co na to?

Kossowski ten żyje i teraz przy księciu; książe go lubi i z nim najczęściej baraszkuje, bo to wielki koncepcista, wydrwiwacz i śmieszne bardzo komedye udaje. Jak tylko książę siedzi smutny, spuściwszy głowę i kułakami w kolana swoje tłucze, co znaczy że w złym humorze, albo że się gniewa na kogo, zaraz posyłają po Kossowskiego; już on potrafi i rozweselić pana, i wyprosić *pardon* dla winnego i w humor dobry wprowadzić [1]).

---

[1]) Kossowski był aktorem teatru nieświżskiego, a lubo teatr ten bywał tylko w czasie karnawałów i nie trwał stale, Kossowski jednak ciągle rezydował na dworze księcia, bez żadnego innego obowiązku, jak księcia i licznych zawsze gości dowcipem swym bawić i rozrywać. Nie był to trefniś z profesyi ale niejako locum tenens tej funkcyi. Nie odstępował on nigdy dworu i wszędzie bywał z księciem. Zdarzyło się, że raz w Warszawie król dowiedział się o nim. Ciekawy jego dowcipu i porównania z własnym podobnymże egzemplarzem, zaprosił księcia na obiad, obowiązując, aby w asystencyi swojej miał i Kossowskiego. Stało się jak król żądał. Gdy usiedli do obiadu, królewski chodził koło stołu i jak mógł zdobywał się na koncepta. Kossowski stał spokojnie i milczał; nagabany nawet przez kolegę, zbywał go niczem. Po obiedzie król nie kontent z milczenia Kossowskiego:

— Mówiono mi, rzekł doń, żeś dowcipny i wesoły; dlaczegóżeś dziś tak milczący? powiedz przynajmniej, co myślisz o moim faceciście, któregoś tak spokojnie słuchał?

— Nie śmię, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział kłaniając się najpokorniej Kossowski.

— Mów śmiało, proszę.

— Bez ogródek? Najjaśniejszy Panie!

— Bez ogródek.

A wszyscy zbliżyli się i słuchali.

— On, rzekł Kossowski, większy głupiec, niż błazen.

Czasami nawet przytnie księciu; ale i to jemu uchodzi, bo książę go lubi i zna przywiązanie do siebie. Kossowski tedy na zapytanie księcia odpowiedział:

— Mnie się zdaje, mości książe, że jak zaczniem *klin klinem* wybijać, gdyby nas *kliny* nierozparły.

— Mówcie co chcecie, rzekł nakoniec książę, ja pana Michała nie odstąpię. On duszą i ciałem mój! on mój przyjaciel *a corde!* a ja mam spokojnie czekać aż zginie. Nie moi panowie! nie!

— Kulesza! (to był łowczy księcia) ruszaj, panie kochanku, z całem myśliwstwem dniem i nocą do Kojdanowa; omijaj *Nieśwież;* w Kojdanowie [1]) *roztasuj się* w miasteczku i czekaj na mnie kupno; a rozpuść głos, że za przybyciem mojem pociągniem w Nalibockie lasy na dziki.

Myśliwstwo nasze, mój dobrodzieju to nie żart. Każdy strzelec ma barwę i porządny rynsztunek; kurtka i szarawary zielone, pas skórzany szeroki, z tyłu na sprzążki mosiężne spięty, z dwoma tuzinami ładunków, a przy nich flaszka oplatana z wódeczką, i w osobnej kieszonce nóż, krzesiwa, skałki i inne myśliwskie sprzęciki; fuzya także na zielonej taśmie przez ramię, a przez drugie na takimże

---

Kossowski więc znał różnicę prawdziwego dowcipu od śmiałego tylko głupstwa.

Inną razą jakiś możny pan, gość w Nieświżu, spotkawszy Kossowskiego, rzekł doń:

— Kossowski! bądź u mnie.

— Jakto? z wizytą?

— Nie, na rezydencyi.

— A jakże nas dwóch pomieści się?...

[1]) Kojdanów, miasteczko Radziwiłłowskie, o mil pięć od Mińska.

sznurze trąbka, przytem koń z całem moderunkiem i para pistoletów w olstrach, a przy siodle trok na zwierzynę, oto cały porządek, bez którego gdyby książę którego złapał, dałby sworami ze służby odprawę. A takich ludzi było i zawsze jest na polowaniu około księcia ze sto, nie licząc łowczych bo my, jak oficerowie tego wojska, uwijamy się i komenderujem na obławach.

Nazajutrz, a był to już dzień siódmy od mojego wyjazdu z Mińska, puściliśmy się podróż. Na jednych wielkich saniach łubem obitych, na jakich pospolicie w ostępy na obławy się jeździ, jechał książę z panem Sołohubem i z hajdukiem, na drugich ja z Kossowskim i z jednym książęcym pokojowym po cztery konie gęsiorem w zaprzęgu.

Książę nie folgował ani sobie, ani ludziom, ani koniom, ale cóż, kiedy nocami jechać nie mogliśmy? bo taka ciemność, a zawieruchy tak strasznie mroźne i nieustanne, że koniecznie noclegi odbywać przychodziło. Nałożyliśmy jeszcze drogi manowcami, mijając Nieświż; a tak, aż piątego dnia stanęliśmy w Kojdanowie. Znaleźliśmy już tam *Kuleszę* z myśliwstwem, który tegoż dnia rano tam się przybił, lubo wielu w drodze poprzystawało, i przez cały dzień ściągali się pojedyńczo. A to już był dzień dwunasty od mego z Mińska wyjazdu...

Córka przerwała dyskurs pana Bielewicza, donosząc, że obiad gotowy.

Zebrała się więc drużyna; chłopcy dwa dorodne, synkowie gospodarza, wrócili z lasów, i zasiedliśmy stół, odwiedziwszy wprzód puzderko. Panna Anna uwijała się jako gospodyni, przysiadała z nami, ale często wybiegała

do piekarni; pomagał jej Marcin i przynosił potrawy, ale *per modum* jak przyjaciel, nie jak sługa, bo razem z nami nakładał sobie na miskę. Jedliśmy na talerzach z pięknej słuckiej gliny, białej jak farfura.

Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie jadłem, zając i bekasy pieczone, a *sielanka* na trzecie; a nakoniec przyniosła Anna dzban polewany jabłeczniku, któryby nam wszystkim wystarczył, gdyby się we drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten, ujmując niby fatygi panience a ciężaru dzbanowi, połowę duszkiem wychylił, i stawiając resztę na stole. — To — rzekł, — lepsze bodaj, jak nasze klasztorne piwo, które jeszcze ks. kanaparz chrzci wodą dla czeladzi, niech mu Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przynajmniej lat dwie. Oj, znam ja się na tem!

— Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi dzban.

— Lżej mi teraz, widzisz jegomość, gospodarzyć, gdy się dochowałem własnej gospodyni i tych chłopców. Lat ośm jak odumarła mi żona. Napłakałem się! Bogu o tem wiedzieć; a co się zmarnowało i potraciło w chudobie przez cudze ręce, tego już nie spędzić.

— Zdaje się, — rzekłem, — że i tej gosposi wkrótce możesz się pozbyć, choć chwała Bogu innym sposobem.

— Prawda, rozumiem; już miałem kilku swatów, ależ za to mogę nabyć na jej miejsce dwie synowe.

— Niech Bóg błogosławi — rzekłem. A tymczasem panna Anna drugi dzban jabłeczniku przyniosła.

Podziękowawszy Bogu a potem gospodarzowi za tak wyśmienite uraczenie, prosiłem o koniec *historyi* Wołodkowicza.

Pójdźmy mój dobrodzieju, — rzekł gospodarz — do odryny na świeże sianko; odpoczniem trochę, a potem dopowiem jegomości wszystkiego.

Gdyśmy się razem prawie ocknęli, przypomniałem obietnicę.

— A na czemże stanąłem? — zapytał Bielewicz.

— Stanęliście w Kojdanowie z Księciem.

— A tak w Kojdanowie znaleźliśmy pełną karczmę ichmościów to do Mińska to z Mińska, jadących; niektórzy nawet oczekiwali na księcia, dowiedziawszy się od Kuleszy, że wkrótce tu przybędzie.

Pierwsza nowina nieszczęśliwa, którą nam jadący z Mińska hurmem wykrzyknęli, to: — Wołodkowicz dziś rano osądzony na śmierć, *in triduo* będzie rozstrzelany.

— Nie doczekają! — krzyknął książę, ja ich samych.... Kulesza! na koń z ludźmi i mnie wybierz konia najlepszego z pod którego strzelca. A piłaty te! a Herody nie sędziowie! Drżał cały ze złości i tupał nogami. Otóż to twoje mądre *consilia!* panie Sołohubie! Bodaj cię wszyscy dyabli wzięli! panie kochanku!

— A cóż ja winien? wszakże nie opóźniłem podróży waszej książęcej mości.

— Tak, ale przez całą drogę bębniłeś mi nad głową, że Sapieha przez wzgląd na mnie modyfikować będzie rygor prawa i skończy się na wieży fundowej, z której Wołodkowicz uciecze.

— Sapiehy-bo nie ma Mińsku, odezwał się jakiś jegomość. Vice-marszałek Morykoni trzyma laskę. Wprawdzie zaraz po akcyi kilku posłańców poleciało do Bychowa, bo i Morykoni wysłał od siebie, i plenipotent księcia kraj-

czego pchnął od siebie tatara. Powrócili wczora obadwa i odwieźli rezolucye. Jaka do Morykoniego? nie wiadomo. Do plenipotenta swego zaś odpisał, że wnet się sam wybiera do Mińska, a bez niego Wołodkowicza sądzić nie będą. Tymczasem, widać że trybunał pomiarkował coś z listu swego marszałka, więc zaraz Dłuski deputat lidzki, któremu Wołodkowicz rękę odciął, zrobił wniesienie; poczem nie schodząc z sądów i przez całą noc siedząc w namowie, zrana ogłosili dekret *poenam colli*, to znaczy na gardło i Wołodkowiczowi w kordygardzie przeczytali.

— Więc ani minuty nie ma do stracenia! — zawołał książę. *Periculum in mora!* panie kochanku! to znaczy się niebezpieczeństwo...

— Nie tłomacz mi jegomość łaciny, — przerwałem, bo ja umię po łacinie.

— Doprawdy? To ja pierwszego takiego kwestarza widzę, który umie po łacinie.

— A ja pierwszego podłowczego.

— I to prawda. No, to niechaj sobie... kwita.

— Dziwi mnie także — rzekłem, — jak wszystko tak wiernie pamiętać możesz, że słowa nawet powtarzasz.

— O! mój dobrodzieju! nie tak-że to dawno było; trzydziestu pono lat nie ma; a ja przegadując całą historyę nie sto razy i dzieciom swoim i różnym tak jak jegomość ciekawym, wyuczyłem się jej na pamięć.

Już tedy książę miał ruszać, choć noc była ciemna, jako i przeszłę.

— My za tobą, książę! — krzyknęli wszyscy zebrani w karczmie.

— Dziękuję, pokornie dziekuję, — rzekł książę, — że biednego Radziwiłła nie opuszczacie. Kto ze mną,

panie kochanku i ja z tym! A te tam Filistyny, na złość mnie chcą zabić mojego przyjaciela.

Wtem mocno zastukano do karczmy, a że pełną była, więc żyd i czeladź nie wpuszczała. Zastukał zatem w okno i zawołał ktoś: — A jest tu książę miecznik litewski?

— Jest panie kochanku! A kto waść taki?

— Rupejko, dobry sługa waszej książęcej mości. Jadę z Nieświeża i pilno mi do księcia pana.

— A puść pana podstolego — zawołał księżę.

Pan podstoli Rupejko, sławny głowacz, mecenas trybunalski żyje dotąd podobno, ale zebrawszy znaczną substancyę, wyniosł się na Żmudź i kupił tam fortunę. Był on sługą i plenipotentem księcia hetmana, a miał i u księcia miecznika wielkie zachowanie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł wchodząc. — Chwałaż Bogu że księcia złapałem.

— Na wieki wieków, panie kochanku! A na co mnie łapiesz? i zkąd wiedziałeś żem ja tutaj?

— Książę hetman, ojciec waszej książęcej mości, wie dokładnie *quo ad horam* obroty księcia; dlatego wysłał mnie tu wiedząc, że tu w. ks. m. myśliwstwu czekać na siebie kazałeś.

— Dobry hetman, panie kochanku, z mego pana ojca, gdy takich ma szpiegów. To wiecie zapewne już, że Wołodkowicz na śmierć osądzony?

— Nie, tego jeszcze nie widziałem, i książę hetman, gdym z zamku wyjeżdżał; ale jam to przewidywał, bo podług prawa stać się inaczej nie mogło.

— Nie mogło! nie mogło! otóż ja w tem, panie kochanku, że inaczej się stanie. No, o cóż więc idzie? panie podstoli, mów prędko, bo wnet siadam na konia.

— Czy nie mógłbym na osobności pomówić z księciem?

— Nie ma się czego wstydzić, panie podstoli! wszyscy tu są przyjaciele domu naszego, mów więc co masz.

A zatem zaczął perorować pan Rupejko przed księciem, jak przed trybunałem. Już oracyi spamiętać nie mogłem, choć pilnie i ja i wszyscy słuchaliśmy. Ale treść rzeczy była taka: że książę jako hetman, zakazuje księciu miecznikowi mięszać się w tę sprawę, a jako ojciec, zaklina, aby pamiętał na swoje imię; że Radziwiłłowie wiernie zawsze i poczciwie służyli krajowi; że salwowali często niewinność i sprawiedliwość, ale nigdy nie bronili takiej swawoli i występku, na który *horret animus!* że gdy książę hetman odmówił powiększenia warty trybunalskiej, a wasza książęca mość odbijesz teraz *delinkwenta*, który napadł na trybunał i któregoś sam na deputata wykierował, cała zatem wina tej akcyi padnie jak na syna, tak i na ojca, a cały świat *suplikować* będzie zmowę obudwóch z Wołodkowiczem na rozpędzenie trybunału, w którym zwłaszcza kilka spraw Radziwiłłowskich wątpliwego znaczenia *indukować* mamy. Słowem, Rupejko tak ze wszystkich stron dojeżdżał księcia, tak konwinkował, tak kruszył, nakoniec książę impetycznie zawołał:

— Dość, panie kochanku, dość! Dajże radę na miłość Boga, dajże radę!

— Rada krótka i gotowa mości książę! Zaniechać Mińska, wrócić do Nieświeża, uspokoić ojca.

— To niepodobna, panie podstoli, to niepodobna! Prawda, zgrzeszył Wołodkowicz i ciężko zgrzeszył, ale czyż dlatego ma umierać? Nikogo nie zabił, pokrzywdzonym czyni deprekacyę. Ja Dłuskiemu złotą rękę odleję. Występek, jak nazywacie *status*, niech w wieży fundowej odpokutuje... Ale śmierć panie kochanku, śmierć! Nieszczęśliwy człowiek! jego cała nadzieja we mnie, on mój od dzieciństwa przyjaciel! Panie podstoli radź inaczej, ja ci odwdzięczę! dalibóg odwdzięczę! panie kochanku.

— To poczciwe serce naszego księcia, gadali między sobą ichmość tam obecni; nie żal dla takiego zdrowie i życie ryzykować!

— Trudna insza rada, mości książę! — rzekł pan podstoli, zwłaszcza po dekrecie.

— Czy nie możnaby dopaść do Sapiehy?

— *In triduo* do Bychowa i nazad, rzecz niepodobna; a nakoniec cóż to pomoże, on dekretu trybunalskiego nie odmieni; tem spokojniejszym będzie, że pisał do księcia hetmana przez umyślnego, który dziś zrana odjechał z Nieświeża z rezolucyą; a w niej książę hetman zaręcza, że najmniej ochraniać Wołodkowicza nie myśli, że każdego gwałciciela spokojności krajowej ma za swego nieprzyjaciela. Toż samo odpisał i do pana vice-marszałka Morykoniego, który także odezwał się do księcia hetmana.

— A więc nie masz sposobu? — książę zapytał, patrząc w oczy Rupejce, który wzrok ku ziemi spuścił i dumał. Wszyscyśmy milczeli...

— Trybunał, mości książę! zaczął znów pan podstoli, odmienić swego dekretu nie może. Ale!... ale!...

— Cóż? panie kochanku! cóż? dla Boga! mów!

— Ale mógłby *suspendować egzekucyę* dekretu do jakiegoś terminu, a natenczas starania u majestatu...

Nie dał mu dokończyć książe, rzucił się Rupejce na szyję, ściskał go i całował.

— Panie kochanku! bierz co chcesz, byle tej *suspensyi* dopiąć. Potem wszystko łatwiej pójdzie. Jedź natychmiast do Mińska.

— Widzisz-bo książę, że jest jeszcze *cyrkumstancya*, nad którą mnie szczególniej zastanowić się trzeba. Książę hetman *publice* oświadczył, że ktokolwiek *directe* lub *indirecte* robić będzie jakiekolwiek *influencye* w tej sprawie, używając imienia Radziwiłłowskiego, już więcej progów nieświeżskich nie przestąpi.

— Bądź spokojny, panie kochanku! ja ojca łatwo przebłagam, zwłaszcza, gdy się rzecz bez raptu odejdzie. A moja przyjaźń panie podstoli, warta wszelakoż jakiejkolwiek *animadwersyi*.

Pan Rupejko znał dobrze, że lepsze słońce wschodzące aniżeli zachodzące, rzekł więc:

— Cóż mam robić? skarbiąc sobie względy waszej książęcej mości, zaraz jadę, dobiję się choć w nocy, albo równo ze dniem do Mińska, i będę pracował; a jeżeli mnie się uda skłonić Morykoniego...

— A jeżeli nie się uda? — odezwał się ktoś z kompanii.

Na to zawołanie, jakbyś *insperate* z pistoletu nad uchem palnął, książę stanął jak wryty, Rupejko spuścił głowę i wszyscy oniemieli.

I pewnie się nie uda, dodał tenże jegomość, kiedy będzie rzecz z panem starostą Morykonim. Ja go znam dobrze: to człek twardy jak stal, czyli, co na jedno wychodzi, uparty jak kozioł.

Wszystkie więc nadzieje i księcia i nasze w łeb wzięły razem, patrząc zwłaszcza na minę pana Rupejki.

— Jednakowoż, mości książę! — odezwał się nakoniec i pan Sołohub, niech pan podstoli próbuje szczęścia; projekt jego jest mądrym: bo tym jedynie sposobem możnaby salwować Wołodkowicza. Niech jedzie i *operuje;* my tymczasem zostańmy tu i czekajmy.

— Nim Wołodkowicza rozstrzelają, panie kochanku, albo nim książę hetman przyszle tu *husaryę*, aby nas do Nieświeża odprowadziła. Rozumna rada! niema co powiedzieć! Nie, panie kochanku! niech pan podstoli jedzie i operuje, ale niech przytem wiedzą panowie sędziowie trybunalscy, że ja tuż! i że gdy operacye nie pomogą, ja moje rozpocznę, i bodaj skuteczniejsze.

Po długich jeszcze *certamentach* i radach stanęło na tem, że pan podstoli wyjechał zaraz do Mińska, a my równo ze świtem wyruszyliśmy na obławy w lasy Smolewickie, które do samego prawie Mińska dotykają, a tam co godzina miał książę mieć wiadomości z miasta.

Potem każdy drzemał jak mógł. Książę siadł za stołem, położył na krzyż ręce na stole a głowę na rękach, i zaczął chrapać na całą izbę. Ja poszedłem do plebanii, bo znałem tam kalwińskiego Kina, który i teraz żyje jeszcze, człowiek to bardzo zacny. Rozbudziłem go, oznajmiłem o bytności księcia, i o tem, że równo ze dniem wyjeżdżamy. A on wnet się zawinął koło śniadania, jakoż jak tylko na brzask, przysłał do karczny kilka dzbanów grzanego piwa i wyśmienitych dwie misy zrazów, które znajdując książę odezwał się: — Otoż nam dogodził poczciwy Kin! gdyby nie *kalwin*, zrobiłbym go, panie kochanku, *infułatem ołyckim.*

Raniuteńko, książę i myśliwstwo całe i nowi przybysze przyjaciele, jedni z ciekawości, drudzy z życzliwości, siedliśmy na konie; a tak z półtorasta konnicy ciągnęło za księciem traktem mińskim, wszyscy gotowi na jedno słowo księcia, choć w ogień. Książę puścił się kłusem, i już mil

z parę ubiegliśmy a dzień piękny się zrobił, gdy ostrzeżono księcia, że konie słabieją i że wytchnąćby należało.

— Nic to, rzekł książę, kto ustanie to ustanie; pod Mińskiem popas, i tam posłyszym Rupejki, a potem...

Ledwo to wymówił książę, ujrzeliśmy lecącego ku nam od Mińska konnego; ja poznałem zdaleka naprzód konia naszego, a potem Surwinta, kolegę mojego w służbie Wołodkowicza. Spostrzegłszy on nas, przypuścił konia, i doskoczywszy przed księcia — *Już po wszystkiem!* rzekł *nie żyje!*

— Kto? Wołodkowicz? Zwaryowałeś?

— Wołodkowicz! Rozstrzelali!

— Jezus! Marya! Józef! Kłamstwo!

— Nie kłamstwo, mości książę! Na własne oczy widziałem trupa! leży w kordygardzie, i krew gorąca jeszcze ciekła z piersi i z uszu, gdym z Mińska wyleciał.

— Kiedy rozstrzelali?

— Dziś o wpół do trzeciej po północy.

— Gwałt! gwałt! krzyknął książę. A niech mię ziemia pożre, kiedy ja im to daruję. Wygubię tych rozbójników! Za mną! kto w Boga wierzy!

— I chciał puścić się pędem, ale wstrzymał konia za cugle Sołohub.

— Po co teraz? mości książę! Umarłego nie wskrzesim.

— Ja nie *Szczepanowski*, wskrzeszać nie umiem, ale zemścić się potrafię, ale *Piotrowinów* narobię! Niech ich potem kto chce wskrzesza. Ha! *Barabasze!* Puszczaj mnie, bo tobie samemu łeb rozpłatam. — I rwał się do pałasza.

A Sołohub zeskoczył z konia i stanął naprzeciw, trzymając ciągle książęcego konia za cugle.

— Płataj! jeżeli chcesz książę! wolej zrób ze mnie Piotrowinę, czy Szczepanowskiego, niżelibyś miał w Mińsku męczenników robić,

— Ale darmo do Mińska, rzekł Surwint, nie ma tam już ani pana Szczepanowskiego, ani pana Piotrowiny ani żadnego deputata, (trzeba Jegomości wiedzieć, że Surwint poczciwy Żmudzin ledwo podpisać się umiał i nie wiedział nic o cudach św. Stanisława), bo zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza rozjechali się wszyscy, a poprostu mówiąc pouciekali, i sam nawet pan Morykoni pojechał do Bychowa do księcia Sapiehy; a deputaci każdy w swoją stronę; ale nikt w tę stronę, bo wczoraj wieczorem rozszedł się po mieście rumor, że książę z wielkiem wojskiem lecisz na odbicie Wołodkowicza, i dla tego co mieli za trzy dni rozstrzelać, to nie czekając dekretowego terminu, rozstrzelali w nocy.

Książę więc zlazł z konia, spuścił głowę, *Requiem aeternam dona ei Domine!* po kilka razy powtarzał i ocierał z łez oczy.

Ja płakałem jak bóbr, a Surwint chlipał jak dziecko.

Książę siadł znowu na konia, zawrócił nazad i kazał Surwintowi jechać obok.

— Opowiedz mi waść całą tę tragedyą — rzekł do niego.

Niema co i mówić, JO. książę panie! zastrzelili i po wszystkiem — rzekł Surwint chlipając.

— Zgłupiałeś z wielkiego żalu, panie kochanku!

— A cóż? JO. książę! jak on napadł na trybunał...

— To wszystko wiem od Bielewicza; mów tylko, co było po dekrecie.

— Po dekrecie? Jak jemu przeczytali w kordygar-

dzie dekret, tak zaraz pan rotmistrz Krajewski rozkazał przynieść kajdanki. Wołodkowicz żadną miarą okuć siebie nie dozwalał. — Jestem szlachcic, mówił, kiedy potrzeba umrzeć, to dziej się wola Boża! Nie jestem nawet *jure victus*, bo nie dano mi ani czasu, ani patrona do obrony a zatem wara z kajdanami! wara!

Krajewski perswadował i przepraszał nawet, że musi spełnić dekret trybunalski. Jakoż choć się dąsał, przy pomocy jednak kilku gemejnów, włożono mu łańcuszki na nogi.

Wołodkowicz, obaczywszy się okutym gorzko płakać zaczął, załamawszy ręce, że aż wszystkim żal się jego zrobił. Opowiadał mnie to wszystko przy trupie, porucznik warty trybunalskiej pan Sielanko [1]).

Poprosił potem nieboszczyk Krajewskiego, aby mu dozwolił widzieć się z którymkolwiek swoim dworskim. Zgodził się rotmistrz. Posłano do kamienicy, i ja wnet przybiegłem. Oj! Bogu znać, a nie księciu opowiedzieć ja mogę, co się ze mną działo, gdym postrzegł okutego mojego pana. Hrymnąłem mu do nóg, i oba zaryczeliśmy z płaczu. Warta, choć to żołnierze, a płakali także, bo serce krajało się, i teraz się kraje, JO. książę panie!

— Czy jest mój brat pan Józef?

— Niema, odpowiedziałem, dostał maligny jak się dowiedział o nieszczęściu pańskiem, i zostawiłem go leżącego bez nadziei, bom był u niego.

— Gdzie Bielewicz? — zapytał.

— Zaraz po wzięciu pana poleciał do księcia Karola Radziwiłła.

---

[1]) Krajewski rotmistrz, a Sielanko porucznik warty trybunalskiej. Ostatni umarł jeszcze w 1812 r., w powiecie oszmiańskim.

— To dobrze! i z cicha dodał: książę Karol mnie nie opuści. A nie masz żadnej stamtąd wiadomości?

— Nie ma żadnej szczególnej, ale po mieście jak w bęben biją, że książę lada godzina wpadnie z wojskiem i odbije pana.

— Więc w Bogu nadzieja! rzekł on rzeźwiejąc trochę.

Rzucił potem na stół parę dukatów. — Krajewski! każ przynieść wina. Na frasunek napiję się z moim poczciwym Żmudzinem.

— Życzyłbym panu, odpowiedział Krajewski, upamiętać się; ostrzegam, że tu niema żartów. To nie taki frasunek, który w winie utopić można. Kiedy żelaza na nogach, o Bogu nie o ludziach myśleć trzeba; i dla tego ja życzę panu wezwać kapłana i wyspowiadać się.

— Wyspowiadam się, odpowiedział hardo mój pan, na Wielkanoc. Waść mi kajdanki włożyłeś, ale będzie taki, co zdejmie, i może kogoś niemi opatrzy. Każ przynieść wina!

— Nie tylko nie mogę wypełnić tego rozkazu, ale nie mogę dłużej zostawić tu sługi pańskiego. Panie Surwint! pożegnaj się z swoim panem i wychodź.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju! rzekłem wtenczas ściskając jego kolana, pofolguj. Czy to nie dość za takie błazeństwo, że pana mego, który jest pan z panów, w kordygardzie trzymacie, żeście mu łańcuszki włożyli, że go śmiercią straszycie, żeby jeszcze i dłużej tak go dręczyć? Wszak zresztą panu Dłuskiemu palce się pogoiły, a z Panem Bogiem łatwiej jak z ludźmi. Za przypadkowe przycięcie krucyfixu zmuruje kościół mój pan; chwała Bogu ma z czego. Dalibóg, panie rotmistrzu, puszczaj nas już jegomość wolno, a i sam nie pożałujesz tego.

— Jesteś poczciwy szlachcic, panie Surwint, odpowiedział mi Krajewski, ale wybaczaj, głowa nie do rady. Wiedz o tem, rzekł jeszcze, biorąc mię za rękę, że ani ja sądzę, ani ja kuję, ani ja strzelam. Trybunał osądził, trybunał zakuł, trybunał i... — Zamilkł Krajewski, a Wołodkowicz dokończył — i *rozstrzela!*

Usiadł potem na zydlu za stołem, głowę oparł na rękach i zamyślił się. Krajewski także milczał, a ja płakałem stojąc jak wryty. Nakoniec rotmistrz powtórzył mnie znowu rozkaz pożegnania się z panem i odejścia; zbliżyłem się więc do biednego zamyślonego, a on, nie podejmując głowy: Bądź zdrów! — powiedział — obaczym się może i na Józafatowej dolinie! — a ciszej dodał: Kiedy do jutra rana nie będzie tu Radziwiłła, leć do Nieświeża, bo zginę!

Nie wiem, czy Krajewski to słyszał, ale ja ucałowałem kolana pańskie i wyszedłem, niosąc kamień na sercu.

W mieście był ruch szalony. Trybunał jeszcze ściślej się zaparł; warty wszędzie i w bramie i na schodach srogie porozstawiano; po ulicach i na rynku panowie palestranty, aplikanty, ajenty i rejenty, kompaniami chodzili, rezonując i wróżąc i tak i owak.

Jedni mówili: Już po nim! Dekret trybunalski! appelacya do Pana Boga! spadnie gałka! — Drudzy mówili: Trybunał z dekretem, a Radziwiłł z muszkietem! Obaczym zaraz gościa, mówili... On go z tej kozy wydobędzie, a od Radziwiłła, to już go i sam dyabeł nie wydobędzie.

Inni znowu mówili, że za porąbanie krucyfiksu będzie musiał po *absolucyę* piechotą do Rzymu wędrować, a drudzy, że będzie musiał dyscyplinować się u Bernardynów, pod lampą. — To mówili: Dyscyplinował on niejednego,

niechże popróbuje tegoż samego specyału! — Ale wszyscy ciekawi byli końca, a nikt bodaj nie wierzył, że stanie się podług dekretu.

Gdym wyszedł z kordygardy, otoczyła mnie tłuszcza wielka, sypiąc pytania bez końca, ale mnie jakby mowę zajęło i w głowie się pomięszało; rozpychałem tłum, nic nie odpowiadając i wpadłem do kościoła OO. Bernardynów, otwartego przed nieszporami, dałem talara na litanie i na *Sequeris* i krzyżem leżąc, słuchałem tego...

— Mniejsza — rzekł książę — o twoje własne *particularitates;* mów, co się działo z Wołodkowiczem?

— On, jak mnie powiadano, po mojem wyjściu doprosił się u Krajewskiego butelki wina, wypił ją duszkiem, rozciągnął się na swojem łóżku, bo mu pierwej już dali łóżko i pościel, i zasnął w najlepsze.

Tymczasem nadszedł wieczór; Krajewskiego wezwano do trybunału; bawił tam godzin parę, czy więcej; obudził Wołodkowicza, wyjął z zanadrza papier i rzekł doń: Czytaj!

A był to rozkaz na piśmie dany od trybunału Krajewskiemu, rozstrzelania *delinkwenta* we trzy godziny.

— Jakto? — zrywając się z łóżka krzyknął Wołodkowicz. Dekret dał mi czasu trzy dni. Ciż sami podpisali ten rozkaz, którzy podpisali i dekret.

Dobył potem Krajewski zegarek — wpół do dwunastej, rzekł; masz czasu do wpół do trzeciej. Za każdą minutę odpowiedzialny jestem. Polecaj Bogu twą duszę. Niema żadnego ratunku. Posłałem po księdza.

— To być nie może! to być nie może, żebym miał tak marnie zginąć! — gadał Wołodkowicz, suwając prędko spętanemi nogami, a wlokąc łańcuchy po cegłach. Szwy-

kowski! mój brat cioteczny! Boże mój! i on mnie potępił! Panie Krajewski! Bogu i ludziom odpowiesz.

Wtem wszedł ksiądz i Krajewski, postawiwszy czterech żołnierzy z nabitą bronią we środku przy drzwiach, rzekł do nich: Baczność na delinkwenta! głową odpowiadacie. — Sam wyszedł.

— Trzeba wiedzieć, JO. książę panie, że ja z kościoła poszedłem do celi księdza, brata mego stryjecznego, także Surwinta, spowiednika w klasztorze mińskim. Siedziałem tam, jak zabity, bo spać nie mogłem, a równo ze dniem myślałem ruszyć do Nieświeża, szukając księcia. Otóż właśnie wszedł do mojego brata ksiądz gwardyan, a za nim żołnierz.

— Idź, ojcze, za tym żołnierzem — rzekł gwardyan, — wyspowiadasz i przygotujesz na śmierć Wołodkowicza.

— Pan rotmistrz kazał mi prosić — odezwał się żołnierz, — aby ksiądz spowiednik wziął z sobą wijatyk, lecz aby szedł bez dzwoneczka.

— Jakto? — rzekłem, — wszakże jeszcze dwa dni z dekretu mu się należy.

— Ja tego nie wiem — odpowiedział żołnierz, — a robię, co mi kazano.

Szedłem z księdzem spowiednikiem, ale Krajewski rozstawił naokoło kordygardy, na rynku, na kroków jakich pięćdziesiąt, szyldwachy i kazał strzelać, jeżeliby kto za tę linię przestąpić ważył się; i kiedy kto się przybliżał, to szyldwach krzyczał: Nie następuj, bo strzelę!

Księdza spowiednika więc przeprowadzono, a ja musiałem zostać. Ludu też było pełno na rynku, a z sądowej izby trybunalskiej świeciły się okna, jak z kościoła podczas roratów.

Lecz wreszcie tłum rozchodzić się począł. — Już dziś nic nie będzie, mówili. Zwyczajnie Wołodkowicz zapotrzebował księdza, to mu go przyprowadzili, ale kiedy rozstrzelają, — to chyba na trzecim dniu. Ale ja doczekiwałem powrotu księdza brata i oka z kordygardy nie spuszczając. W oknach tam światła biegały, jakby przenoszone z miejsca na miejsce, ale nie mogłem zmiarkować, coby to było.

Nagle i raptem błyskawica tam i piorun!... szyldwachy stanęli jak wryci; wnet strzał drugi mniejszy, a potem cicho i jedna już tylko świeczka migała przez szybkę w kordygardzie. Mnie mrówki przeszły po skórze. Lud z domów wysypywać się zaczął; a ja ujrzałem księdza brata umykającego spiesznym krokiem przez rynek; zabiegłem mu drogę, schwyciłem za rękę: Stój! księże!

— Wołodkowicz już przed Bogiem. Chodź ze mną.

— Nie — rzekłem, trzęsąc się jak osika, — pójdę, obaczę nieszczęśliwego pana mojego.

— Próżno, nie wpuszczą cię. Chodź, — mówię — ze mną. I pociągnął mnie za rękę. — Otóż JO. książę, w celi, gdy mnie trochę drżączka odeszła, opowiedział mi ksiądz brat ostatni *termin* Wołodkowicza.

Gdy przybył ksiądz, on jeszcze włóczył się po kordygardzie, dąsał się i złorzeczył, ale jak postawił krucyfiks na stole, a przed krucyfiksem złożył święty wijatyk, Wołodkowicz spojrzał na Ukrzyżowanego i przyszedł mu widać na pamięć jego eksces i rozcięcie krzyża sądowego; upadł więc na kolana — O Chryste Jezu! — zawołał, płacząc — zgrzeszyłem! śmiertelnie zgrzeszyłem! ale żałuję z całego serca, z całej duszy żałuję! Przepuść winę moją i kiedy już mam śmiercią zapieczętować grzechy, dajże mi przynajmniej stanąć przed Tobą z czystem su-

mieniem. Ojcze! spowiadaj mnie! — Odeszliśmy więc, powiadał mi ksiądz brat, w drugi koniec izby; usiadłem na zydlu, on ukląkł i z całego życia najszczerszą spowiedź uczynił.

Daj Boże każdemu dobremu taką skruchę i żal mieć szczery, jako ten nieszczęśliwy. Uznał w zgonie swoim wolę Boską i skrócenie czasu, któregoby pewnie użył na dalszy grzeszny jako i dotąd żywot, przebaczył swoim sędziom, słowem, ze lwa srogiego stał się łagodnym barankiem.

Rozgrzeszyłem go więc i mam nadzieję w Bogu dobrotliwym, że co rozwiązałem na ziemi, rozwiązanem będzie i w niebie. Zaczęliśmy potem mówić psalmy pokutne, a potem modlitwy nad konającym. Oj, ciężki to obowiązek kapłana, mój bracie, powiadał mi ksiądz brat, kiedy rozmawiać musi z tym, który za chwilę z Bogiem rozmawiać będzie... Serce mi się krajało z żalu, i własnem życiem odkupiłbym młode jego lata. Wszedł Krajewski. Ja coraz to dłuższe wynajdywałem modlitwy... a nuż cud Boski... i skądkolwiek salva!!!

Krajewski spojrzał na zegarek na stole leżący, na który ja oczu obrócić nie śmiałem, — powiadał ksiądz brat — przeszedł się jeszcze z kilkanaście razy, nareszcie rzekł do mnie:

— Ojcze! uczyniłeś twoją powinność gorliwie, ja muszę moją wypełnić!...

— Panie rotmistrzu! — rzekł, powstając z klęczek Wołodkowicz, — na dowód, żem szczerze z Bogiem się pojednał i żadnego w sercu do nikogo nie zachowuję gniewu, proszę, podaj mi rękę. Krajewski podał mu rękę, a drugą łzy sobie obcierał. — Panie! rzekł mu przytem, mówiłem, że nie ja sądzę, nie ja rozstrzelam, a przeklinam moją nieszczęśliwą teraźniejszą godzinę. Księże! wracaj już do siebie...

— Nie — rzekł Wołodkowicz, — nie opuszczaj mnie, ojcze! Patrząc na tego, który mnie z Bogiem pogodził, lżej mi będzie umierać.

Nie mogłem odmówić już jakby konającemu tej prawdziwie kapłańskiej posługi, ale Bogu wiedzieć, jak mi to ciężko było.

— Panie! — rzekł znowu Krajewski, — czas jest... Skinął na unteroficera, a ten wprowadził sześciu żołnierzy z bronią na ramieniu. Stanęli obok czterech wartujących.

Przeraziło to mocno Wołodkowicza; załamał nieborak ręce — O Boże! Boże! — wykrzyknął — o bracie mój Józefie! o Włodzimierzu biskupie, stryju mój! krewni! przyjaciele moi! gdzież jesteście? Książę Karolu! gdzieś ty?

— Nie gadaj waść, nie gadaj — przerwał książę, becząc w głos, jak dziecko — nie gadaj, bo wytrzymać mi trudno... Darował on nieprzyjaciołom swoim, ale ja im dalibóg nie daruję... gdyby zginąć przyszło!!!

— Jakże dalej?

— Dalej mówił znowu Krajewski do Wołodkowicza: Nie zechcesz zapewne, abym gwałtem...

Wołodkowicz nic już nie odpowiedział, stał oniemiały, jakby bez przytomności.

Dwóch żołnierzy wzięło go pod ręce i podprowadzili, a raczej podciągnęli go do muru, Krajewski zawiązał mu oczy; ale że ustać na nogach nie mógł, opuścili go więc na klęczki.

— Ja przybliżyłem się natenczas — powiadał ksiądz brat — i przykładając krucyfiks do ust jego, rzekłem

głośno: Polecaj się Bogu, Michale i ufaj w Jego miłosierdzie!

Cud boski! cud! Na te moje słowa odzyskał siły i przytomność, ucałował krzyż. Krajewski dał mi znak... oddaliłem się, a Wołodkowicz zaczął mówić: *W ręce Twoje, o Boże, polecam...* Kule przecięły mowę i modlitwę; upadł, ale padając, krzyknął: Jezus! Marya! Józef!...

Podskoczył Krajewski; Wołodkowicz żył jeszcze i rzucał się na ziemi, lubo krew rynsztokiem płynęła; skinął więc na unteroficera, a ten z pistoletu wystrzelił mu w ucho i dobił.

— Wyszedłem ja zaraz, JO. książę, od księdza brata — mówił dalej Surwint.

— Mniejsza tam zresztą, panie kochanku!...

— Nie, JO. książę, bo wyszedłszy sam, widziałem jak deputaci w nocy wyjeżdżali z miasta i doprosiłem się do trupa; obaczyłem więc kochanego mojego pana! pomodliłem się przy nim za jego duszę i dowiedziałem się, że dlatego odrazu nie zabito, że on, jako pobożny katolik (ktoby się spodziewał, patrząc na jego hajdamactwa i swawole), nosił na piersiach obraz Najświętszej Panny na srebrnej blasze, to Ona trzy kule odbiła od jego serca i za żupanem je znaleziono.

— A czemużeś waść tych kul nie przywiózł — rzekł książę.

— Pan rotmistrz zabrał je sobie; prosiłem choć jednej i mówiłem, że zawiozę JO. księciu panu.

— Oho! — odpowiedział Krajewski, — żeby potem niemi mnie potraktował? Nie dam żadnej... i wyprawił

mnie z kordygardy. Więc ja wnet na konia i spotkałem waszą książęcą mość.

Po tem opowiadaniu Surwinta, jechaliśmy cicho, książę milczał, ani słowa do nikogo nie rzekł; i tak w kilka godzin dojechaliśmy do Swierżnia. Książę zawrócił przed kościół, zawołał plebana, dał mu kilka dukatów, kazał dzwonić za duszę Wołodkowicza, a ponieważ jeszcze nie po mszy był ksiądz, więc mu żałobną mieć zalecił. Wszyscy słuchaliśmy jej nabożnie, a po ukończeniu, książę zaintonował: *Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!* a zatem w półtorasta przynajmniej głosów prześpiewaliśmy to polecenie duszy Wołodkowicza Bogu. Książę odprawił myśliwstwo, a poglądając na nas z Surwintem, zapytał: Czy waść szlachta?

— Szlachcic jestem, mości książę, z pod Oszmiany.

— A, to waść szlachcic oszmiański! a czemuż to Panie-kochanku, obie nogi masz w butach? (Bo musiałeś to jegomość słyszeć, że nie wiedzieć skąd jest ta pogłoska, że okoliczna szlachta oszmiańska jedną nogę w bucie, a drugą w łapciu nosi).

— A ja — odezwał się Surwint — szlachcic z pod Rosień.

— A, to waść Żmudzin, Panie-kochanku! No! obadwa z poczciwych gniazd i poczciwi ludzie widać jesteście, bo przywiązani do waszego pana, macie więc u mnie służbę: jeżeli zgoda, to ze mną do Nieświeża; potem obaczym, kto do czego zdatny.

Uścisnęliśmy kolana księcia i za nim ruszyliśmy w tropy.

Otóż masz jegomość dobrodziej całą historyę śmierci Wołodkowicza, jakbyś na nią patrzał, a na ostatni koniec

Hanulka moja zaśpiewa jegomości pieśń o nim, którą on sam przed śmiercią ułożył. Anulku! Hanulku!

Przybiegła dziewczyna do wrót odryny.

— Zaśpiewaj jegomości pieśń o Wołodkowiczu.

— Zapomniałam tatuleńku!

— Nie kłam, moje dziecię! onegdaj jeszcze prześpiewałaś ją od deski do deski przed panem Żabczycem, twoim *per modum* kawalerem, więc śpiewaj mnie zaraz.

Panna Anna zaczerwieniła się i spuściwszy oczy, zaczęła śpiewać. Niema co mówić, głos bardzo piękny i cienki.

Obacz ojczyzno, jaka twoja strata!
Gdzie twa nadzieja? kędy moje lata?
Ledwie ze światem zabieram przymierze,
Jeden mi życie cudzoziemiec bierze.
Wiadomy Bogu, przyjaciołom miły,
W śmiertelne od was dziś idę mogiły.
Nie exces żaden, ani krwi wylanie (???)
Lecz zazdrość pisze z światem mi rozstanie.
Dom starożytny, senatorskie progi,
Stargał to wszystko jeden tyran srogi!
Jak niegdyś Tracki Buzyrys dla koni
Krew ludzką miotał, zjadł mnie Morykoni.
Sądowa izba, spraw wszelkich świątnica,
Istotna dla mnie stała się rzeźnica.
Przebóg! wszak prawo powzięte z ryczałtu
Nie każe czynić przed sądami gwałtu!
Mnie z sądów wziąwszy sędziego elekta
W równości kreślą, formują dekreta.
Omijam innych, ty ciotecznym bratem
Szwykowski będąc, stałeś mi się katem;
Z mych ręku przez cię odebrana szabla,
Krew niewinnego wzlewa na cię Abla.
Sądzą mnie zatem nie dawszy patrona —
Wszak i zabójcom wolna jest obrona —

Kują i biorą do ścisłej katuszy
Trzy ledwo wolne godziny dla duszy.
Najświętsze, proszę, dajcie sakramenta —
Zegarek na stół — tak liczą momenta!
Wtem i ta Matka, co cały świat broni,
Wtenczas mnie swoim puklerzem zasłoni,
Gdy blisko do mnie wystrzelone kule,
Od jej obrazu spadły jak pakule.
Czynią poprawę, srogości dość ze mną!
Zatem gdy acz co wszystkich nas nie minie
Nim się w Józefatowej obaczym dolinie,
Żegnam cne domy, gdy mi czas domierza,
Stryja pasterza żegnam Włodzimierza,
Byłeś mi ojcem i nie skąpym w darach,
W najświętszych pamięć miej o mnie ofiarach [1]).

— To widzi jegomość, jak to on składnie skoncypował i jeszcze kilku godzinami przed śmiercią; to także cud — dodał Bielewicz, — bo on przez całe życie książki ani pióra w ręku nie trzymał.

— Chyba po śmierci tę pieśń ułożył — rzekłem.

— Jakto? — zapytał zdziwiony Bielewicz.

— A naturalnie, że chyba po śmierci, bo jakżeby mógł pisać o tych kulach, które od obrazu Matki Boskiej odbiły się?

— Ach! poczekaj tylko jegomość... pomyślał pan Bielewicz. — A dalibóg, że prawda! To nie on, to ktoś inny widać napisał. Proszę uniżenie! Oto mi mądra jegomościna głowa! odrazu spenetrował prawdę; a ja kilkanaście lat wierzyłem, że to mój kochany pan na pożegnanie ułożył.

---

[1]) Pieśń tę, czyli lament, jeszcze i teraz posłyszeć niekiedy można śpiewaną przez szlachcianki okoliczne na Litwie.

Wieczór nadszedł. Poszliśmy z gospodarzem na łąkę, gdzie stóg siana wyrastał, a na nim harcował mój Marcin, mając przy sobie flaszę z naszego podróżnego puzderka. Poznałem więc, że zapasy nasze będą zawsze pod jego *kustodyą*. Wkrótce stóg się zawierszył. Zasiedliśmy do chłodniku i kurcząt, a po wieczerzy każdy w swoją stronę na paciorki i potem każdy na swoje miejsce na odpoczynek. Moja kwatera w świronku, do którego wprowadzając mnie pan Bielewicz, rzekł: jegomość dobrodziej jutro po śniadaniu ruszysz w drogę. Już to moja Anulka częstować będzie, bo ja z synami przededniem wybiorę się na młodzież i na zajączki w dalsze knieje od domu. A tak dziś żegnam jegomości dobrodzieja. Dziękuję najpokorniej za odwiedziny i proszę nadal nie mijać ubogiego mojego domku. Baran mój już przy *prewodyrach*.

— Nie, nie, — odezwał się, słysząc to Marcin — spać długo nie dam mojemu jegomości. *Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje*. I my przededniem razem wyruszym.

Znowu poznałem, że nietylko moje puzderko, ale i ja jestem pod *kustodyą* pana Marcina.

Tak się i stało. Jeszcze się niebo czerwieniło tylko na wschodzie, kiedy wypiwszy po kufelku grzanego mleka, wyruszyliśmy za wrota; my z Marcinem na naszych kałamaszkach, a pan Bielewicz przy nas piechotą z dwoma gończymi i wyżłem. Ojciec z synami w uniformach wyżej opisanych myśliwstwa Radziwiłłowskiego.

Postępowaliśmy cicho, bo każdy modlitewki poranne odmawiał, pieski tylko, ciągając się na sforach, odzywały się niekiedy i po rannej rosie znaczyły swoje ślady obok drogi.

Nakoniec i słonko się pokazało. Pan Bielewicz, skończywszy paciorki — No, synki! na dobry humor i na szczęśliwe polowanie — *zająca*.

Więc huknęli synkowie, a z nimi ojciec basem:

Siedzi sobie zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą;
Siedzi sobie, lamentuje,
Testament życia spisuje,
Śmiertelny! śmiertelny! [1])

Aż echo rozległo się po kniejach. Ja zawróciłem się na lewo ku gościńcowi, a myśliwi zapuścili się dróżką w las. Długo jeszcze słyszeliśmy ich pieśń wesołą; nakoniec pieski doławiać się zaczęły; więc odezwała się trąbka i razem: *ho! ho! był tu kot!! kot! kot! tu! tu! tu!...* że aż nam w uszach zadzwoniło. Pieski zagrały i na sercu mnie tak grało, tak wesoło stało się, że aż miło!

XVI.

Popas i uwagi Marcina.

Czwarty to już czy piąty dzień był po naszym wyjeździe z klasztoru i przy *Barabaszu* i *Eliaszu* trzodka się powiększyła. Żaden dwór lub dworek nie chybił nam jeszcze z baranem; w kalitce nawet mojej do czerwieńców pana rotmistrza przybyło kilka talarów bitych i złotówek. Wszędzie mnie przyjmowano łaskawie a obdarzano chętnie i skwapliwie, wszędzie poczciwie i po

[1]) Dawna piosnka myśliwska.

chrześcijańsku żyjące znajdowałem państwo i chudopacholstwo, wszędzie traktament i gościna i przynuka zawsze, tak, że wyjeżdżać czasami nie chciało się, a nigdzie jeszcze nie spotkałem się z owem niedowiarstwem i zgorszeniem, o którem ksiądz gwardyan nadmieniał.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy się gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołem niebem, jeżeli nie we dworze jakim. — Po co nam do karczmy? — mówił Marcin — mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróżny: i barany napasiemy i sami posilim się i nic nie zapłacim.

Mieliśmy więc, podług zwyczaju, mijać karczmę, do której dojeżdżaliśmy, ale postrzegłszy przed nią stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatem pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moją odbyć żebraninę; na co i Marcin się zgodził; a zatem stanęliśmy z naszemi kałamaszkami obok pańskiej karocy. Ujrzały mnie piękne panięta, to jest chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek wybiegli z karczmy, a za nimi ichmość rodzice wyszli. Weterańskwo poważne, niema co powiedzieć!

— *Laudetur* Jezus Chrystus! — rzekłem, kłaniając się *humillime.*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział *Magnificus!* — jak się potem dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karczmę, rzekł on, nie masz gdzie popasać księże kwestarzu!

— Nic to, dobrodzieju! ja też nie na popas tu zajechałem, odpoczną tylko moje szkapy i powlokę się dalej.

— Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między mojemi

i mój obrok zjedzą; samego zaś waści na nasz podróżny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księże kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JWpana, bylem nie przyczynił *subjekcyi.*

— Żadnej, żadnej — odpowiedziała pani.

Zostałem zatem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzęgania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i konie i jego dobrze nakarmiono, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów, udobruchał się przecie i wnet pobratał się ze wszystkimi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim dano, starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka: z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? zadawał rozmaite inne, wyzywając mnie zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymałem placu: i uśmiechał się pan, a nawet sama imość, bo ja, pamiętając na instrukcyę księdza gwardyana, umiałem trzymać język za habitem; nakoniec przystawiono piąty talerz i zasiedliśmy do stołu.

— Będziesz głodny, księże kwestarzu — rzekł starosta — obiad podróżny, krótki i porcyj bernardyńskich nie będzie; bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratis*, dobrodzieju! a na cóż więcej?

Jakoż uczciwy był rosół z indora. Pani starościna po dwa razy mnie nalewała i posiliłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwojga rodziców i dwojga dziatek po jednym.

— Oto sęk, księże kwestarzu! — jarząbków cztery, a nas pięcioro!

— Posiliwszy się z łaski państwa tak wyśmienitym ro-

sołem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Charissime!* Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nielada kwestarz; musiałeś więc i szkoły traktować?

— Oho! pomyślałem, coś z wojewodzińska zakrawa. — A jakże, JWpanie! aż do *Poezymy inclusive:* a Alwar gryzłem na pamięć, jak rzepę.

— Zapewne uczyłeś się i arytmetyki?

— Uczyłem się i arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najwięcej praktykuję *dodawanie i mnożenie;* dalsze zaś działania dla mnie niewiele potrzebne, a o *ułamkach* i słuchać nie chcę, nigdy ich cierpieć nie mogłem, tem bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

Otóż, pomyślałem sobie znowu i wędę z konceptem zarzuciłem do wspaniałości pańskiej. Punktualnie wypełniam instrukcyę ks. gwardyana. Obaczymy, co wyciągnę.

— A więc daj eksperyment — rzekł starosta — ze swojej nauki, podziel te cztery jarząbki na nas pięć osób, ale bez frakcyów, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest, bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równej porcyi się dostało; kiedy tego dokażesz, powiem, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine.*

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju! byleście się na moją *diwidendę* zgodzić raczyli.

— Przyrzekam solennie — rzekł znowu starosta — i za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księże kwestarzu!

— Ani się dotknę nożem. — Podsunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość dobrodziej, jejmość dobrodzika i jarząbek, to troje; panicz, panienka i jarząbek, to troje; kwestarz i dwa jarząbki, to znowu troje.

— Brawo! — krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie, toż samo i pani starościna. — Zgadzamy się na podział! wyśmienicie!

— Ale ja się nie zgadzam — rzekłem. — Jarząbki zostaną przy państwu i przy paniętach, a w *indemnizacyi,* jeżeli JWpani dozwoli, wezmę tę bułkę piroga dla mnie, a dla klasztoru, co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujemy ci, *Charissime,* z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój stąd mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, JWpanie! Dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę, to jadę, bylem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo i my też powlekliśmy się za niemi.

— A cóż! mój Jegomość! — rzekł do mnie Marcin — baranów z sobą nie miał starosta, więc musiało przybyć kompanistów do czerwieńców rotmistrzowskich.

— Nie, nic nie przybyło, ale zaprosił mnie starosta do siebie i obiecał sutą jałmużnę. Furmani musieli tobie drogę rozpowiedzieć.

— A rozpowiedzieli. Ale to widzisz, mój Jegomość, *obiecanka cacanka!* Jegomość wiesz, jak tam dalej. Coś mnie wszystko zdaje się — mówił Marcin trzęsąc tabakę z rożka — że Jegomość nie samowity na kwestarza. Po-

wiedz mnie naprzykład Jegomość, jak domawiasz się do baranów?

— A na cóż mam się domawiać? Już skoro kwestarz wchodzi do domu, to poczciwy gospodarz wie, że zbiera jałmużnę, a zwyczajnie barany, dla swego klasztoru.

— E! czy tak? mój Jegomość! Nie pocieszy się ks. gwardyan z naszej kwesty; a Jegomość pójdziesz znowu na *kanaparza*.

— Czegóż chcesz? Kilka dni jeździm, a już z dziesiątek mamy baranów.

— Da co to znaczy? co to znaczy? Nieboszczyk ksiądz Jacek, z którym lat cztery jeździłem, dotądby już kopę nazbierał. Czy raz to bywało, że my po dziesięć baranów z jednego dworu wypędzamy, które on albo konceptami swymi wyłabudził, albo w *elbecwelba* czy w *maryasza* wygrał? bo u niego zawsze bywało *ze czterdziestu* i *tuz kozerny*. Miał on na to, jak sam mówił, jakąś *inkluzyę*. A dla Jegomościa po jednym baranku cedzą, aż żal patrzeć. A o puzderku i wiktuałach podróżnych gdybym ja nie pamiętał, to przyszłoby i zęby na policy położyć. — Czy Jegomość zawsze zakąsujesz po wódce?

— A jakże? naturalnie, że zjem kawałek chleba. Wszyscy tak robią.

— Otóż widzisz Jegomość, że ksiądz Jacek tak nie robił; on, bywało, powiada: Napiłem się gorzałeczki, a całym baranem zakąsim. — Ot już jest i baran. — Albo, bywało, prosi u jakiego pana rozmienić talara na drobne; no, to pan łatwo zgadza się, dobywa kieskę i odlicza za talara drobne; a on znowu: Dajże dobrodzieju i talara twardego, abym miał czem za monetę zapłacić. — Ot jest i talar. — Kiedy we dworze którym był młyn, to prosił o pozwolenie zmlecia beczki żyta bez miarki. No, któż takiej małej rzeczy odmówi? — Miel księże kwestarzu, choć dwie. — Da choćby jedną, kiedy mnie ją dasz, dobrodzieju! — Ot znowu chcąc nie chcąc, musiał pan gospodarz dać żyta.

A raz przyjechaliśmy do okolicy szlacheckiej koło Pińska. Szlachta — rzekł do mnie ksiądz *Jacek* podjeżdżając — niewiele chowają owiec i sami kożuchów potrzebują, ale za to wiele i tłustych wieprzów żołędziami ukarmiają, bo lubią kiełbasy i słoninkę, muszą więc mieć jej zapasy dobre. Obaczysz waszeć, jak ich zażyję.

W okolicy, tak jak u Bielewicza, wszyscy my brat za brat, razem w jednej chacie, więc słyszałem, jak on ich zażył.

Po *pochwalonym* i rozgoszczeniu się, nazbierało się do tego domostwa, gdzieśmy zatoczyli nasz obóz, wiele sąsiadów i sąsiadek, zapalono krupniczek w kilku miskach i posilaliśmy się sobie skutecznie. Prawdę mówiąc, ksiądz Jacek lubił pociągnąć; wypróżniając więc drugi lub trzeci kubek: Dobrze mnie tu między wami, panowie bracia szlachta! — rzekł on — używam w zdrowiu z łaski waszej darów Bożych, a tam w klasztorze biada! bardzo źle!

— Cóż takiego? — odezwali się.

— Choroba, śmiertelna choroba!

— Jaka? gorączka? zaraza?

— Oj, nie to licho, gorzej! Oto! wszyscy z mocnego śpiewania w chórze pozrywali sobie piersi i teraz wszyscy kachu, kachu! — ani sposobu. Pan doktor *Eme*, nadworny księcia, całemu konwentowi zadeklarował suchoty, kiedy rychłego nie będzie ratunku.

— A niechże Pan Bóg broni! Niech doktor daje lekarstwa. Na toż on doktor.

— Otóż to bieda, że ani on, ani żadna apteka takiego lekarstwa nie ma, a proste, ale djabelnie, jak on mówi, skuteczne.

— Jakież to lekarstwo?

— Trzeba nosić na piersiach szrot tłustej słoniny, taki, aby całe piersi pokrywał.

— Ale to ciężko — powiedział któryś.

— Ciężko, ciężko, ale zdrowo!

To tedy zawołał mnie ksiądz gwardyan i rzekł:

— Jedź waszeć, księże Jacku, do braci szlachty pińskiej. Cały świat wie, że to ludzie pobożni i poczciwi, a przyjaciele Bernardynów niechże nas ratują.— A gdym już był na wozie, powiedział jeszcze: Pamiętaj waszeć, biorąc słoninę, mierzyć połcie na całe piersi, bo tak pan doktor kazał, i dostarczaj prędko, bo poumieramy.— Ratujcież więc, panowie bracia! szczególniej imoście, jako siostrzyczki różnych bractw pobożnych. Za to cały nasz konwent, i niegodny wasz sługa ksiądz Jacek, ubogi kwestarz, o żadnej w modlitwach nie zapomnimy, a zatem po najdłuższem życiu, wszystkie jak z regestru do nieba iść będziecie.

Niektórzy panowie szlachta pokręcali głową, nie bardzo wierząc tej naszej chorobie; ale jednakże nazajutrz, siostrzyczki jak zaczęły nam znosić lekarstwo, tak całą furę połciów wyprawiliśmy do klasztoru.

Dla poprawienia mojej opinii w głowie Marcina, opowiedziałem mu moją *diwidendę* jarząbków.

— No, cóż na to? Marcinie!

— Niema co powiedzieć, — rzekł on pokręcając głową — masz i Jegomość oleju; ale komparacya jegomościnnego rozumu do Jackowego jest tak rychtyk, jak tego piroga kasztelańskiego do pińskiej słoniny. A pomiarkuj Jegomość, — czego bardziej Bernardynom potrzeba?

Wtem dropiaty zawrócił się do dworku blisko gościńca.

XVII.

U wdowy.

Na dziedzińcu ledwo przejechać mogliśmy przez roje gęsi, kur, kaczek i indyków. Nie byłem tu ani razu — rzekł Marcin — ależ widać, że tu dobra gospodyni mieszka, pół roku cały klasztor wykarmiłby się tem ptastwem. No, dajże Boże Jegomościu szczęśliwie, a ja rozgoszczę się na popas. — Podjechaliśmy pod ganek.

Wchodząc do sieni posłyszałem, cienkie, ale chrapliwe trochę śpiewanie:

Ciesząc swoją biédę,
Za mąż sobie idę.

Zatrzymałem się więc trochę do pomiarkowania okoliczności. Śpiewano dalej:

Ja sobie wdóweńka, ja sobie pani,
Choć sobie podpiję, nikt mnie nie zgani.

I znowu:

Ciesząc moją biédę,
Za mąż sobie idę.

Poznałem wraz co się święci i wszedłem do izby. Na środku stał długi stół, nakryty dywanem, a za nim siedziała imość, której pieśni przerwałem, otyła i czerwona dobrodzika, w czepku na bakier, z oczami trochę zachmurzonemi i noskiem zaczerwienionym.

— A! ksiądz kwestarz dobrodziej! A! na wieki wieków! — I trzymając się za stół, chciała powstać. lecz gdy posłoniła się trochę, podbiegła córka, która przy drugim stoliku szyła, i podtrzymała mamunię.

— Precz wasanna! — ofuknęła ona odpychając córkę — czy to ja sama nie wstanę? ksiądz kwestarz gotów pomyśleć kto wie co!

Widzi Jegomość dobrodziej, kołtun tłucze mi się po kościach, więc czasami odbiera nogi.

Siadajże jegomość dobrodziej, siadaj. Mam barana dla Jegomościa, mam, a może i dwóch, obaczym tylko, obaczym! Bieda, powiem Jegomościu, bez gospodarza chata płacze. Zażyjem tabaczki. — Podałem mojej. — Dziękuję. A wasanna każ przynieść podwieczorek: wędlinki, ratafii i starej gorzałeczki, — na co pozwoli Jegomość dobrodziej. Bieda, bieda mojej biednej głowie. Już to trzeci raz owdowiałam. Folwarczek niczego, substancya jest, dzięki Bogu, jest. I to nie dożywocie, nie, ale moja własna właściwość, bo nieboszczyk mój pierwszy mąż zapisał mnie samej jednej, a tej klępie dam co, czy nie dam, to jak moja łaska.

Wszystko to za jednym tchem wygadała dobrodzika, że nie mogłem ani słowa mojego przemówić. Zmordowała się jednak, czy języczek się splątał, bo trochę zamilkła.

— To córeczka dobrodziki? — zapytałem w niepewności, słysząc, że ją klępą zwała.

— A tak, córeczka, córeczka; a cóż z tego, że córeczka? o niczem innem nie myśli, jak tylko, żeby za mąż pójść. Ale poczeka mościa panna, poczeka! Jużbym to zawsze wolała mieć syna. Pojechałby w świat i nie przeszkadzałby w niczem matce. A to czy kto przyjedzie do domu, czy gdzie sama wyjadę, to panienka na swoje kółko niteczkę mata, a o matulce ani pomyśli.

Wtem i podwieczorek przyniesiono. Przyszła i córeczka, stanęła za matką zbiedniona nieboraczka, ale jednak *formosa puella*, i nie dziw, że przemyśliwa *circa connubium*.

— Niema gospodarza, dobrodzieju, to przyjmiesz z rąk gospodyni. Ja ratafii trochę zażywam. W ręce! — Spory kieliszek machnęła baba i zaczęła zajadać wędlinę; poszedłem za jej przykładem, choć nie tak skwapliwie.

— Proszę, supplikuję, nie wytwornie, ale pokornie. — Znowu powstać chciała, ale znowu kołtun nogi poplątał.

— Otóż, mój mości dobrodzieju, miałam już trzech mężów. Proszę teraz na moją tabaczkę. Jegomościa dobrodzieja z tomką, a ja dodaję po trochu wiszniowego liścia. Miałam trzech mężów... Sto lat Jegomości dobrodziejowi!

Jakiejś ciemierzycy baba mnie poddała, bo paliłem z nosa, jak z pistoleta, i z pięćset lat mi nażyczyła.

— A wszystkich trzech najlepszych. Co ja napłakałam się po każdym! bo każdy mnie kochał i respektował.

Za pierwszego poszłam młodziuteńka, jeszcze dziecko byłam, powiadam Jegomości dobrodziejowi; ale i on był jak dziecko, *symplaczek* sobie, lecz że z godnej familii i miał ten folwareczek, a ja posagu *pasz!* więc mnie ro-

dzice za niego wydali; a on wraz mnie całą swoją substancyę zapisał. Potem stał sobie zawsze przy piecu i słuchał, co ja rozkażę; a ja sobie bonowałam jak pani. Dziesięć lat aniołeczek stał tak przy piecu, a choć go bywało i szturchnę, jak mnie uprzykrzy się ta jego niemota, albo gdy zechce mięszać się do czego w domu, to pokłoni się mnie, pocałuje w rękę i wyjdzie do *kwatery* swojej na folwarku. Rozpił się potem nieboraczek — ale nie z mojej przyczyny! cóż ja temu winna? tak jemu Pan Bóg dał — i umarł, zostawiwszy mnie na głowie córkę, tę mościapannę. Oj! co ja napłakałam się po nim! co ja napłakałam się! Skosztujem ratafii, księże kwestarzu dobrodzieju, po wędlinie.

Zaraz sobie pomyślałam, że dla ludzkich języków, mnie młodej wdowieć długo nie wypada. A zdarzył się tu w sąsiedztwie tenutorem półwieczny jegomość, ale *moderat* wielki, *sensat*, a gospodarz zawołany, i jak zaczął do mnie podjeżdżać a radzić serdecznie w mojej gospodarce, a obiecywać złote góry z tego folwarku, i nakoniec pożyczać mi po trochu pieniędzy, a molestować o deklaracyę, tak ja, zmówiwszy modlitewkę do świętego Eliasza, patrona wdów pragnących tego *sakramentu*, poszłam z nim na kobierzec. Oj! gdybym nogę wtenczas złamała! Bo ten pan moderat i sensat był, prawda, gospodarz, ale hypokondryk, śledzionnik, liczykrupa, sknera, tak, że musiałam ja teraz, jak niegdyś biedny mój symplaczek, stać przy piecu z założonemi rękami, a jegomość rządził i dysponował jak chciał w mojej fortunie, i jeszcze przymuszał mnie, abym mu zapisała. Oto wpadłam, mój mości dobrodzieju! Ale nie dotrzymałam tak długo, zaczęłam mu wetować. Dopiekał on mnie do żywego, do żywego dopiekałam i ja jemu; on chce tak,

a ja na złość inaczej; on chowa pieniądze, a ja wykradam i zabieram; on mówi: moja praca, a ja mówię: moja fortuna; on do kija, a ja do wałka. I tak sądny dzień w domu. A nakoniec jednego dnia z wielkiej złości paraliż jegomościa naruszył, i umarł nieboraczek. Oj, co ja napłakałam się!

— Zdaje się, dobrodziejko, że nie było czego.

— Oto! jakto? W małżeństwie bywa i tak i owak, a dlatego potem żal!

Sześć latek z sobą przeżyliśmy, i sama nie wiedziałam, co począć po jego śmierci? Różnie głowę moją łamałam. Aż tu, jakby z przeznaczenia Bożego, przechodzi tędy pułk husarski i staje u mnie na kwaterze porucznik. Młody, mój dobrodzieju! hohol na trzy łokcie! koroniarz! wersat! bywalec, mój dobrodzieju! Kiedy ubierze się bywało, a siądzie na konia, mój dobrodzieju, złoto z niego ciecze! A jaki zuch! Czego on nie dokazywał? Najtrudniej zaś bywało wytrzymać, że jak zacznie sadzić strzeliste koperczaki, to aż dreszcz idzie po skórze. Pułk stał stąd gdzieś o mil dwadzieścia, on tu sobie zapisał zimowe leże i rozlokował się. To długimi wieczorami na dobitkę, jak zawiesi bywało teorban, a zagra i zaśpiewa albo wesołego kuranta, albo jaką dumkę ukraińską, żałośliwą, to już ani sposobu wyperswadować sercu swemu nie mogłam, i rozamorowałam się zupełnie. A do tego: Moja duszko! mój aniołeczku! — mówił — będę cię na ręku nosił, będę cię zwierzynką karmił, a jak pojedziem do moich fortun w Koronę, to będziesz tam jak pączek w maśle opływała. — Tak już, mości dobrodzieju, poszłam za sercem! poszłam za sercem... i trafiłam jak kulą w płot.

Na drugi dzień po ślubie szatan go opętał. Jak wrza-

śnie nademną: Babo! dawaj pieniędzy! — Rozumiałam, że żartuje; ale on nie żartem wrzeszczał: Babo! dawaj pieniędzy. Czy to ja darmo młodość moją takiej *szkulepie* zaprzedałem? — I nie długo czekając, wyrwał mi z rąk kluczyki, odemknął kantorek (a wiedział, że tam jest gotówka, bo ja głupia z wielkiej miłości wyspowiadałam mu się przed ślubem ze wszystkiego), zabrał więc cały zapas po nieboszczyku zaklęty i ruszył do pułku...

... Rozumiałam, że i nie powróci. Żal mnie zrobiło się, nie tak moich pieniędzy, jak jego samego: bo to (myślałam sobie) młode piwko, uchodzi się; wybierałam się więc za nim do komendy; aż wraca przecie, wraca! ależ za nim koni, psów, bez liku; a co najgorsza, hajdamaków z pułku takich jak sam, kilkunastu. Rozumiałam, że dom przewrócą. Hulanka dzień i noc. Znalazła się i skrzypeczka, pozapraszał sąsiadeczki, więc i tany i bale i pijatyka; a wszyscy krzyczą jak na złość: *U wdowy chleb gotowy...*

... Poszło wszystko świdrem: i pieniążki i wędlinka i gorzałeczka, a mój pan porucznik ani słuchać nie chce moich żalów, a co najgorsza, że jak czasami wyjechała od nas ta żołnierska hałastra, to on znowu śpiewał dumki piękne, ale nie dla mnie, a dla panny Teresy, mojej kochanej córeczki. Czy tak? O, ja panienkę do klasztoru, do panien Benedyktynek nieświeżskich *insperate* zapakowałam. Niechaj już ja jedna, myślałam sobie, ten krzyż Pański znoszę. A do tego jeszcze taką cierpiał *żelozię*, że kiedy raz powróciwszy z polowania znalazł pana viceregenta gościem u mnie i grającego ze mną *w paszyka*, to porwał go za kark, wyniósł za drzwi i rzucił z ganku; tak, że ten nieboraczek ledwo powstał. A do mnie wpadłszy krzyknął: *Babo! kiedy kochasz, kochaj stale, a nie kochasz, w łeb zapalę!...*

... A święta Urszulo z towarzyszkami! Aż mnie strach teraz, jak na to przypomnę... Skosztujem po kropelce.

— Dziękuję, dobrodziko! Wolej zażyjem jeszcze tabaczki, ale mojej, bo imościna kaducznie mocna.

— Dobrze. Mój nieboszczyk *drugi* mąż zażywał tabaczkę, a od niego i ja nauczyłam się; a ten *trzeci*, bisurmanin, to palił fajkę. Nie mogłam z nim dać rady. Wypustoszył mnie dom, zrabował gospodarkę, rozhajdamaczył i rozpoił mnie dwór cały, a ja *pijaństwa cierpieć nie mogę...* Przecież niedźwiedź przyszedł mnie na ratunek. Na obławie strzelił on do niedźwiedzia i spudłował, a niedźwiedź na niego; nim dobiegli ratować, zdarł mu skórę od głowy do pięt, pogruchotał mu kości, i tak umierającego do mnie przywieźli; ot temu jak raz piąty miesiąc. Ach! co ja napłakałam się! Nie było czasu i doktora sprowadzić. Umarł, ale po swojemu: bo choć i wyspowiadał się i za grzechy żałował, a jednak przywoławszy mnie do łóżka i postawiwszy na mnie oczy słupem, krzyknął: Słuchaj babo! (choć Jegomość dobrodziej widzisz sam, że ja jeszcze nie baba), słuchaj babo! ty pójdziesz zaraz za mąż za tego *jura*, któremu że do reszty kości nie połamałem, wielce żałuję, i pokrzywdzisz biedną Teresię (co to do niego należało?), ale pamiętaj, że na pierwszym nowiu po waszym ślubie ja zostanę upiorem, przyjdę do was o północy i obojgu głowy poskręcam. — Czy to może być, mości dobrodzieju... aby on został upiorem? Jegomość tak i lepiej o tem wiedzieć możesz. Czy upiory chodzą po świecie? Czy nie widział Jegomość dobrodziej choć raz upiora?

— Nie widziałem, dobrodziko! ale przecież ludzie powiadają, że to zdarza się. Jednakże bez woli Boskiej nic się nie stanie. Są sposoby w modlitwach za duszę.

— A, są sposoby — przerwała mi imość mowę — wiem i ja o tem, mój dobrodzieju! i pan vice-regent powiada, że trzeba tak zrobić, żeby kochaneńki leżał sobie spokojnie w ziemi, i nie hajdamaczył tak po śmierci, jak za życia. Trzeba odkopać trupa, uciąć jemu głowę rydlem i położyć w nogach, żeby rękami nie mógł dostać. To będzie mocował się, mocował się, silił się, ale jak nie dostanie rękami głowy, to nie wstanie. A jeżeliby dostał, to weźmie głowę pod pachę i pomaszeruje. Już ja raz tak jego i śniłam z oczami wytrzeszczonemi z pod pachy. Mogiła wiadoma. Więc jak Jegomość dobrodziej radzisz?

— Ja dobrodzice zupełnie inny poradzę sposób, i pewnie skuteczniejszy.

— Słucham, mój dobrodzieju, słucham!

— Oto, daj naprzód dobrodziko na msze święte, na exekwie, i na ubogich za jego duszę; a ponieważ przed śmiercią on sam powiedział, że wtenczas zostanie upiorem, gdy Imość przez nowe z jurystą poślubienie się ukrzywdzisz córkę, to radzę jak najprędzej ją za mąż wydać i regularnie wyposażyć.

— A co to księdzu kwestarzowi do tego? Waspan dobrodziej, jako osoba duchowna, nie powinieneś w to mięszać się, co do niego nie należy.

Otóż i po moich baranach! — pomyślałem.

— Ja bo tylko chciałbym ochronić dobrodzikę, aby pan porucznik na pierwszym nowiu z pod pachy na nią nie spojrzał.

— Już my sobie damy rady bez Jegomości, a exorcistów nie potrzebujemy.

Rozsierdziła się babula, i uciekłaby pewnie odemnie, gdyby mogła powstać, ale spróbowawszy razy kilka, osiadła znowu.

— Wiesz co? dobrodziko! — rzekłem — zapijmy tę sprawę!

— Niechaj sobie i tak. — Udobruchała się wnet i wychyliła do kropli kieliszek. — Niechaj sobie i tak! A do tego, widzisz wasan dobrodziej, że pan vice-regent, to mądra głowa, on wszystkie statuta na palcach liczy, a powiada, że niedawno postanowiła Rzeczpospolita takie prawo, że kiedy gdzie jest matka i córka, a obiedwie chcą iść za mąż, to córka nie może wyjść pierwej od matki i musi czekać, aż póki matka nie wyjdzie.

Stojąca córeczka za krzesłem matuli, *miknęła* z cicha: Oho! oho!

— Co to waspanna *mikasz?* — krzyknęła imość — co to waspanna mikasz? Mikaj waspanna, nie mikaj, tak będzie, jak Rzeczpospolita przykazała. Co to?... bunty?...

— No, dobrodziko, ja nie prawnik; ze mną rzecz o barany, do tego więc przystąpmy. Za trzech mężów, trzech baranów, a na sukces z czwartym, czwartego.

— Na sukces z czwartym!... at niechaj sobie! Coś mnie trochę słabo... kołtun ten przeklęty!...

Ostatni kieliszek dogodził widać dobrodzice, bo drzemać zaczęła.

— Kołtun ten przeklęty... i głowę i nogi odbiera i tak coś morzy... morzy... Na sukces z czwartym... czwartego... panna Teresa... i Rzeczpospolita... Upiorem zostanie...

Bredząc tak i mrucząc baba, założyła ręce na stole, opuściła głowę na ręce i zachrapała jak w trąbę. A panna Teresa, podziękowawszy mnie za dobre serce i prosząc o modlitewkę na jej intencyę, czterech baranów wydać kazała.

— No — rzekł stary Marcin, gdyśmy za bramę wyjechali — daj Boże po wiek mieć do czynienia ze staremi wdowami. — A gdym mu rozpowiadać zaczął całą historyę tej kwesty: Wiem o wszystkiem — przerwał mi — i więcej wiem, niżeli Jegomość i niżeli sama pani, bo ona tego nie wie, że palestrancik, którego ona dla siebie kaptuje, jutro, gdy ona zaśnie po obiedzie, wywiezie panienkę i ślub z nią weźmie. Już ma indult gotowy i wszyscy we dworze wiedzą o tem, ale nikt jej tego nie powie, bo nienawidzą baby. Góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem zejdzie się; otóż i ja znalazłem tu ochmistrzynię, dawną moją kumę, która wszystko mnie to powiedziała i *króbkę* naszą podróżną napakowała wędlinką.

XVIII.

U pana starosty.

W późny wieczór przywlekliśmy się do dworu pana starosty i lubo z pałacowych okien świeciło jeszcze jak z kościoła, wolałem jednak zajechać na noc do ekonomii, a nazajutrz rano pokłonić się panu.

Obaczymy jutro, pomyślałem sobie, jaka to komparacya między państwem pana starosty a państwem pana wojewody. Jakoż przenocowałem wygodnie u pana dyspozytora, który mnie przyjął poczciwie, a nawet i kordyalnie, gdym mu powiedział jeszcze, że przybywam na rozkaz starosty.

Nazajutrz rano, nim jeszcze w pałacu okienice otworzono, już ja ze dwie godziny *kwerendowałem* po całym dworze, przypatrując się wszystkiemu, nie w celu, broń Boże, jakiejkolwiek cenzury, ale że to odezwało się w człowieku życie niedawne dworskie. Bo to nie tak łatwo, jak się komu zdawać może, wyrugować z głowy dawne nałogi i obyczaje. Za każdą okazyą odnawia się pokusa, jak recydywa po chorobie, przeciw której jedyna *salva* w łasce Boskiej, utwierdzającej człowieka w dobrem postanowieniu. To też, Bogu dzięki, nie na długo mnie zachwyciła ta chętka, a ciekawość bez złych myśli i zamiarów nie jest, zdaje mi się, grzechem, tem bardziej, że we dworze tym zbudować się i za każdym krokiem za dobry przykład Bogu dziękować trzeba było.

Ludzi tu jak mrowia, ale wszędzie ład, dostatek, wygoda. U pana wojewody szumno, huczno, buńczuczno, po pańsku nawet, bo hojnie i wspaniale, ale we dworze rygor i nie zawsze ład i spokojność. Tu wszystko jak w zegarku, każdy swego pilnuje z ochoty, nie z bojaźni, u każdego na twarzy wesołość, zgoda między wszystkimi; a u nas, bywało na dworze pana wojewody, ja marszałek, musiałem codzień rano rozsądzać nocne sprawki liberyi i *boćkowskim* hamować procedera.

To, pomyślałem sobie, dom staropolskiej cnoty i poczciwości. — A tu kto mieszka? — pytałem się, stojąc przy stajni u masztalerza, wskazując na jedną oficynę,

— Tu sami gracyaliści pańscy, starzy słudzy, albo i nie słudzy; ot byle biedny a poczciwy, to ma i chleb.

— A w tej drugiej oficynie?

— Oho! tam panowie rezydenci godnej kondycyi; oni zawsze na pokojach pańskich i do pańskiego stołu siadają i koniki swoje pańskim obrokiem karmią. Są tam jeszcze pokoje gościnne, nigdy, chwała Bogu, nie próżne.

— A w tej trzeciej najdłuższej?

— A w tej trzeciej, to grunt. Widzisz jegomość, że już z komina się kurzy. Tam mieszka nasz pan marszałek i nasz chlebodawca pan szafarz; tam kuchnia i służba wszelka pokojowa, tam i kapelia. My stajenni mamy masztarnię. A w czwartej oficynie, tej najbliższej od pałacu (bo już pewnie jegomość zapytasz), same babstwo, Panie, odpuść ciężkie grzechy, faworyty imościne, stare *szkulepy*. Jak zaczniem w niedzielę wozić je do kościoła, to i koni nie staje. Nic nie robią, tylko z księdzem kapelanem, który mieszka w pałacu, do różańca i godzinek stają codzień w kaplicy, regularnie z okularami na nosach. Są tam i młode; uczą się czegoś, kto ich tam wie?

— A może jegomość dobrodziej naszą stajnię opatrzy?... Ale oto i pan na ganku.

— *Hospes venit,* Chrystus *venit!* — wykrzyknął pan starosta, spostrzegłszy mnie podchodzącego do ganku. — Dziękuję waści, księże kwestarzu, żeś moją obligacyę tak rychło i ochoczo spełnił.

Sentencyę na *sentencyę* odkładając, rzekłem: *Hospes non invitatus recedit, saepe ingratus;* lecz ja, stawając tu na rozkazy JWpana, mam nadzieję i łaskawego przyjęcia.

— Brawo! erudyt! Marszałka do mnie! (a gdy ten wnet się okazał) mamy gościa — rzekł doń starosta — którego sam wczoraj zaprosiłem. Do południa jestem zatrudniony, proszę więc tymczasem księdza kwestarza ugościć i zabawić; a na obiady zapraszam go do siebie.

Co dwór, to marszałek, a wszyscy jednego kroju; każdy powinien mieć głowę nie dla proporcyi, nosić się nietylko chędogo, ale i z pańska, dla honoru pryncypała swojego, być rezolutnym, ale razem poważnym i statystą, a nie fircykiem ani świszczypałą, nie dać się skonfudować nikomu, mieć animusz i figurę, ale też znać się dobrze *cui quod debet*, na *preeminencyach,' stallach* i urzędach, aby, gdy u obiadu pańskiego z laską chodzisz koło stołu, hajduk nie podał półmiska pierwej panu skarbnikowi, niżeli panu stolnikowi lub wojskiemu, bo za taki *feller* i miejsce i konsyderacyą utracić można na zawsze. Umiałem ja to wszystko... ale cóż? *Sic fata tulerunt!* to jest: *dziej się wola Boska!*

Pan marszałek dworu pana starosty, ma, zdaje mi się, wszystkie takowe *kwalifikacye* i jest *peritus rei* w swoich *officyach;* posłał zaraz do pałacu po kawę dla mnie, dla siebie i dla panów rezydentów, których dwóch przyszło doń na śniadanie.

Jeden młodzieniaszek; widać niedawno z pod *feruły preceptorskiej*, bo nieśmiały i nie nabrał jeszcze dworskiego *szyrmu* ani *lustru;* ale drugi całą gębą *homo*, bo i *persona* i *eloquentia* i krotochwilność subtelna, właśnie jak potrzeba do ozdoby dworu wielkiego pana. Żartowali z siebie wzajemnie, jeden drugiemu czyniąc *alluzye* do dworskich panien, a obadwa biednemu podstolicowi o *inklinacye* jego do panny horodniczanki, faworyty i wychowanki pani starościnej.

Czerwienił się biedny chłopak, ale widać trafili mu w sedno, bo nie umiał im odciąć się.

— Dziecko bo jesteś, mój kochany podstolicu — mó-

wił starszy pan rezydent, chorąży z tytułu, — męczysz się codzien i suszysz sobie głowę, smarząc do niej wierszami jakieś *fabuły*, jakieś *dyalogi*, w których wszystkich bożków pogańskich wzywasz na sukurs, w których co słowo, to *Cerery* i *Wenery* i wszystkie *olimpijskie dziardyny* stawiasz w paradę. To bardzo pięknie i rozumnie; widać, żeś niedawno *poezymę* przeszedł; ale cóż, kiedy piękna Franusia o Bożym świecie tego nie rozumie? A kiedy jesteś razem z nią na pokojach, to stoisz zdaleka, jakbyś trzech zliczyć nie umiał; w tańcu z nią, to jakby ci kto ołowiu do kieszeni nakładł. Idziemy całym dworem na spacer: znowu toż samo! panienki śpiewają, biegają, swawolą, ja starszy a pomagam im i śpiewać i biegać, a wasan... *Jezu mój, Panie!*... idziesz wyprostowany i zamyślony, jak pan dyrektor za żakami, a zachmurzony i krzywy spoglądasz na Franusię, jak na kwaśne jabłko; a to słodzieńka gruszeczka, mój podstolicu! Przecieżeś chłopiec jak malina. Kiedy cię widzę na polowaniu rzeźwym i ochoczym, harcującego na koniu, a wesołość i swoboda z oczu ci tryska, to aż miło drugiemu! Czemuż tak nie polujesz i na serduszko horodniczanki? Wyskocz! doskocz! raptem do niej! i twoja będzie. Nieprawdaż? panie Sebastyanie! — rzekł do marszałka. — Tak po naszemu!

— Bywało — odpowiedział, kłaniając się marszałek. — Wiele masz lat? panie chorąży!

— *Inutilis quaestio solvitur silentio!* — odpowiedział ten, kłaniając się wzajemnie i obadwa rozśmieli się, a ja z nimi trzeci. Pan podstolic tylko spokojnie popijał kawę.

— Cóż? szanowny nasz gościu! — odezwał się znowu do mnie pan chorąży, — wieleż już nazbierałeś baranów?

— Będzie z tuzin, licząc z tym, którego dobrodziej darujesz.

— Brawo! po kwestarsku! Ale ja gospodarki nie mam; wszakże baran a talar, to na jedno wychodzi, tego więc chętnie ci ofiaruję. Za moim przykładem, ręczę, że wszyscy nasi dworscy pójdą, nie licząc kontrybucyi, którą ci nasz babski regiment z tamtej oficyny złoży. Nie mówię o JWstaroście. Opowiadał on nam wczoraj twoją dowcipną *dividendę* jarząbków i hojnie cię zapewne obdarzy. Zabawisz tu z nami, księże kwestarzu, dni kilka, bo cię starosta nie wypuści. Chwała Bogu, u nas jak w raju; nie zatęsknisz ani po swojej celi, ani po nabożeństwie; kaplica w ogrodzie, codzień msza święta; na którą otò i dzwonią.

— A więc pójdziemy — rzekłem — może jeszcze trafię posłużyć księdzu kapelanowi. — I trafiliśmy wcześnie.

Na podziękowanie Bogu za szczęśliwie odbytą podróż państwa, msza śpiewana odprawiać się miała, więc i kapelia była na chórze: bo to nie kaplica, ale kościółek prawdziwy, murowany, piękny, ozdobny, a ludu jak w niedzielę w jakiej parafii. Prawdę mówił masztalerz: kilka babulek okularowych, każda własnym dyszkantem ciągnęła *Zdrowaś Marya*. Kiedy to ja huknę *insperate* za niemi basem po bernardyńsku, aż przychyliły się babulki w ławkach i obróciły na mnie zdziwione okulary, a wszyscy uśmiechali się potrosze.

Skończyliśmy różaniec, zadzwoniono raz drugi; weszli państwo z dziatkami do kościoła i zasiedli ławkę w *prezbiterium*. Ubrałem w zakrystyi księdza kapelana, który mnie na zaznajomienie się pobłogosławił i wyszedł ze mszą, a ja z jednym *gracyalistą* za *serwitorów*.

Daj Boże na najdłuższy wiek pobożnym państwu,

a na zasługę u Pana Boga wszystkim, jako się pięknie i przykładnie odbyło nabożeństwo. Po supplikacyi, do patyny przystąpili naprzód JWstarostowie oboje, przy nich dziatki, a potem cały dwór, jak kto docisnął się. Natenczas postrzegłem jakąś figurę *generis masculini*, stojącą przy ławkach pańskich, po niemiecku ubraną, twarzy chudej i żółtej z głową pudrowaną, z włosami w tył zebranemi, z harcapikiem *na potylicy*, w trzewikach i pończochach, a z kapeluszykiem składanym pod pachą. Z oczu biegających na wszystkie strony, coś mu kociego czy szatańskiego wyglądało, do czego i ubiór jego wielce się akkomodował. Pomyślałem, że to musi być doktor niemiecki, a jak zwyczajnie niemiec, widać, że luter, dlatego ks. *celebrant* nie dał mu patyny i on sam nie cisnął się do niej. Pokręciłem głową, myśląc, po co on tutaj?

Po nabożeństwie starościna powitała mnie łaskawie i panięta mile się ukłoniły, a niemiec zmarszczył się; ale i ja na niego spojrzałem tak, że mu aż w pięty pójść musiało i poszedłem za księdzem kapelanem, który mię do siebie zaprosił.

U księdza kapelana także jak w kaplicy: relikwiarzami całe ściany zawieszone, a przy każdym kwiaty bardzo misternej roboty, rąk, jak mi powiedział ksiądz kapelan, fraucymeru pani starościnej. Pokoiki dwa maleńkie na skrzydle pałacowem, a w nich czysto i cicho, jak w celi.

Gdy on się posilał śniadaniem, ja rozpatrywałem się w tych wszystkich świętościach; ale że mnie ten niemiec wbił się w głowę, więc zapytałem:

— Dlaczego, *reverendissime*, nie dałeś patyny temu niemcowi, który stał przy ławce starościńskiej? Musi on być jakiś *szołdra* dyssydent, a zapewne doktór nadworny tutejszy?

— Oj, ani luter, ani kalwin, ale gorszy od nich wszystkich — odpowiedział ksiądz Joachim, — bo to przeklęty heretyk, bezbożnik, ateusz, farmazon bodaj, a chrzci siebie filozofem i bardzo mądrym człowiekiem. To nie niemiec, ale francuz i nie doktór wcale; mamy tu doktora poczciwego Węgra; a ten bezbożnik nie leczy, ale truje i to nie ciało, ale duszę! a co jest najgorzej, młode i niewinne dusze, dzieci pańskie! bo to jest *per modum* nauczyciel ich do języka francuskiego.

— A dlaczegóż, *reverendissime*, nie ostrzeżesz tych zacnych i pobożnych państwa o takich bezbożnych jego i szkaradnych naukach? Na cóż go wpuszczacie do domu Bożego!

— Czyż rozumiesz, kochany księże kwestarzu, że ja obojętnie patrzę na to zgorszenie? Fulminuję, upominam, błagam oboje państwo i zaklinam na zbawienie duszy, aby tego niegodnego człowieka oddalili od dziatek swoich; ale na nieszczęście, bies ma swoich na tym świecie apostołów, a tymi są ludzie zgorszenie czyniący, pełni szatańskiej przewrotności i światowego rozumu, przez który bałamucą poczciwe i łatwowierne głowy.

Oh! takich już wielu jest w naszym kraju. Wyrzutki z własnego, znajdują u nas, szczególniej w domach pańskich, nietylko przytułek i wygodę, ale nawet konsyderacyę wyższą od naszych własnych, mądrych i uczonych a bogobojnych mężów, na których, chwała Bogu, krajowi naszemu nie zbywa.

Bóg, gdy chce kogo ukarać, to mu rozum odbierze —

powiada dawne przysłowie, — otóż i my spodziewamy się kary Bożej, bo nam Bóg, własny staroświecki poczciwy rozum odebrał, a przypuścił na nas wiarę w mowę i rozum francuski teraźniejszy, bo dawniejszy rozum i francuski nie był takim. Teraźniejszy bezbożny, niecnotliwy, niechrześcijański, pragnący wywrócić wiarę świętą, obyczaje, zwyczaje i wszystko, co dotąd ludzie czcili i szanowali. I to jest dzisiejsza filozofia z piekła rodem, która się u nas z językiem francuskim, a najbardziej z książkami francuskiemi rozszerzać poczyna, między panami naszymi najpierwej, a przejdzie potem i do małpującej ich szlachty.

Na wielkim świecie, w Warszawie naprzykład, ani stąpić bez francuzczyzny; sam tego byłem świadkiem, gdyśmy tam przeszłego roku byli. Stamtąd właśnie przywieźliśmy i tego filozofa; ale zażyłem go tu nieźle!

Po długich jegomościa rozmowach, po sprzeczkach ze starostą i samą panią, którzy umieją po francusku, którzy jako pobożni katolicy nie mogli słuchać spokojnie jego bluźnierstwa, a przez delikatność i respekt dla takiego mędrca zawiązać mu gęby nie śmieli, po nieuważnem jego znajdowaniu się w kościele i innych okolicznościach, wiedząc zwłaszcza o powszechnem duchu jego braci, poznałem, co się święci A więc wezwawszy Ducha św. na pomoc, który odrazu nauczył apostołów wszystkich języków, wziąłem się, nic nikomu nie mówiąc i owszem, tając się z mojem postanowieniem, do francuzczyzny.

Umiejąc dobrze po łacinie, nie tak bardzo i trudno mi przychodziło. Znalazłem dykcyonarze i książki w bibliotece pańskiej, przysłuchiwałem się niby to od niechcenia lekcyom jego samego dzieciom dawanym, a nocami

i rankami pracowałem bez ustanku; tak za trzy miesiące rozumiałem cały skład języka tego i mowę filozofa; milczałem jednak, czekając pory, a doskonaląc się codzień i rozmawiając nawet sam z sobą.

Jednego razu u obiadu, przy wielu gościach, rozpeprorował się francuzisko w swojej ulubionej materyi, jak on nazywa filozoficznej. Wielu było panów, umiejących po francusku, a przysłuchujących się pilnie jego zuchwałym exklamacyom. Dowodził, że duchowieństwo jest ciężarem niepotrzebnym dla kraju, bo wszyscy księża próżniacy.

— Kłamiesz! bezczelnie kłamiesz! — odezwałem się. — Ciężarem dla naszego kraju są włóczęgi, którzy we własnym nie umiejąc na chleb zarabiać, nasz zjadać przychodzą i za ten chleb nasz przynoszą nam zepsucie i potępienie!

Nie umiem opowiedzieć Jegomości zdumienia powszechnego, samegoż Francuza, moich państwa i całej kompanii. Francuz oniemiał, patrzał na mnie osłupiałym wzrokiem, jak złodziej na uczynku złapany, nakoniec pan starosta rzekł: Księże Joachimie! czy cię Duch św. darem języków nawiedził? Co to się ma znaczyć? Od lat pięciu mieszkamy razem. Czyś swoją naukę ukrywał? i dlaczego?

— Nie taiłem się z nauką, JWpanie — odpowiedziałem — bom jej nie miał, ale w rzeczy samej wezwałem pomocy Ducha świętego, abym się mógł nauczyć języka, w którym ten fałszywy filozof rozpowiada bluźnierstwa. Trzy miesiące temu, jakem i słowa nie rozumiał po francusku; dziś oto rozumiem, i mogę śledzić tego węża kusiciela, zetrzeć mu głowę jego własnym orężem,

a zasłonić przynajmniej dziatki pańskie od zarazy i zepsucia.

Powszechny dano mi *applauz*. Starosta wstał od stołu i uścisnął mnie. *Konfuzya* Francuza była wielka, i tem większa, gdym mu opowiedział, jakim sposobem i w jakim celu nauczyłem się po francusku, a oraz gdy pan starosta dodał: Odtąd ksiądz Joachim będzie obecnym każdej lekcyi, bo nie chcę moich dzieci na niedowiarków sposobić.

Skromniejszym więc jest teraz, i w obecności mojej cyt! książki tylko swoje przedemną zamyka, ale i do tych dobiorę się kiedyś.

Przy tem rozpowiadaniu przypomniałem sobie słowa mojego księdza gwardyana, które mi na wyjeździe w tej materyi powiedział, powtórzyłem je księdzu kapelanowi.

— Tak, tak — rzekł on — miał racyę twój ksiądz gwardyan; widać, że to jest mądry i przenikliwy kapłan. Jest *zło* między nami, jest! Waszeć tu jednę tylko małą widzisz próbkę, ale *non derogando* twemu rozumowi, nie kwestarskim rozmysłem ani kwestarzowi zdarzyć się mogą zręczności dojść tego i pojąć, jak *ono* obejmuje najpierwsze w kraju naszym głowy, jak ostudza gorliwość kapłanów nawet, jak z chciwością chwytają dziś książki francuskie, napojone jadem niedowiarstwa, i naczytawszy się ich, żartują ze wszystkiego co dotąd jest u nas świętem i nietykalnem. O biada, biada krajowi, w którym tak się dzieje, jak w naszym! upadnie on, niezawodnie upadnie, bo go odstąpi opieka Boska, gdy bojaźń Boska odstępuje; mamy jeszcze zapas cnót domowych, ale i te wygasają powoli, a natomiast szerzy się bezwstydna rozwięzłość i samolubstwo: lecim więc na oślep do upadku doczesnego i do zguby wiecznej.

— Dla Boga! — rzekłem — ratujcież ichmość teologowie, ratujcie!

— A cóż mogą nasze poziome rozumy i sposoby przeciw woli Boskiej? Za nasze to grzechy karze nas Bóg i przypuszcza obłąkanie. Ale czyż rozumiesz, że dlatego wiara nasza święta chrześcijańska upadnie? O nie, wcale nie! bramy piekielne nie poruszą jej! gdy się zdaje chwiać, to się tylko mocuje!...

Ksiądz kapelan porzucił śniadanie i szerokim krokiem przechadzał się po pokoju, a oczy mu ogniem pałały; wiele jeszcze w tym sensie napowiadał mi *sentencyów;* któż je spamięta? słuchałem go, jakby kaznodzieję na ambonie, i tak przeszedł nam czas aż do obiadu, przed którym wyszliśmy trochę do ogrodu, a potem na ganek.

Odjeżdżał właśnie do stajni wózek saski zielony, parą końmi zaprzężony, a gość na nim przybyły już był w pokoju. Poznał ks. kapelan powóz. i powiedział mi, że to przyjechał pan Kwetko, mecenas trybunalski a plenipotent starosty w jego procedurach, którychby nie było, gdyby on starosty nie podwodził do kłótni.

Weszliśmy więc do sali, gdzie już pan marszałek około nakrytego stołu uwijał się, do którego za wejściem państwa z dziećmi i panem filozofem za nimi, po benedykcyi, zasiedliśmy.

— To tedy jesteśmy *jure victi*, panie budowniczy! — odezwał się starosta do pana Kwetki.

— Niezupełnie — odpowiedział on — niezupełnie, bo *remissa* nie znaczy przegraną. Rozumiałem ja wprawdzie, że od razu w trybunale pokonamy szlachcica; ale co się przewlecze, to nie uciecze, a tymczasem *beatus qui*

tenet! więc niech szlachcic prawuje się, a wioseczka przy nas!

— Nie *beatus*, ale *maledictus qui tenet injuste!* — odezwał się ksiądz kapelan.

— Nie wdawaj się w nieswoje, księże teologu — odezwał się pan Kwetko. — *Teologia* i *jurisprudencya*, to dwie osobne *sciencye*, które trudno czasem pogodzić.

— A wszelak — odezwał się starosta — ja jestem zdania księdza Joachima, i dlatego niżeli na nowo w subseliach prawować się rozpoczniemy, poradzić się muszę przyjaciół i prosić o prawdę, choćby nie po mojej stronie, a potem wolę oddać wioskę memu *adwersarzowi*, jeżeli ona mu słusznie należy... Ale o tem potem, a teraz, księże kwestarzu, ponieważ twej *diwidendy* tu potrzebować nie będziemy przy obfitości darów Bożych, więc twojego dowcipu i wesołości pragniemy, którą, panie marszałku, pobudź lampeczką.

Sadzając mnie jeszcze do obiadu, pan marszałek pokazał miejsce samo jedne, na samym końcu stołu długiego, naprzeciw pani starościnej, która także sama jedna najpierwej miejsce zasiadała.

— Tu — rzekł — *miejsce kwestarza*, a to twoja *porcya* — dodał, wskazując na sporą lampeczkę.

— *Deo gratias!* — odpowiedziałem, i rozsiadłem się wygodnie, a poznałem, że marszałek zna swoje rzemiosło, bo gdyby mnie gdzieindziej posadził, chybiłby zwyczajnej reguły.

Nalał mi więc wina, które z zapachu i smaku na wojewodziński *chleb powszedni* zakrawało; smakując zatem powoli, odpowiedziałem staroście:

— Na dworze JWpana tak wszyscy z łaski pańskiej weseli i szczęśliwi, że obejdzie się bez mojego mi-

zernego dowcipu, którego nie miałem jeszcze zręczności i *wyexercytować*, bo pierwszy raz jestem kwestarzem, a bardzo niedawno w zakonie.

— To źle — odezwał się pan Kwetko. — Kwestarz powinien być *jowialista* i *koncepcista;* takimi są *praeter propter* wszyscy koczujący *fratres* Jegomościa; a jeżeli Jegomości na tem brak, to przyjeżdżaj do nas na trybunał, ale miej z sobą kalitę talarów: bo u nas na ustępie, kiedy Najjaśniejszy trybunał w namowie, to prześwietna palestra odbywa wojnę na języki, a za każdy dobry koncept lub żart z kolegi, płaci przegrany po dwa złote do puli, za którą potem śniadanie dla wszystkich [1]). — Otóż małym kosztem nauczysz się u nas rozumu.

— Taniż to rozum — rzekłem — którego za dwa złote można się nauczyć; gdyby tylko nie był on tyle wart, co i tanie mięso?

— A czy nie warta i ta odpowiedź dwa złote? panie budowniczy! — rzekł starosta. — I ostrzegam, nie zaczepiaj skromnego na pozór kwestarza, bo przegrać możesz sowiciej jak w ustępnej.

Ale zaufany w swojej mądrości pan budowniczy, kiwnął głową, i po chwili milczenia zapytał mnie:

— Jakto, mój dobrodzieju, nazywają po klasztorach braci młodych niemszalnych; posługaczów, *et id genus*, którym jednakowo głowy już wygolono?

Nie mogłem domyśleć się, o co idzie panu budowniczemu. — Nie wiem — rzekłem — żadnego osobnego

---

[1]) Zwyczaj to był dawnej palestry trybunalskiej, i wiele stąd zostało anegdot, krążących dziś pomiędzy nami, a przyswojonych częstokroć niesłusznie.

nazwania. Pospolicie zowią nas podług *officyów*, do jakich kto przeznaczony: brat *kwestarz*, brat *servitor*, brat *zakrystyan* i tym podobnie.

— Nie, nie; jest jeszcze osobna a ogólna *denominacya* dla wszystkich takich braci.

— Nie wiem, dobrodzieju! — rzekłem, a już przewidziałem, że mnie zatnie, tylko nie wiedziałem, jak?

— Oj, wiesz, wiesz, tylko powiedzieć nie chcesz, bo niepodobna, abyś w klasztorze ze zwyczajnem swojem imieniem nie spotkał się.

— Nie rozumiem Jegomościa, a kłamać nie umiem.

— No to więc powiem już, kiedyś tak uparty. Każdy taki brat zowie się *pałkuć*, od głowy wygolonej jak pałka. A co? nieprawdaż?

— Prawda, — rzekłem — tylko, że to nazwanie nie w klasztorze, ale za klasztorem częstokroć słyszeć się daje.

— Ale kiedy Jegomość tak biegły w *denominacyach*, to powiedz nam z łaski swojej, jak to w prześwietnej palestrze nazywają patrona, który sprawy przegrywa, tak, jak naprzykład dobrodziej sprawę JW. starosty? Jest i dla takich osobna a ogólna *denominacya*, z którą się nieraz pewnie zdarzyło Jegomości spotkać.

— Zdarza się wygrywać i przegrywać sprawy — rzekł zbity od razu z humoru pan budowniczy, na którego teraz wszyscy oczy obrócili, przewidując, że mu oddam za swoje; — ale to wcale opinii nie dotyka i żadnego przezwiska nie nadaje.

— Oj, nadaje, dobrodzieju, nadaje, tylko Jegomość nie chcesz onego wymówić, bo trochę za twarde.

— Więc już sam, ks. kwestarzu, powiedz nam to

zaklęte słowo, ktorego pan budowniczy wymówić nie chce — rzekł śmiejąc się pan starosta.

— E, da się uprosić — rzekłem — mój przydomek pamiętał, jakżeby własnego zapomniał? Pomyśl tylko, dobrodzieju!

— Ale powiadam, że nie wiem.

— No, to cóż już robić? to ja muszę Jegomości przypomnieć. Takiego tedy jurystę, który sprawy przegrywa, nazywają *kauzyperdą*, mości dobrodzieju! To z łacińskiego, jak pewnie dobrodziej rozumiesz, *perdere causam*. I tej wielmożności *kauzyperdy* Jegomości winszuję, — dodałem, powstawszy, i kłaniając się mu uniżenie.

Śmiech powszechny skonfundował do reszty pana budowniczego. — Płać dwa złote, płać! — wołał nań starosta.

— To więcej warto — odezwał się pan chorąży — bo ja w tem, że przydomek ten zostanie panu Kwetce do śmierci. A za zuchwałość, z jaką wyzywał księdza kwestarza, *cum duplici* powinien zapłacić.

— Nie mam drobnych — odezwał się budowniczy, zdobywając się na humor.

— Dawaj całego talara, dobrodzieju! — rzekłem, poznawszy teraz *subjectum* pańskie — wola Pana Boga! zdam resztę tąż samą monetą.

— Brawo! brawo! — krzyknęli wszyscy. — Już kwita! Musi po obiedzie zapłacić. — A starosta dodał: Mówiłem ci: nie zaczepiaj kwestarza.

Po obiedzie chciałem pożegnać starostę, ale nie pozwolił mnie mówić o odjeździe. Pan Kwetko *volens nolens* zapłacił mi talara, bo go chorąży obsedował bez

ustanku; i poszliśmy z ks. kapelanem do jego kwatery na zwyczajny *requies*.

Requies tedy trwał aż do nieszpornej godziny, a potem pod *manudukcyą* kochanego chorążego, poszedłem na kwestę po dworze. U babulek na podziw nam się udało; wprawdzie obdzieliłem je sowito bernardynką, ale jak zaczął pan Atanazy prawić do każdej dykteryjki i przypominać różne intencye, tak wszystkie, to ze skrzyneczek, to z pod poduszek, to z jakichciś węzełków, dobywały złotówki i korończyki, a mnie do rąk kładły. Żaden też z dworskich nie puścił mnie bez jałmużny, tak że spory mieszek się napełnił, który chorąży talarem bitym pieczętował.

Nazajutrz rano przywołał mnie starosta i rzekł, dając mi papier w rękę: Jeśli ci pilno, kochany ks. kwestarzu, to cię i nie zatrzymuję. Trzodkę twoją kazałem podwoić, a zatem idź do ekonomii. *Vale! Frater!* i póki będziesz kwestarzem, nie mijaj nas nigdy.

— A tobym, JWpanie, krzywdził nasz klasztor, gdybym minął tak dobroczynnego i wspaniałego dygnitarza. *Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum* (sentencya mi się dobrze przydała), a właśnie JWpan i hojną dajesz jałmużnę, i łaskawie przyjmujesz kwestarza. Niechże Bóg wszechmogący nagradza cnoty i hojność pańską, a błogosławi panu w dziatkach, wnukach i prawnukach.

Poszedłem zatem pożegnać księdza kapelana; tam przy kawie rozwinąłem papier przez pana starostę dany, znalazłem w nim assygnacyę do ekonomii, aby odesłano do klasztoru Nieświeżskiego: »Żyta beczek pięć, N. 5. Słodu jęczmiennego na piwo beczek trzy, N. 3. i wołów

karmnych dwa, N. 2., a to na jałmużnę ks. Ławrynowiczowi, kwestarzowi klasztoru Nieświeżskiego«.

Chciałem biedz znowu do starosty, a pokornie dziękować mu za takie dobrodziejstwa, ale zatrzymał mnie ks. Joachim.

— Nie idź, *carissime!* — rzekł on. — To nie cud, że pan tak możny, jak starosta, jest hojnym i wspaniałym: powiadam waści, że to nie cud: bo niemasz u nas panów skąpych na chwałę Bożą, i tem przynajmniej okupują oni swe grzechy marnotrawstwa i zbytków. Starosta zwłaszcza jest nad innych dobroczynny i wspaniały, i nie dla próżności tylko lub chluby, ale z prawdziwej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Cnoty te jego i sentymenta rozpościerają się na cały jego dwór, jak o tem przekonać się mogłeś...

... Sama też pani pobożna i dobroczynna matrona, prawdziwa matka biednych, jak przystało na wielką panią. Wieleż to przez moje ręce przechodzi jej darów do kościołów i do szpitalów! a do tego wieleż to u nas jest i panien i dziatwy, staruszków i staruszek, i tu i po folwarkach, których ona karmi, hoduje, młode za mąż wydaje i wyposaża, a starym do śmierci chleb i kąt ciepły zapewnia! Miło, prawdziwie miło patrzeć na takie użycie dostatków, na takie nasze starodawne cnoty, które bodajby się w potomkach odrodziły. Ale, niestety! i tu nam francuzczyzna broi. Widziałem w Warszawie przykłady, że pan z dawnego mienia i możny z dostatków, powróciwszy z wojażu, przywiózł z sobą *kamerdynera* Francuza, odprawił cały swój dwór i braci szlachtę, którzy u jego ojca i dziada chleb mieli, a służyli im wiernie; a samotny z nowym sługą i konsyliarzem nowej mody, oddawał się cichemu próżnowaniu lub skrytej rozpuście.

— Musiałeś, dobrodzieju — przerwałem, — być kaznodzieją.

Uśmiechnął się ks. Joachim, rad widać memu domysłowi.

— No — rzekł, — dość tego. Musisz, *carissime*, jeszcze jedną odbyć kwestę. Chodź ze mną do paniąt. Starościna kazała, abym cię do nich zaprowadził, bo prosiły u matki pozwolenia obdarzenia cię także. Niewinne i anielskie serca, kiedy ich ten zły duch nie zepsuje.

Jakoż poszliśmy do pokoju panicza, gdzie znajdował się i pan filozof, a nawet przybiegła i panienka, a za nią dziewczyna z węzełkiem.

— Mama — mówił ten aniołek — ofiaruje ks. kwestarzowi do kościoła Nieświeżskiego całe ubranie na mszę świętą, a ja od siebie ten relikwiarzyk i proszę modlić się za zdrowie mamy i papy.

— I ja na też samą intencyę ofiaruję, ile mam — rzekł chłopczyk i podał mi dukata.

Odbierając to wszystko i dziękując dziatkom, aż łzy mi w oczach stanęły, i księdzu kapelanowi także. A wtem francuz, uśmiechając się ironicznie, dobył ze stolika kilka złotówek i niedbale mi podawał.

Patrząc na jego faryzeuszowską minę i postać judaszową, krew we mnie zawrzała; umknąłem rękę i jakby mi kto podszepnął, palnąłem mu z Wirgiliusza:

— *Timeo Danaos et dona ferentes.*

— *Kes? kes? kes?* — zaszwargotał on, obracając się do księdza kapelana.

— On po łacinie nie umie — rzekł ten, śmiejąc się.

— A więc wytłómacz mu, *reverendissime*, naprzód moje podziwienie, że taki mędrzec po łacinie nie umie, a potem powiedz mu, że to, com powiedział, znaczy:

Boję się darów z ręki nieczystej!

Francuz na to, uśmiechając się znowu, okazał mi swoje rączki wychuchane i białe, jak z wosku jarzącego.

A ja na to rzekłem, obligując zawsze ks. kapelana, aby mu wytłómaczył *peryodami*, że ręka nieczysta znaczy taką, która się nigdy krzyżem świętym nie żegna, ręka niedowiarka i ateusza, ręka, której poczciwy chrześcijanin dotykać się nie powinien, aby się bezbożnością, jak krostą, nie zaraził.

Wytłómaczywszy mu moją *allokucyę verbum de verbo* ks. Joachim, brawo! — rzekł i uścisnął mnie w jego oczach. — Francuz się uśmiechnął wprawdzie, jednak poczerwieniał i wyszedł do drugiego pokoju; dziatki nań z bojaźnią i podziwieniem obróciły oczki.

Pożegnałem ich nakoniec; uścisnąłem i pożegnałem ks. kapelana i wszystkich a wszystkich, których napotkałem, mieszkańców tego bogobojnego domu. Na dziedzińcu czatował na mnie marszałek i gwałtem zaciągnął do siebie. Tam znalazłem panów rezydentów i wielu innych dworskich i uraczywszy się nietylko wybornem śniadaniem, ale i trojniaczkiem wyśmienitym, po kordyalnem pożegnaniu, przyrzekłszy, że za drugim wyjazdem na kwestę znowu tu zawitam, poszedłem na ekonomię, niosąc pod pachą węzełek starościnej, a relikwiarzyk starościanki na piersiach.

— No, jedźmy, Marcinie! — rzekłem, ujrzawszy go przed folwarkiem.

— A w jakież to ordery Jegomość się ubrał? Podobno trochę zapruszył się Jegomość? No, to nic nie szkodzi. Nieboszczyk ks. Jacek to i często bywało sobie podpije, ale wtenczas jeszcze gładziej do baranów domawia się. A to jakiś relikwiarz, nie order, chwała Bogu!

Wytłómaczyłem mu wszystko, rozwinąłem zawiniątko i znalazłem piękny aparat na mszę, a jednak Marcin kiwał głową i nie cieszył się ze mną.

— A cóż u licha! — rzekłem, — czy i to jeszcze tobie za mało?

— A cóż, to do Jegomościa należy zbierać ornaty i relikwiarze? Nie po to nas wysłali. Zakrystya nasza, Chwała Bogu, nie uboga, a *dyspensa* jak baranów nie zbierzem, będzie pusta.

— Alboż ci baranów nie wydano jeszcze?

— Ani jednego jagnięcia.

— No to pójdźmy do ekonomii.

Tam dopiero rozmarszczył łeb stary mruk, gdy posłyszał treść assygnaty i zapytanie pana *dyspozytora*, wiele mamy baranów? gdyż pan mu kazał dodać tyle drugie.

— Mamy dwadzieścia cztery sztuki — odpowiedział on.

— I dziesięciu jeszcze nie mamy — rzekłem.

— Ja mówiłem, że Jegomość *zapruszył* się, bo i lik stracił.

Uśmiechnął się pan podstarości.

— Niechże sobie będzie, jakbyście mieli dziesięć, bo i sam widziałem, że więcej niema, drugi więc dziesiątek złączy się wraz z waszemi, a zboże i woły jutro do Nieświeża wyprawię. Pan Marcin przypomniał mnie o waszych zapasach podróżnych, napełniłem więc puzderko i krobę, a to, księże kwestarzu, przyjm za jałmużnę odemnie.

Napisałem listek do mojego księdza gwardyana, oddałem aparata i relikwiarz dla odesłania razem ze zbożem i nakoniec wyjechałem z tego raju ziemskiego, żałując, żem zeń węża kusiciela nie wypędził.

XIX.

Casus fatalis.

Już ze trzy tygodnie włóczyłem się po świecie i trzodka moja do kopy dochodziła, a chociaż nie zdarzyło mi się nic do zapisywania w moim raptularzu, jednak nie nudziłem się moją włóczęgą.

Jadę po kraju żyznym i wesołym. Chłopki na polach koszą sianko, albo żną żytko czy pszeniczkę: bo coś tego roku roboty gospodarskie zbiegły się. Jak odezwę się: *Boże dopomóż!* to odpowiadają mi rzeźwo i wdzięczną twarzą: *Na zdrowie Jegomości!* Czasami Marcin stanie na popaskę przy gromadzie żniwiarzy lub kośców; natenczas radzi oni z tego bardzo i my radzi; częstujemy się, czem Bóg dał, nawzajem; a że z łaski ruchliwości Marcina zapasy moje podróżne, a szczególniej puzderko, zawsze pełne, więc za traktament podrzucają i sianka świeżego i snopków owsa moim baranom i koniom. A zatem idzie rozmowa prosta i nie mądra, ale szczera i życzliwa. Czasami staniemy i przy dwornem polu, to już tam pan ekonom rej wodzi. Chłopki na ten czas nie tak śmiałe, ale przecież nie widziałem, chwała bądź Bogu, ani wielkiego rygoru, ani kańczukowania, ani przypędzanek. Ekonomy, po większej części staruszkowie, a przynajmniej

podżyli; niejednego z koronką na szyi, trzepiącego różaniec, postrzegłem, a szkaplerze na wszystkich piersiach, i nieraz sobie pomyślałem, że choćby zepsucie i niedowiarstwo objęło wszystkich wielkich panów, a nawet i mniejszych półpanków, nie dojdzie jednak do poczciwych chłopków i do drobnej braci szlachty, bo oni czytać nie umieją, a z ambony niedowiarstwa ogłaszać nikt nie będzie, a tak chwała Boska nie ustanie.

Otóż tak wlokąc się zawczora spokojnie i powoli, wypatrywaliśmy z Marcinem sposobnego miejsca na popas i upatrzywszy przy drodze piękny gaik brzozowy, a za nim rzeczkę, zwłaszcza, że słońce dopiekało; roztassowaliśmy się z naszym obozem, nie przewidując, że tu miał nas spotkać *casus fatalis*, który mnie omal wszystkich baranów nie pozbawił. Rozbiegły się one po gaiku i zaczęły skubać trawkę. Ja z Marcinem odprzęgliśmy konie i nasypaliśmy im owsa na derkach; przekąsiwszy potem nieco i zdawszy wartę owiec na Marcina, rozciągnąłem się pod drzewem i zasnąłem.

Marcin łyknął bodaj zanadto z flaszy i zdawszy wartę na Panfila, toż samo co i ja uczynił, a trzodka tymczasem przebiegła lasek, napiła się w rzeczułce, a obaczywszy za nią piękną osieliczkę i nie mogąc oprzeć się pokusie, przebrnęła rzeczkę...

Wielkie hałasy i krzyki przebudziły mnie. Zerwałem się z ziemi, a nie widząc baranów, krzyknąłem: Marcinie! a ty śpiochu przeklęty! gdzie barany?

Porwał się Marcin i oglądając się na wszystkie strony: Panfil! — krzyknął, — Panfil! a ty śpiochu przeklęty! gdzie barany?

Panfil pobiegł tropem czy wiatrem i zaczął ujadać nad rzeczką, a Eliasz i Barabasz odezwali się do nas

żałośnie. Więc przebiegliśmy także brzezinkę i ujrzeliśmy na drugiej sstronie rzeczki nasze owce i jakiegoś jegomościa w białej płóciennej kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu, z wielkim kijem w ręku; komenderował on kilku chłopami, zapędzającymi naszą trzodę z łąki na drogę, do bliskiego dworku, którego za brzezinką nie dostrzegłem.

— A to ty! popie! proszę uniżenie! — wrzasnął, ujrzawszy mnie ten jegomość. — A to ty, popie, przywędrowałeś tu spasać moje łąki! proszę uniżenie!

— Przepraszam dobrodzieja, przepraszam stokrotnie i pokornie; winien jestem; *mea culpa*, dobrodzieju! Zasnąłem trochę widzi jegomość; toż samo uczynił mój stary furman i mój stary pies i nie pilnowali baranów.

— Piękna *komparacya!* — pomruknął Marcin.

— Ale jegomość nie każ tak pędzić owiec, bo jeszcze bardziej łąkę podepczą, a czasami wbiegną i do zboża; my zawołamy prowodyrów, to i powrócą na tę stronę.

— A cóż to myślisz? proszę uniżenie, że cię na sucho wypuszczę po takiej szkodzie? Grabię twoje owieczki i kwita!

Jakoż chłopcy jego pędzili nasze stadko ku dworowi.

— Jakto? mój dobrodzieju! Jegomość chyba żartujesz, albo chcesz mnie takim konceptem do siebie *zawokować*. Byłbym i sam zajechał, ale nie obaczyłem dworu pańskiego za brzezinką.

Tymczasem Marcin krzyknął razy kilka po swojemu. Eliasz i Barabasz, usłyszawszy głos jego, rzucili się ku nam, trzoda za nimi; chłopcy zabiegli im drogę, ale dostawszy tęgie *bukisz*, wywrócili koziołka. Jegomość stanął naprzeciw z kijem, a Marcin przebrnął rzeczkę w sukurs

naszym walecznym *prewodyrom*. *Panfil* wył i ujadał, barany beczały, my krzyczeli, wcale jakby sprawa na *dyferencyi*, lub zajazd.

— A to jeszcze, popie, wozisz z sobą dwóch rozbójników! pokaleczyli mnie chłopców! Wara! proszę uniżenie, stary grzybie! — wrzasnął na Marcina, który z biczem około chłopców zawijał się — wara! bo cię oplażę na wszystkie boki. Sto bizunów! proszę uniżenie!

Odwołałem Marcina, za nim Eliasz i Barabasz z kilką baranami przeskoczyli do nas, a resztę popędzono do dworu.

— Kiedy tak, to wolaż Pana Boga! Ten mnie nagrodzi! — rzekłem, podnosząc z piersi i całując krzyż. — Pojadę nazad po moich dobrodziejach, opowiem im moją krzywdę; wspomogą mnie znowu, a klasztor z głodu nie umrze. Marcinie! zaprzęgaj i zawracaj... A jegomość zabieraj moje owce, ale pamiętaj, że pożałujesz tego: bo krzywda każda o pomstę Boga woła i sumienie własne spać ci nie da! Zechcesz może potem odpędzać własnemi nogami aż do klasztoru, ale już to będzie po czasie... *Bo Bóg widzi — Czas ucieka — Śmierć goni — Wieczność czeka.*

— Cóż to, proszę uniżenie, przeklinasz mnie?

— A broń Boże! owszem, niech Jegomości Pan Bóg nie pamięta! ja tylko ostrzegam.

— A z jakiego waszeć konwentu?

— A na co dobrodziejowi wiadomość ta potrzebna?

— Na co potrzebna? proszę uniżenie! musi być potrzebna, kiedy się pytam.

— Daj mi już Jegomość pokój, i bądź zdrów. Marcinie! dobądź puzderko; napijemy się na ten frasunek

i powleczemy się do łaskawszych, czy litościwszych ludzi.

Marcin podniósł flaszeczkę. — Do ciebie — rzekłem, nalewając.

— A czemuż waszeć do mnie nie przepijesz? proszę uniżenie. Interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią.

— Jakto? zabrałeś mi barany i jeszcze mam cię częstować?... Ale, prawda, Bóg kazał przebaczać nieprzyjaciołom. W ręce więc pańskie.

— Dziękuję. Jakże to będzie przez rzeczkę? proszę uniżenie.

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i pobrnął w wodę.

A wtem ujrzałem wracające ze dworu moje barany; pędzili je też same chłopaki, a za nimi postrzegłem *imość*, i nawet po minie jegomościnej poznałem, że to żona jego, bo zupełnie opuścił uszy, a wychyliwszy kieliszek: Pogodzim się, księże kwestarzu! proszę uniżenie!

— I ja widzę, że się pogodzim, bo barany moje wracają z przybytkiem. Nie było czarnego, a teraz jest.

— Co waspanu stało się? mój jegomosteczek! — odezwała się seryo, nadchodząca pani.

— Moje serce... proszę uniżenie...

— Da, daj waspan pokój, wiem o wszystkiem. Proszę darować tę mitręgę, księże kwestarzu dobrodzieju! Mój Jegomostek często sam nie wie, co robi. Cobyś miał zaprosić do domu i obdarzyć, to grabisz i krzywdzisz. Zły duch waspana opętał, czy co?

— Bo widzisz, moje serce, szkoda znaczna, i chłopcy, proszę uniżenie, pokaleczeni.

— Da, co waspan bałamucisz? gdzie tam pokaleczeni? gdzie ta szkoda?

— Szkodę — rzekłem — Pan Bóg nagrodzi, trawa odrośnie, a imości dobrodzice także Bóg pobłogosławi za dobry uczynek.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! ksiądz kwestarz rozumniejszy od waspana. Jegomosteczek głupi jesteś, więc zawsze i głupstwa robisz. Ja, wątpiąc, czy po takim *certamencie* Jegomość dobrodziej zechcesz do nas zawitać, dołączyłam i mego czarnego barana, a to, aby on, jako inny od wszystkich, przypomniał Jegomości, że co gospodarz nabroił, to gospodyni naprawiła.

— Mybyśmy już i tak, moje serce, proszę uniżenie, pogodzili się z księdzem kwestarzem.

— Da milcz jegomosteczek, zmiłuj się, milcz! Ja taki waspanu tego nie daruję; we środę pójdziesz do spowiedzi, a ja sama z księdzem proboszczem o pokucie pogadam. Czy to pięknie? czy to po chrześcijańsku? Aż mnie wstyd za waspana! Jeżeli Jegomość dobrodziej nie masz rankoru to proszę do nas na filiżankę kawy.

— Proszę uniżenie... po staremu...

— A milczże waspan! już mówiłam, milcz! ot wolej pomóż księdzu kwestarzowi przeprawić się do dworu przez mostek; bo choć tyle razy i kazałam i krzyczałam, dotąd nie naprawiony.

— Widzisz, moje serce... ekonom, proszę uniżenie...

— A znowu gadasz. Leniuch jesteś, na ekonoma zdajesz co potrzeba, a co nie potrzeba, sam robisz. Spowiadaj się waspan i po wszystkiem.

— Mamże oczekiwać księdza kwestarza dobrodzieja?— zapytała imość, a jegomostek stojąc za nią z tyłu, kłaniał mi się pokornie i na migi zapraszał do dworu.

— Dziękuję dobrodzice za łaskawe serce. Czarnego baranka nie dam zarznąć i hodować będę na *prewodyra*, aby mnie drugim razem zaprowadził do tak bogobojnej pani, a teraz żegnam moich dobrodziejów, bo mi pilno przed Porcyunkułą wracać do klasztoru i sukurs na *fest* przypędzić.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! to niechże Bóg szczęśliwie prowadzi, a proszę nas nie mijać. Mój jegomosteczek drugi raz takiego głupstwa nie zrobi.

— Moje serce! nie alteruj się, proszę uniżenie; dalibóg wyspowiadam się we środę.

— Da, milcz waspan!

Odeszli.

Patrząc za nimi i pokręcając głową: *Hic mulier!*— rzekłem.

A Marcin obok mnie kręcąc także głową: *Szwed baba!* — rzekł.

Wytłómaczył więc *regularnie* moją łacinę i ruszyliśmy dalej.

XX.

U księdza plebana.

Przebyłem już napowrót *Niemen*, zawracając się ku Nieświeżowi.

(Tu kilka kart wydartych, a potem jak następuje):

Przed plebanią, na ławeczce, pod starą brzozą, a przed nami stolik i na nim dzban cieńkuszu, do jakiego ani ja

w klasztorze, ani widać ksiądz prałat w swojej bogatej plebanii nie przywykł. Marszczył się więc *reverendissimus* popijając, ale pił jednak, bo nie było lepszego, a upał choć pod zachód słońca, dokuczał jeszcze.

— Jesteś bezwątpienia — rzekł ksiądz prałat, prowadząc dalej zaczętą w plebanii rozmowę i napominki, których pleban, staruszek cierpliwy, w milczeniu słuchał dotąd — jesteś kapłan gorliwy i pobożny, służba Boża w kościółku twoim idzie przykładnie, ależ sprawa sprawy nie tamuje. *Et haec facienda, et illa non omittenda.* Mógłbyś przytem pomyśleć staranniej i o doczesnym żywocie. Plebanijka to wprawdzie maleńka, a ziemia dobra, chłopki ciepłe, a gospodarstwo — pożal się Boże! Wstydź się! U mnie inaczej. Przyjedź tylko do mnie, nauczę cię rozumu. Pochodzim po polach; obaczysz, jak u mnie wyorano, jak wybronowano, jak zasiano, i jak chwała Bogu rodzi. Nauczę cię i pieniążki zbierać, i lepsze piwo robić, bo tą lurą i gardło i humor skwasim.

Staruszek uchylił osiwiałą głowę, jakby dziękował za ofiarowaną naukę, a potem z cicha, powoli, nieśmiało, modląc się raczej, niżeli odpowiadając księdzu prałatowi, mówił:

— »Albowiem królestwo Boże nie jest ci pokarm ani picie, ale sprawiedliwość i pokój i wesele w Duchu świętym! Przetoż tedy starajmy się o rzeczy, które pokojowi należą, i tego, co jest ku zbudowaniu, społecznie strzeżmy«.

— A toż znowu co? — rzekł ksiądz prałat kręcąc palcem nad łbem — a toż znowu co?

— *Słowa św. Pawła do Rzymian, reverendissime!* — odpowiedział staruszek.

— Prawda, ale cóż to ma wspólnego z twojem gospodarstwem i podpiwkiem?

— »Dla pokarmu nie psuj sprawy Bożej!« *ibidem reverendissime.*

— Porzuć waść te cytacye. Kto cię nawraca do obżarstwa? chybaby kwestarz, jako nawykły do bernardyńskich porcyj.

— Pomierzmy brzuchy, dobrodzieju — odezwałem się na tę zaczepkę, bo widziałem, że *periferya* księdza kanonika dwa razy większa od mojej. — Bodaj pasek mój nie zejdzie się na Jegomości.

— Pleciesz — rzekł ksiądz prałat. — A waść, księżulu, nie wczas wyjechałeś z świętym Pawłem, bo co się mówi o gospodarstwie, to się nie tycze obowiązków naszego stanu; jedno drugiemu nie przeszkadza.

Ksiądz pleban pokręcił głową.

— Pięknie, gdybym ja, mając porządne *beneficium*, gospodarzył jak ty, bracie! A toćbym marnował dar Boży!

— »Są różnice darów, lecz tenże sam duch być ma!« mówi święty Paweł do Koryntyan, *reverendissime!*

— Znowu wyzywasz mnie na teologiczną dysputę, a ja poprostu chcę ci dowieść, że opuszczenie się w twoich domowych sprawach doprowadzi cię do ubóstwa, tak że nie będziesz mógł potem ani łaknącego nakarmić, ani pragnącego napoić.

— Dam łaknącemu kawałek suchego chleba, który sam pożywać będę — odpowiedział starzec tym samym pobożnym i dobrotliwym głosem — a pragnącemu kubek wody, albo i tego podpiwku, w którym bogaty prałat nie smakuje, a który ochłodzi pragnącego... »Azaż Bóg nie obrał ubogich na tym świecie, aby byli bogatymi w wie-

rze, i dziedzicami królestwa, które Bóg obiecał tym, którzy go miłują?« *Tak pisze święty Jakób w Liście powszechnym!*

Prostota i łagodność, z jaką te słowa wymawiał ksiądz pleban, a bodaj i same słowa, dotknęły prałata. Skąsił usta, zmarszczył brew i rzekł:

— Prawda to, ojcze, prawda! Umiesz Ojców Kościoła na pamięć, a naśladujesz ich twojem świątobliwem życiem; lecz też pamiętać należy, że mamy obowiązki na świecie nietylko duchowne, ale niejako i doczesne. Jesteśmy szafarzami darów Kościoła, powinniśmy się więc starać, aby ich nie zabrakło dla biednych w ogólności, a wolno też pomyśleć i w szczególności o potrzebujących, częstokroć powinowatych naszych, krewnych, którym wsparcie za życia, a pamiątka po śmierci od nas się godzi.

— »Bez ojca, bez matki, bez rodu; nie mają ani początku dniów, ani końca żywota; ale przypodobany synowi Bożemu, trwa kapłanem na wieki!» *Tak pisze święty Paweł.*

— Róbże sobie jak chcesz — rzekł powstając zniecierpliwiony prałat. — Jakbyś nie miał słów własnych, konfundować mnie chcesz słowami Apostołów.

— Nie gniewaj się, *reverendissime* — rzekł ksiądz pleban. — Nie miałem zamiaru ubliżać wyższemu ode mnie w Kościele Bożym; ale w różności naszego przekonania, słowa moje własne naprzeciw słów i powagi twojej, *reverendissime*, nic obroniłyby mnie. »Nie spieraj się słowy, bo się to na nic nie przygodzi, jedno na skazę słuchających, a świeckich rzeczy i próżnomowności strzeż się!« *nauczał także święty Paweł.* Wolałem więc nieudolność moją wesprzeć tem, na czem i codzienne moje życie

i niedostatki, i kłopoty opieram; to jest, słowami, które codzień czytając, rozważając i przepisując, wraziłem sobie w pamięć i w serce. W nich, mości księże prałacie dobrodzieju, moja obrona naprzeciw światu i jego pokusom; w nich moja pociecha w samotności i utrapieniach, od których któż wolny na tym padole płaczu? z nich moc ducha niewątlącego się wiekiem moim zgrzybiałym. »A owoc ducha (jako powiada *Paweł święty*) jest miłość, wesele, pokój, cierpliwość, dobrotliwość, cichość, wiara, mierność, sprawiedliwość, czystość«...

... Nie przeto, abym te wszystkie dary i cnoty posiadał; uchowaj mnie Boże od takiej pychy; ale myśl moja tak nawykła w każdem zastanowieniu zawracać się na tę drogę, że wprzód, nim własne wynajdę zdanie, natrafiam na gotowe święte prawidło, za którem idę bez namysłu, i nigdy nie zabłądziłem; dlatego dusza moja i sumienie wolne, chwała Bogu, od wszelkiego ciężaru. Nie zapędzam się w gospodarstwie, ani kłopotam się o pomnożenie dostatków lub zbieranie pieniędzy. »Obyczaje twoje niech będą bez łakomstwa, przestawając na tem, co teraz jest. Boć sam powiedział: nie zaniecham cię, ani cię opuszczę!«... *Słowa świętego Pawła, reverendissime!...*

... Starania około zbawienia duszy własnej, około dobra a zbudowania trzodki mojej, utrzymania ubogiego tego domku Bożego i w nim chwały Boskiej, oto, *reverendissime*, wszystko, nad czem codziennie myślę i pracuję. Resztę i całą przyszłość oddaję woli i opiece Boskiej, bo: »Nie waszać rzecz, nie waszać, znać czasy i chwile, które Ojciec w swej władzy położył«, *powiedział Chrystus...*

... A jednak Boże uchowaj, abym sądził innych po-

dług siebie, i mniemał, żem doskonalszy od braci moich. »*Każdy z nas za się zda liczbę Bogu*« — *mówi święty Paweł*. Gotując się więc do tego ciężkiego rachunku, na który przyjść wkrótce mi wypadnie, do miłosierdzia Boskiego, nie do zasług i wartości mojej uciekam się...

... Zatem przebacz mi, *reverendissime*, jeżelim cię nie chcąc obraził! — i tu chciał staruszek ucałować rękę prałatowi. Umknął ten ją z pośpiechem i zamyślił się głęboko. Ksiądz pleban milczał, i ja także, rozważając świątobliwość i pokorę jego. — A wtem zadzwoniono na nieszpór.

XXI.

Powrót.

Już nam z daleka orzeł Radziwiłłowski ukazał się na wieży zamkowej i kręcił się od wiatru na wszystkie strony, gdy Marcin rzekł do mnie: Wiele Jegomość zebrałeś gotówki?

— Nie liczyłem. Oddam cały worek księdzu gwardyanowi; niech sobie sam i policzy.

— Daj mnie Jegomość talara.

— A to na co?

— Już to taki obyczaj. Ja od każdego kwestarza biorę po talarze, niby na buty; ale, prawdę mówiąc, idzie on na konsolacyę ze stajennymi zamkowymi, moimi wielkimi przyjaciołami. Na buty zbiorę, przyprawiając tabakę dla całego klasztoru, bo mam na to sekret niebo-szczyka księdza Rafała, trzeciego kwestarza przed Jegomościem. I nikt tak definitorskim nosom nie dogodzi, jak ja.

Dobyłem więc kieskę i dałem mu talara.

— Chwałaż Bogu nie z próżnemi rękami wracamy — rzekł on, postrzegłszy pieniądze; — jest co i do karbony oddać, i sobie zostawić. A wieleż Jegomość sobie schowasz?

— Bałamucisz. Jak ci do głowy przyjść mogło, że choć grosz dla siebie ukryję? Jeżeli tobie daję talara, to dlatego, że zasłużyłeś, jak mi się zdaje, na to, pilnując przez kilka tygodni koni, wozów i baranów.

— To tylko dlatego? Jegomość-że bałamucisz, ale nie ja — odpowiedział z gniewem Marcin. — To Jegomość płacisz mnie tylko jak furmanowi i pastuchowi! Kłaniam uniżenie! Weźże Jegomość sobie nazad swego talara, i kwita z przyjaźni!...

... To Jegomość rozumiesz, że *byle jakiś furman*, to i kwesta uda się? Przepraszam Jegomościa! A ja mówię, że *byle jaki kwestarz*, aby tylko furman dobry i wiedział, gdzie zawracać, to i kwesta pójdzie wyśmienicie. A nawet gdyby puścić dropiatego naprzód i dać jemu prewodyrów naszych, a Panfila za stróża od wilków, to i tak bez kwestarzów i furmanów, jak on zna wszystkie drogi, nazbierałby baranów...

... Onegdaj, pamiętasz Jegomość, ja nie chciałem zawracać do tego sknery, co się schował przed nami za dziurawy parawan, a chłopcowi kazał powiedzieć, że wyjechał. Prawda, że Jegomość, postrzegłszy łysinę za parawanem, po kwestarsku jemu dociąłeś, odpowiadając chłopcowi, że pokłoń się panu jak powróci, i powiedz,

żeby drugi raz, wyjeżdżając z domu, łysiny swojej nie zostawiał za parawanami. No, gdybym ja był w pokoju, tobym ja jego stamtąd wyciągnął, ale Jegomość wielki na to polityk...

... I wszędzie, gdzie ja zajeżdżać nie chciałem, skończyło się na *z Panem Bogiem!* a gdzie dropiaty zwrócił się, to i baran przybył. To nic nie znaczy u Jegomościa? a że kroba i puzderko zawsze pełne były, to także nic? Oj, ludzie! ludzie! pożal się Boże!

Głową kiwał Marcin, trząsł z rożka tabakę i wzdychał, ale talara schował do kieszeni.

— Zgoda, panie Marcinie! — rzekłem. — Prawda, żeś ty stary ćwik i doświadczony na kwestę. Pojedziemy znowu z sobą, kiedy Bóg pozwoli.

— A zwyczajnie, że pojedziem, bo i ja przed całym klasztorem inaczej nie powiem, jak tylko, że Jegomość całą gębą kwestarz; umiesz sobie i u panów i u chudopachołków poradzić... Co do pieniędzy, któż Jegomości radzi schować? *Per modum...* — Zamilkł Marcin, szukając grzecznego wyrazu.

— *Per modum* ukraść — dopomogłem mu.

— Nie... tego... ale... bo Jegomość nowicyusz; nie wiesz tego, że kwestarz powinien sam starać się o wszystko do drogi i w drodze: wozy naprawiać, konie kuć, odziać furmana i siebie: bo, prócz habitu, Jegomości, jako kwestarzowi, nic więcej z klasztoru nie dadzą, a za to rachunku z nazbieranych pieniędzy żaden kwestarz nie zdaje. Już to na jego sumieniu. Nieboszczyk ksiądz Jacek umierając, sto talarów bitych oddał do karbony bractwa różańcowego. Za toż codzień dziady i baby śpiewają za jego duszę *Anioł Pański.* Czy to źle?

Pod wieczór wjechaliśmy tryumfalnie na dziedziniec klasztorny. Dropiaty zarżał, zwiastując nasze przybycie a poznając swoją stajnię.

— *Salve Frater amantissime!* Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan, witając mnie na ganku, a ściskając po przyjacielsku.

I wszyscy ojcowie pozdrowili mnie chórem.

— Czekałem cię jak kania deszczu — rzekł ksiądz gwardyan; — rozumiałem, żeś gdzie znowu za marszałka przystał, zwłaszcza, żeś się z panami pobratał. Odebraliśmy z wielką pociechą dary z *munificencyi* starosty, przez ciebie wyjednane. Niech mu dobroczynność jego idzie na pożytek duchowny, tak jak nas cielesnym zasilił. Baranów jak gwiazd! Ot co jest! Widzisz, mówiłem ci na wyjeździe, że jeszcze ludzkość, pobożność i dobroczynność żyje na Litwie! Ot co jest!

— Prawda, *reverendissime*, prawda! wszystko prawda! nawet i coś namieniał o niedowiarstwie i zgorszeniu, gdzieniegdzie wytykającem głowę, i na tom napadł; nawet na samego apostoła złośliwości.

— *Caetera ad coram* — przerwał mi ksiądz gwardyan — bracie Michale; a teraz idź, wypocznij po drodze.

Post silentium zawołał mnie ksiądz gwardyan do siebie; widać nie chciał mieć świadków naszej poufałej rozmowy. Przyniosłem mu pieniądze. Odliczyliśmy złotych dwieście kilkadziesiąt w różnej monecie.

— Bóg zapłać, — rzekł on — i waści, bracie Michale i dobrodziejom naszym. Ot co jest!... Cóż tam po-

wiesz mi o swoich obserwacyach światowych, o których nadmieniłeś?

Więc mu opowiedziałem cały progres bytności naszej u starosty i moją poniewierkę dla francuza i jego pieniędzy.

— *Bene!* Ot co jest! *Bene! valde bene!* Znalazłeś się, jakbym sam lepiej nie potrafił, a powracasz do klasztoru rozumniejszym, jak wyjechałeś, bo nauczyłeś się wojować z nieprzyjacielem, z niedowiarstwem, które z obowiązku twojego stanu gromić zawsze powinieneś.

Gdym mu zaś powiadał o pobożności ludu pospolitego, chłopków i drobniejszej szlachty. — I to prawda — odpowiedział mi, — do nich zaraza nie dochodzi i nie dojdzie nigdy, choćby się między panami chrześcijańskimi najszerzej rozlała. Prostaczkowie przyjęli przychodzącego Jezusa na ten świat, prostaczkowie i zachowają go w sercach, gdy bezbożni zawziętość swą wywierać nań będą. Ot co jest! Ale Bóg, w czasie koniec złemu położy; zalepienie przejdzie! A natenczas monarchowie i mędrce świata tego, jak owi trzej niegdyś ze wschodu, przyjdą za gwiazdą prawdziwej chrześcijańskiej mądrości, a z pokorą i skruchą uderzą Mu czołem na nowo. Ot co jest! i co daj Boże! Amen.

XXII.

Rok 1812.

Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie! śpiewamy codzień w suplikacyi. Pierwszych dwóch

plag Boskich za moich czasów Bóg na nas nie dopuścił; ogień — co bez czego? ale ostatniej doznaliśmy już pierwej i doznajemy teraz, ze wszystkiemi jej okropnościami, rabunkiem, zniszczeniem i gwałtami wszelkiego rodzaju.

Co potem nastąpi, Bogu wiedzieć. Nie obejdzie się zapewne i bez dalszych nieszczęśliwych konsekwencyj, to jest, moru i głodu. Co zaś najbardziej trwoży nas i boleścią przeszywa, to profanacya świątyń Pańskich i ostatnia pogarda dla sług Bożych, a poniewierka dla świętej naszej wiary. O Boże! Boże! czegóż doczekaliśmy? Widać bliskie skończenie świata!!!

Mieszkałem ja od lat dwóch w klasztorze naszym w Wilnie, gdy zaraz z wiosny rozchodzić się poczęły wieści o wojnie, o zbliżaniu się Francuzów i nareszcie, że stoją nad Niemnem, a rychło i do nas zawitają.

W Wilnie publika wielka, jakiej to miasto dawno nie widziało i widzieć pono nie będzie. Cesarz bowiem Aleksander, którego wszyscy czczą i aniołem dobroci nazywają, założył tu swoją rezydencyę.

Kiedy on konno wyjeżdżał do miasta przez Antokol, to od huku harmat i wszystkich dzwonów, aż miasto się trzęsło.

Kto tylko potem chciał — a któż nie chciał? — mógł go codziennie widywać, czy to przejeżdżającego się także konno po pięknych okolicach Wilna, czy to musztrującego wojsko, którego było w mieście i za miastem moc nieprzeliczona. Sama gwardya cesarska kiedy wystąpiła na rewię za Wileńską bramę, to okryła całe pole i bory od miasta aż pod Zakret.

A jakaż to assystencya! jaka parada przy cesarzu! wiele to tam generałów! książąt! orderowych panów!

a wszystko precz od złota! Było nawet kilku posłów od zagranicznych nacyj. Sam widziałem na tej rewii posła szwedzkiego. Znaczny był zdaleka, bo w granatowym bogato szamerowanym mundurze, z żółtem piórem na kapeluszu i złotą szarfą, kiedy wszyscy mieli szarfy srebrne. Tłumy ludu wysypały się za miasto; a między tłumem i nas kilku ciekawszych dla przypatrzenia się tej niby to wojnie, a za górą była już i prawdziwa.

Do klasztoru do nas hurmem szły nowiny; bo z miasta znajomi i przyjaciele przychodzili codzień wieczorem na wyśmienite nasze piwko do ogrodu i pod cieniem drzew gwarzyli o wszystkiem, co słychać było. W mieście zaś był ruch nadzwyczajny. Nakoniec jednego ranka, gdym był u księdza kustosza dla klasztornych dyspozycyj, wpadł nagle do celi pan budowniczy Orzechowski, nasz tercyarz i sąsiad od klasztoru, i krzyknął: Tatuleńku! już przeszli Niemen!

— Co wasan mówisz? Czy pewnie?

— A najpewniej! Wczora moje chłopcy, to jest, akademicy mieszkający w mojej kamienicy, byli na balu w Zakrecie i na swoje oczy widzieli kuryera, który wpadł tam na bal nawet, z doniesieniem tej nowiny. Dziś już całe miasto wie o tem i niema sekretu.

— Więc tu będzie wojna?

— Jakie to *futurum?* kiedy tu już *tempus praesens.* Jest już wojna, tatuleńku! jest! tylko nie tu, nie koło Wilna, i u nas, jak powiadają, jej i nie będzie. Bo widzisz, *ut fert fama*, Rosyanie mają się rejterować w głąb kraju i wprowadzić za sobą Francuzów w łyka. Każ dać wódki, tatuleńku! bo to jest *materia gravis*, podług mojej *ekwanimii.*

Napiliśmy się po razu. — Cóż teraz robić? — zapytał ks. kustosz.

— A cóż robić? jedno z drugiem *nic.* Podług mojej *ekwanimii*, siedzieć cicho w klasztorze, modlić się Panu Bogu! i przychować dla wszystkiego ważniejsze *preciosa* kościelne. Ja nawet mój kuferek przyniosę dziś w nocy do Ichmościów.

— A to dlaczego?

— Dlaczego?... dlaczego? ot mówiłem Jegomości, *dla wszystkiego*.. a kiedy mam otwarcie powiedzieć — dodał ciszej i jąkając się — bo powiadają, tatuleńku... że Francuzi rabują, a nawet... kościoły odzierają!...

— Jakto być może? Fałsz! To naród chrześcijański, mospanie!

— Już to, podług mojej *ekwanimii*, chrześcijaństwo u nich wątpliwe, tatuleńku! Wiesz, że Napoleon Bonaparte papieża z Rzymu wypędził, a syna królem rzymskim ogłosił; więc *signum pro re signata.* Zresztą, rób jak chcesz, tatuleńku. Ja wieczorem podejdę, a teraz biegnę na miasto. Nie usiedzieć w domu, gdy co godzina to nowina.

Gdy wyszedł pan budowniczy, ksiądz kustosz zebrał ojców na *consilium.* Przyszedł, opierając się na kiju, staruszek ksiądz definitor, mój najpierwszy gwardyan miński i dobrodziej, z którym po większej części wiek mój zakonny strawiłem i którego kocham i szanuję jak ojca. Szanują go też i słuchają we wszystkiem i w tutejszym klasztorze, bo znają jego wielkie *merita* w zakonie i mądrą głowę, a która i wiekiem się nie osłabiła; w ważniejszych więc sprawach do niego idą po radę. Był on razy kilka już prowincyałem i wtenczas naszą wspólną peregrynacyę po klasztorach opisałem akuratnie w moich

raptularzach; na starość obrał sobie rezydencyę w Wilnie, jako *emeritus*. Za jego to naleganiem, po kilkoletniem rozłączeniu naszem, które ja niewolą babilońską uważałem, przeniesiono i mnie do Wilna. Nazywają nas *inseparabiles*. Oh! śmierć nakoniec zada fałsz temu nazwaniu!... Rozdzieliła nas swoją kosą okrutna *Libityna!*... Com ucierpiał i cierpię, Bogu tylko wiadomo!... do którego codzień modlę się za jego duszę. Ale o tem potem.

Zebranym *Patrom* opowiedział ks. kustosz nowinę i podał do *konkluzyi* kwestyę: cóż robić?

Wszyscy milczeli i takby się rada skończyła; ale ksiądz kustosz obrócił się do ks. definitora i rzekł: *Reverendissime!* czekamy twojego mądrego zdania.

— Francuzi, powiadacie, rabują kościoły? — odpowiedział on — być to może, bo dożyliśmy wieku rozuzdania wszelkich zapędów ludzkich. Ot co jest! Wątpię jednak, aby w mieście, pod okiem wodzów, a może i samego cesarza, do rabunków i swawoli żołnierskiej przyjść miało. A gdyby i przyszło, nie zrabują nas tak, aby choć drewniany krzyż w kościele nie został; to i przed nim Pana Boga chwalić będziemy. Ot co jest! Dajcie więc pokój wszystkim zabiegom lub trwogom. Ufajmy w Bogu; a Jego woli i miłosierdziu oddając się, módlmy się raczej za pokój i zgodę panów chrześcijańskich. Ot co jest!

Słowa te ojca definitora uspokoiły wszystkich i rozweseliły twarze. — *Fiat voluntas Dei!* Bóg przez ciebie przemówił, ojcze! — zawołali, i rada się rozeszła.

To było we środę dnia 12 Junii.

We czwartek ruch wielki! Pułki coraz nowe przechodziły przez miasto, za Zielony most niektóre, a drugie i najwięcej przez Antokol na Niemenczyn za Wilję. Wieść

o zbliżaniu się Francuzów coraz to głośniej szerzyła się. Do klasztoru naznoszono kuferków i na luftach lokowano.

W piątek, to jest, 14 Junii, cesarz Aleksander opuścił miasto...

Mianował on pana *Lachnickiego* prezydentem miasta, a ochraniając ono od ruiny i zguby, rozkazał poddać bez oporu nieprzyjacielowi.

W sobotę rozkazano, aby wszystkie bramy w kamienicach zatarasowano, okienice od ulicy w oknach zamknięto, a nikt się po ulicach nie szastał. Jakoż wszyscy siedzieli jak szczury w norach. Kiedy niekiedy ktoś wylazł na szpiegi; ale daleko nie uszedł, bo miasto zawalone wojskiem i harmatami; a żołnierz zwyczajnie jak w rejteradzie, samem spojrzeniem przestraszał.

Mnie ks. kustosz wypchnął na zwiady. Podobno habit mój jednał mi łatwiejsze przejście. Dobrałem się więc aż na koniec Skopóki, pod pałac Szoazelowski, w którym mieszkał *generalissimus jenerał Barklay de Tolli* i dowiedziałem się, że on jeszcze na miejscu. Konkludowaliśmy więc w klasztorze, że nie tak blisko nieprzyjaciel, gdy sam wódz nie opuszcza miasta. Ale konkluzya nasza była prawdziwie bernardyńska. Ojciec definitor znowu dowiódł, że rozumniejszy od nas wszystkich.

— Gdzież miejsce wodza w czasie wojny? — zapytał on.

— A jużcić nie z tyłu armii, jeżeli nie na czele — odpowiedział ks. kustosz.

— A gdzież czoło armii, kiedy się armia rejteruje?

— Nie rozumiem — rzekł ks. kustosz.

— A ot co jest! gdzie najbliżej nieprzyjaciel, tam czoło armii i wódz. *Subintelligitur* więc dlaczego pan

Barklay de Tolli jeszcze w Wilnie, choć za górą Francuzi. Ot co jest.

Wieczorem tegoż dnia kazano, aby straż miejska zajęła wszędzie warty. Piękneż to berdyszowe rycerstwo! w kapotach, w kurtkach, sami z siebie śmiali się, a wszyscy z nich. Stanęli po bramach, przy kordygardach i turmach. Noc całą wojsko płynęło, jak woda.

Nadeszła nakoniec niedziela św. Trójcy *v. s.*, dzień $^{16}/_{28}$ Junii, którego nigdy nie zapomnę... w którym ujrzałem razem z całem Wilnem *Potentata* Napoleona Bonapartego, na czele wojska z rozmaitych nacyj złożonego, wchodzącego do naszego miasta.

Ale poczynam od początku.

XXIII.

Mój ksiądz definitor miał sobie wygodne dwie cele; więc i ja z nim mieściłem się, abym mógł w starości jego służyć mu i doglądać. Całe życie czytał on prawie codzień gazety i tłómaczył mi bywało wszystko, co tam stało, choć ja, nie wielki *politykus*, słuchałem tego piąte przez dziesiąte. Jedno a jedno w nich pisało: zawsze o wielkich zwycięstwach, o wielkich czynach i o wielkiej mądrości Bonapartego. Na całej Litwie, ba! owszem i po całym świecie, o nim tylko gadano i pisano. Kwestując po dobrodziejach, około różnych naszych klasztorów, w których przemieszkiwałem, w każdym szlacheckim czy pańskim domu o niczem innem nie posłyszysz bywało,

i śniło się podobno wszystkim o *Bonaparcie*; to i nie dziw, że nieboszczyk ks. definitor, przez całe życie myśląc tylko o nim, ciekawy był wielce oglądania go nakoniec. — Nie umrę, bracie Michale — mówił — nim go nie obaczę. Ot co jest! — I zgadł, jak prorok: obaczył go i umarł.

Wysyłali oni z księdzem kustoszem mnie, jakem to wyżej napisał, na szpiegi do miasta; i tego więc ranku, ledwo jeszcze szarzało na dzień, wyszedłem za furtę. Zdziwiła mnie cichość i spokojność w mieście. Kozacy tylko przeszmygiwali się po ulicach; a na placu pod ratuszem stał, złożywszy broń w kozły, pułk grenadyerski [1]), co to mają kaszkiety w kształcie głów cukru i szerokie na nich blachy mosiężne. Żołnierze gotowali sobie kaszę w kociołkach; inni drzemali, leżąc na ziemi. Oficerowie siedzieli na ławkach, lub przechadzali się po placu, rozmawiając cicho i ostrożnie. Liczniejsza ich kupka otaczała pułkownika, którego po sutych szlifach poznałem. Od tej kupki odłączył się oficer, i przejął mię pod Imbarami. Dokąd, księże? i po co tak rano? — spytał mię po polsku.

— Do chorego, panie kapitanie! — rzekłem zakłopocony.

— Podwójnie kłamiesz — odpowiedział on, uśmiechając się — i ty nie spowiednik, boś bez kaptura, i ja nie kapitan; a może trzecie kłamstwo, i najgorsze, jest w twoim habicie? Gadaj! — dodał surowiej. — Mam rozkaz cię wybadać.

Ale ja przyszedłem już do siebie, i pomyślałem w du-

---

[1]) Pawłowski.

chu: skłamałem, ot i bieda! Mówmy prawdę... cóż mi się stanie?

— Dobrodzieju! — odpowiedziałem zatem — że jestem bernardynem z tutejszego klasztoru, to tak mi Panie Jezu dopomóż! *Mea culpa*, żem skłamał. Stchórzyłem, a strach najgorszy konsyliarz.

— Więc mów, po co tak rano się włóczysz?

— Ciekawość, dobrodzieju! prosta, szczera ciekawość i nic więcej; a nie tak moja własna, jak moich starszych, którzy, chcąc wiedzieć, co się dzieje w mieście, wysłali mnie na zwiady.

— Więc jesteś szpiegiem? bracie! A wiesz, czem to pachnie? No, ale nie lękaj się; szpieg od armii bernardyńskiej nie straszny: wracaj wszelako wnet do klasztoru, i ciekawym ojcom zanieś nowinę, że przed południem będziecie mieli gości.

Odchodził potem, lecz się zawrócił. — Czekaj księże! — rzekł — masz oto ubogą moją ofiarę, — a dawał mi rubla — oddaj to na mszę na intencyę ojca błagającego Boga, aby kula żony i dziatek nie osierociła... — Westchnął głęboko poczciwiec...

— Dziś zaraz będzie msza na twoją intencyę — rzekłem i pożegnałem go serdecznie. — Dziękuję ci, bracie! — rzekł, ścisnął za rękę i wbiegł na plac; ja korzystając z przestrogi, *retro* do klasztoru. Tam opowiedziałem moją przygodę, oddałem oficera i wnet sam ksiądz kustosz wyszedł ze mszą, po której ja znowu za furtę.

Na ulicach więcej cokolwiek było ludzi, ale bojaźliwie przemykających się zaułkami, lub czających się po bramach. Dniało już. Zwróciłem pod pałac Biskupi, do którego po wyjeździe cesarza przeniósł się pan *Barklay de*

Tolli. Na dziedzińcu stała kareta ośmią końmi zaprzężona; około niej kilkadziesiąt kozaków siedziało na koniach.

Pędem lecący konno oficer od Pohulanki, biały od kurzu, przypadł do bramy.

— Czy jest jeszcze *feldmarszał?* — zapytał.

— Jest — odpowiedziano mu.

Wleciał na dziedziniec, zsiadł z konia i wybiegł na wschody.

— A więc to kareta pana *Barklay de Tolli*, — pomyślałem sobie. — Niema co mówić, dotrzymuje do końca! Obaczym, co z tego będzie? postoję tu w bramie Święto-Jańskiej.

Po jednemu, po jednemu, zebrała się koło mnie kupka ciekawych i znalazł się między nimi pan budowniczy Orzechowski. Ranny to ptaszek, gdy idzie o nowinki. Opowiedziałem mu, co się święci.

— A więc podług mojej *ekwanimii* — rzekł on — tu jest przyzwoite *locum standi:* i jeżeli nas nie rozpędzą, dopilnujemy wszystkiego.

Już też i dzień zajaśniał. Wleciał drugi kuryer. Ludu się na ulicach pomnażało. Ten to, ten owo plótł; ten straszył, ten cieszył, a każdy pytał się razem: co słychać? Gwar jakiś powiększał się coraz. My cierpliwie staliśmy na miejscu, a wkrótce i trzeci takiż latawiec wpadł na spienionym koniu.

Wnet wyleciał oficer z pałacu i pobiegł pędem ku placowi. Ja i kilku ze mną, bocznemi uliczkami za nim. Ledwo dopadł placu, zagrzmiały bębny, żołnierze porzucili niedojedzoną kaszę, w mgnieniu oka już w szyku i marsz krokiem podwójnym za Zamkową bramę, na Antokol.

Ja znowu do bramy Święto-Jańskiej, a raczej, prawdę mówiąc, do furty: bo to te podwoje, które się otwierają z murów świętojańskich naprzeciw bramy biskupiego pałacu, tak, że z nich widać część dziedzińca i schody. Tam pan budowniczy stał jak wryty.

— Ostatni pułk — rzekłem mu — wyruszył nagle na *Niemenczyn.*

— A zatem podług mojej *ekwanimii...* — Nie dokończył, bo ruch wielki zrobił się na dziedzińcu: kilku konnych wyleciało w różne strony i okazał się na ganku pan feldmarszałek, za nim pan *Ławiński*, nasz były dotąd gubernator wileński i kilku adjutantów. Widać nam było, jak rozmawiali wesoło. Pan *Barklay de Tolli* uśmiechał się.

— A to mi gracz! proszę uniżenie! — rzekł pan budowniczy — Bonaparte za górą, a on ani dba. — Obejrzał się on jeszcze na wszystkie strony, jakby na waletę miastu, dobył zegarka, spojrzał nań i siadł do karety; z nim pan Ławiński tylko; reszta wszyscy na koń, których kilka powodnych a osiadłanych tuż przy karecie biegło; i ruszył powóz tęgim kłusem także na Antokol, otoczony strażą kozaków i dragonów.

— No, teraz, podług mojej *ekwanimii*, u nas *interregnum* — rzekł budowniczy.

Jeszcze kareta nie była za miastem, gdy huk ogromny rozległ się, że aż okna się zatrzęsły; gromady ludu na ulicach *obstupuerunt;* w kilka minut drugi jeszcze mocniejszy.

Serce mnie jakoś mocniej kołatać zaczęło i uważałem, że tłum przerażony miał się ku rejteradzie, gdy doszedł głos i rozleciał się wszędzie: Most Zielony wysadzono w powietrze! magazyny na Łukiszkach wyleciały w górę

i osypały mąką całe przedmieście. — Ochłonęło się więc z trwogi, ale nie na długo, bo znowu trzy uderzenia z harmat zagrzmiały w krótkich pauzach jedno po drugiem i ogłuszyły wszystkich. — Strzelają do miasta! — krzyknął jakiś tchórz. Boże! cóż to za zamięszanie powstało między tłuszczą! Ulica na ulicę się pchnęła. Uciekali i wrzeszczeli: Gwałtu!

— Stójmy! — rzekł znowu do mnie pan budowniczy — to bałamuctwo. Za co mają strzelać do spokojnego miasta? Głupia tłuszcza pozaciska się tylko. Podług mojej *ekwanimii*, strzały te z harmat, są to ostatnie sygnały, aby się wszystko, co wojskowe, rejterowało z miasta i że nieprzyjaciel blisko.

I nie zawiodła *ekwanimia* pana budowniczego: przeszedł popłoch, lud się ustatkował; tylko ciekawość przeganiała gromady, jak fale, z jednego końca miasta na drugi. Ja znowu poszedłem uspokoić klasztor i objawić ojcom to kilkogodzinne, jak pan budowniczy mówił, bezkrólewie.

Niecierpliwie tam mię oczekiwano. Opowiedziawszy więc wszystko *summatim* i posiliwszy się nieco, wybiegłem znowu za furtę, mając już kilku socyuszów z ciekawszych i śmielszych *patrów* i *fratrów.*

Nawał pospólstwa i wszelkiego stanu ludzi znaleźliśmy na ulicach. Jedni biegli na górę Zamkową i Bekieszową, w nadziei, że obaczą, co się dzieje około miasta; inni leźli na wieże i dzwonnice, w takiejże samej *sperandzie;* inni znowu biegli na Pohulankę, bo stamtąd od Kowna przybywali Francuzi; a wszyscy latali i krzyczeli, jak w odmęcie.

Pan Lachnicki, jako prezydent miasta, siedział spokojnie na ratuszu, a przed nim na pięknej srebrnej tacy

leżały złote, a może i pozłacane tylko dwa klucze, jakoby to od bram miasta, których dawno już w Wilnie niema: bo chociaż *Ostra* i *Zamkowa* zostały, lecz obie stoją otworem i wrót nie mają. Pierwsza najlepszą ma tarczę, bo Przenajświętszą Bogarodzicę, Przeczystą Maryę Pannę, która Wilno od Szwedów obroniła, jak to wszystkim dobrze wiadomo.

W takim gwarze i zamięszaniu przeszło parę godzin. Byłem przy Kardynalii i posuwałem się z tłumem ku ratuszowi, gdy nagle krzyk potężny rozległ się około ratusza i pospólstwo hurmem uciekające przejęło naszą partyę. — Kolą!... kolą!... — wrzeszczeli.

— Kto i kogo kole? — pytałem. Nikt mi nie odpowiedział, a tylko jedno a jedno: Kolą!... — Głupia gawiedź, pomyślałem, znowu tchórz ich obleciał. Jakoż inne huczne odgłosy doszły nas... Więc w mgnieniu oka byliśmy pod ratuszem. Aż tu wszystkiemi uliczkami prowadzącemi na plac: *Rudnicką*, *Żmudzką*, *Suboczem*, sypią się pędem ułani z dzidami naprzód, jak do boju (stąd przestrach w pospólstwie) i objęli *odwacht*.

Pan Lachnicki zszedł natychmiast na ganek ratuszowy, rozmówił się z oficerem, i wnet ze swoją tacą i kluczami, w asystencyi kilku miejskich obywateli, pojechał na Pohulankę złożyć je cesarzowi Napoleonowi. — A tymczasem konnica płynąć do miasta poczęła; naprzód ułani, a potem strzelcy konni, z huzarska ubrani, na czele których jechał na pysznym karym rumaku rycerz w węgierce gęsto złotem szamerowanej, w kołpaku aksamitnym, *permodum* tureckiego zawoju na głowie, na którym strusie pióra się rozwiewały, wywijając szablą i krzycząc: *Wiwat Napoleon!* — a był to szwagier cesarza, król neapolitański *Miurat* [1]).

Przypatrywaliśmy się ciekawie temu wojsku, a wszyscy upatrywali samego *Bonapartego*... Wtem rozbiegła się o południu wieść, a wieści natenczas jak błyskawice latały, że cesarz przy Zielonym moście nad Wiiją.

Dalejże ja w tamtą stronę, podchyliwszy habitu, aby nie dać się uprzedzić ludowi tam lecącemu, i wyprzedziłem prawie wszystkich; ale cóż, kiedy tam już była ciżba? Jednak przebiłem się na front, tak, że o kroków dziesiątek napatrzeć się mogłem na tego najsławniejszego mocarza! Nigdy nie zapomnę tej chwili!...

Nad rzeką, po lewej stronie od mostu, siedział na prostym stołku ten człowiek, na którego skinienie miliony ludów drży, a krocie brną na koniec świata! Figura dalibóg niepoczesna; jubilata dobrego nie obstoi; ależ za to *caput!*... znakomite! a oko czarne, pełne, i spojrzenie nie wiem jak opisać?... Kiedy poprowadził po nas... aż dreszcz przeszedł.

Most był rozdarty na środku, ale cała rzeka pokrytą była płytami; więc je wkrótce linami spięto i stanął most pływający. Nim się jednak ta fabryka ukończyła, Bonaparte siedział nad brzegiem i rozmawiał z księdzem Głogowskim, pijarem, któremu kazał podejść do siebie, gdy go w tłumie obaczył. I trafił wyśmienicie, bo ksiądz Głogowski mądry człek i po francusku *expedite* umie. Dziwiło się pospólstwo, że tak śmiało z cesarzem rozmawia, ale jam się nie dziwił, i gdyby mnie był zawołał, takbym mu się po łacinie pięknie explikował, jak nie lepiej pijar

---

[1]) Naoczni żyjący świadkowie znaleźli opisanie to księdza kwestarza wejścia Francuzów do Wilna, zupełnie prawdziwem.

po francusku. Lazłem też wcale naprzód — a nuż!... ale wkrótce most ukończono. Bonaparte siadł na konia mierzyna (co za komparacya konika tego do rumaka *Miuratowego!*) i przejechawszy rzekę, otoczony liczną wojskową kalwakatą, pojechał brzegiem ku Antokolowi. Stanął naprzeciw góry Zamkowej i po razy kilka wskazywał na nią ręką. Uważaliśmy i liczyliśmy wszystkie jego skinienia, biegąc drugą stroną rzeki, póki go dojrzeć mogliśmy; nakoniec wróciliśmy się do mostu, gdzie go nazad wracającego ujrzeć mieliśmy nadzieję. Jakoż i ujrzeliśmy, bo wkrotce wrócił i pojechał na pałac biskupi. Tłumy biegły obok, krzycząc, wrzeszcząc: *Wiwat!* — a on kłaniał się poważnie lekkiem skinieniem ręki lub głowy, witającemu go ludowi.

XXIV.

— Bracie Michale! — rzekł do mnie ojciec definitor, gdym zmordowany i jak uduszony wrócił do klasztoru, a opowiadał mu wszystko, com widział. — Bracie Michale! musisz mię tam zaprowadzić, abym go obaczył. Powiadałem ci, i teraz powtarzam: nie umrę, nim go nie ujrzę. Ot co jest! Ale śpiesz się, śpiesz się, bracie! — dodał — bo codzień słabieję... a nie umrę... — mruczał dalej jakby sam sobie starzec — nim go nie obaczę. — Przyrzekłem więc memu kochanemu ojcu dopilnować momentu, kiedy cesarz wyjeżdżać będzie z pałacu, i zaprowadzić go do furty święto-jańskiej.

Co to za przewrócenie raptowne rzeczy! co to za nieład! natłok! zamięszanie! zawrót!... Jakieś wytrącenie

wszystkich z codziennych kolei i porządków. Każdy w obłąkaniu... W klasztorze nawet zeszliśmy z codziennego trybu, jakbyś regułę zakonną od roku zwolnił, furtę odemknął, i *obedyencyę* zniósł. Ledwo stare definitory i jubilaty siedzą po celach, nie opuszczając klasztoru i służby Bożej. Młodzi włóczą się po ulicach, sami nie wiedząc czego. Na obiedzie nawet często połowa przystawek próżna. Na noc tylko zbierają się wszyscy, i gwarzą nowiny i cudactwa, jakim się przez cały dzień napatrzyli.

Bo i jest na co patrzeć, prawdę mówiąc! Jak woda płynie codzień wojsko z rozmaitych narodów i rozmaitego *moderunku.* Pancerni, których kirysy błyszczą od słońca jakby złote, na ogromnych koniach, chłopy jak olbrzymy, a jeszcze sute ogony końskie, spadające im od szyszaków po ramionach, straszniejszymi ich wydają; kupy jakichciś brodyaszów z szerokiemi berdyszami na ramionach i z fartuchami skórzanymi, jak kowale; nakoniec cały konny regiment dyabłów. Panie, odpuść ciężkie grzechy, czy Turków, bo to na jedno wychodzi, w zawojach; u każdego kindżał za pasem, a krzywy jak duha pałasz u boku. Powiadają, że to Mameluki od Czerwonego morza, w którem niegdyś król Faraon utonął.

W mieście wszelakoż *horrendum!* Ulice pozawalane zdechłymi końmi, bo te secinami giną od zielonego żyta, które żołnierstwo w okolicach kosi i w niedostatku siana nawozi do miasta. Stada bydła rogatego i baranów wchodzą często za pułkami i wnet na rynku albo na ulicy, gdzie pułk stanął, jatki i kuchnia; więc stąd przy upałach zgnilizna i zaraza.

Po traktach i wsiach toż samo. *Ut fert fama,* rabują z kretesem; a nawet i tu w mieście niedowiarki i niego-

dziwce niektórzy wpadli do kościółka Pana Jezusa księży Trynitarzów na Antokolu i zaczęli przybierać wota srebrne i złote z ołtarza i zdzierać szaty z obrazów. Takie jednak świętokradztwo i swawola nie uszły im na sucho! bo we dwadzieścia cztery godziny sądzeni, jak to dawniej powiadano, *kryzrechtem*, tamże na Antokolu kulą w łeb dostali. Dwóch ich było hersztów, ale zakamieniali heretycy!... ani księdza, ani spowiedzi, ani jakiegokolwiek przygotowania *in extremis* przyjąć nie chcieli. Idąc na plac śmierci, jeden jadł obwarzanki, drugi fajeczkę palił; a oba wesoło rozmawiali z tymi, którzy do nich za chwilę wypalić mieli. O Boże, Boże! okropnie to było widzieć taką obojętność około zbawienia duszy! a toć to dwóch potępieńców szło prosto do piekła... Nie wierzyłbym, gdybym własnemi oczami na to nie patrzał.

Patrząc na to wszystko, co się działo, pan budowniczy Orzechowski kiwał głową i mówił: Podług mojej *ekwanimii*, z takim niezliczonym ludem Bonaparte świat przejdzie, ale z takim nieładem kto wie, czy się wróci? Bogu to wiedzieć!

Codzień mi przypominał mój ks. definitor obietnicę upatrzenia mu sposobności widzenia Napoleona. Nie było to i trudno, bo codzień wyjeżdżał on z pałacu konno na lustrowanie wojsk przechodzących przez miasto; lecz że na to nie było godziny stałej, więc tłumy ludu, chcącego widzieć go, zalegały od rana Biskupią ulicę, oczekując po kilka godzin na ukazanie się cesarza. — Choćby mnie przyszło cały dzień przesiedzieć na bruku — odpowiedział *pater*, gdym mu tę trudność objawił — prowadź mię, bracie! bo nie umrę nim go nie obaczę, ot co jest! — Prowadziłem więc go dnia jednego. Zdawało się, że mu sił przybyło na tę chwilę. W klasztorze ledwo przez ku-

rytarz do kościoła mógł się przewlekać i to za pomocą mojego ramienia; teraz przez ulicę po nierównym bruku szedł rzeźwo i żwawo. Posadziłem go na wschodach naprzeciw samej bramy Biskupiej.

— Jakże go poznam? *carissime!* — zapytał on.

— Oto tak, *reverendissime!* Naprzód wyskoczy kilku, jak oni nazywają, przewodników [1]), z których jeden tylko na przedzie, a wszyscy w szafirowych ze srebrnym haftem mundurach; potem dwie pary strzelców konnych gwardyi, z nabitą i podniesioną bronią; potem na siwym lub myszatym koniu, w ciemnym *werdedragonowym* mundurze z ponsowym kołnierzem [2]), bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową [3]) na piersiach, w kapeluszu niemieckim trzyrożnym *On;* potem generałów i assystentów, całych we złocie i srebrze tłuszcza; nakoniec znowu kilkadziesiąt strzelców konnych gwardyi i tyluż ułanów, którzy zwyczajnie zamykają kalwakatę.

Jak na szczęście nasze, ledwom dokończył mówić, huknęły bębny; a to był znak, że cesarz siada na konia. Tłumy skupiać się poczęły. Ledwom mógł zrobić *rum* na przedzie starcowi. Wysypał się orszak z za bramy... Chwycił on mię za rękę... i trzęsąc się jak osika, rzekł z przyciskiem: To *On!* Ot co jest! To *On!!!*

Przed nami o kilka kroków stał żołnierz z niedźwiedzim wysokim kołpakiem na głowie. Nie mogliśmy zgadnąć, dlaczego on tu stoi? Wszyscy zdecydowali, że *musi być*

---

[1]) *Guides.*

[2]) Mundur pułkownika strzelców konnych gwardyi. Długie jego poły, na końcu wyłogów, ozdobione były dwiema trąbkami złotemi jako symbolem sławy.

[3]) Wielka gwiazda orderu Legii honorowej.

tak potrzeba. Ale gdy Bonaparte go mijał, on postąpił krok naprzód i *sprezentował broń*. Cesarz się zatrzymał... co już zupełnie poszło na rękę mojemu *patrowi*, bo prawie oko w oko mógł nań się napatrzyć. Przemówił *on* do żołnierza, zapewne pytając się: jaki ma interes? Żołnierz podał mu papier jakiś zatknięty na bagnecie — zapewne *suplikę*. Czytał Bonaparte; było we środku jeszcze kilka innych papierów i te przeglądał; mówił znowu z żołnierzem; nakoniec skinął na jednego ze swoich generałów, ten się przybliżył: wziął odeń krzyż z piersi, a nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem.

Kiedyż to krzyknie na całe gardło ów żołnierz: *Wiwlamperer!* — a to znaczy: *wiwat cesarz!* jak mi ksiądz definitor wytłómaczył i nauczyłem się tej exklamacyi, bo codzień o uszy obijała się. Ujrzeliśmy tego wąsala z kresą przez łeb i twarz, który nie przestawał wrzeszczeć jak waryat, całował krzyż swój, a łzy często ocierał i śmiał się i ściskał zgromadzonych około niego kamratów i nareszcie kogo napadł.

— No, idźmy nazad, *reverendissime!* — rzekłem. — Ale on stał jak osłupiały, aż się przeląkłem. — Widziałem go więc! widziałem — szeptał sobie pod nosem, ani zważając na mnie — widziałem go! Ot co jest! *Nunc dimittis, Domine! nunc dimittis*... — Idźmy — powtórzyłem. — Ha! idźmy — odezwał się nakoniec, opamiętywając się; ale ledwo nogami mógł sunąć i z pół godziny wlekliśmy się do klasztoru.

— Cóż myślisz? *reverendissime!* — zapytałem, dawszy mu nieco odpocząć i widząc go zadumanego.

— Co ja myślę? bracie mój! co ja myślę?... oh! tego i nie wymówić!!! Przeżyłem lat tyle! patrzałem na tylu ludzi! na tyle rzeczy i spraw ludzkich! w ostatniej mojej godzinie ujrzałem potęgę ludzką w najwyższym stopniu i w jednym człowieku!!! Ot co jest! Dość więc życia dla świata!...

— Ależ ojcze! prośmy Boga — rzekłem — aby nam życia przedłużył, abyśmy obaczyli przynajmniej, jak się to wszystko zakończy?

— Jak się zakończy?... jak się zakończy?... — mówił dalej rozmyślając ojciec definitor — rzeczy nadzwyczajne nadzwyczajnie i kończyć się muszą... Świat się oczyszcza przez ogień, jak żelazo w hucie... Ludzkość wre, kipi, topi się, musuje... Ot co jest!... Żużle rewolucyjne niedowiarstwa, bezbożności i błędów, spływają na wierzch, w brudnych, czarnych, nieczystych łusach... Szumują one, wyrzucają precz i do reszty wyrzucą... Tak przeważona różnorodna masa myśli i wyobrażeń ludzkich wyklaruje się, zleje się w jeden czysty metal... i spływać będzie w formę starego Chrystusowego krzyża. Ot co jest!

— Niewiele ja z tego zrozumiem, ojcze! — rzekłem — ale cóż to ma wspólnego z Bonapartem?

— O ty głowo do pozłoty! co wspólnego? co wspólnego?... Toż wielki *hutnik*, który warzy tę rudę, mięsza ją, szumuje... wichrami poddyma i podżega płomień... i chcąc, czy nie chcąc, ulepia materyały na krzyżową formę, w której czysty metal ma zastygnąć... Ot co jest! Zresztą *Digitus Dei hic est*... a więc wszystko może się zakończyć jawnym dowodem... że Bóg tylko jest Wszechmocnym i Wszechmogącym... a człowiek choćby najpotężniejszy... Ale w głowie mi się plącze... Ot co jest! Daj mi bracie pokój z pytaniami... *Fiat voluntas Tua Domine!* — rzekł, podnosząc oczy w górę i modlić się

zaczął. Przerywać mu nie śmiałem, choć ciekawy końca tego proroctwa...

XXV.

Testament ks. definitora.

Oh! przyszedł nakoniec bolesny dla mnie moment, gdy się rozstać musiałem na zawsze z kochanym moim i czcigodnym ojcem w zakonie, z którym kilkadziesiąt lat wieku mego przeżyłem i któremu winienem wytrwanie w powołaniu mojem. Mądry człek, a przecież *re et nomine* zakonnik! nie tak jak niektórzy, Boże im odpuść! lizną tam nieco łaciny i *Teologii*, i już *jubilaty*, już *doktory*, na biednych braci kwestarzy ani patrzą, choć z ich łaski i tłustą baraninę jedzą, i piją piwko *de puro grano*. Niech w Bogu spoczywa! Ale ja, po jego śmierci, sierota.

Na trzeci dzień po owem naszem oglądaniu cesarza Bonapartego, rzekł staruszek do mnie: Bracie Michale! codzień słabieję i bodaj dziś umrę. Ot co jest! Schodź wasze i poproś do mnie ojca spowiednika.

Stałem jak wryty i patrzałem mu w oczy, nakoniec łzy mi popłynęły potokiem.

— Ot co jest! bieda mi z tobą! — rzekł on, ocierając także powieki. — Prawda, wyznaję, żal mi cię, bracie Michale! przyjacielu mój wierny! Pójdź, uściśniemy się raz ostatni. Ot co jest!

Rzuciłem się w otwarte ręce jego, a wnet upadłem na kolana i nogi jego całowałem...

— Błogosławię cię, synu mój! — rzekł on. — Mnie to niegdyś niegodnego sługę swego obrał Bóg za narzędzie ku powołaniu cię na drogę zakonnego żywota, który potem razem przebywaliśmy. Jeżeli mi Bóg dozwoli widzieć Najświętsze Oblicze swoje, błagać Go będę, aby ci dał w pokoju i cnocie, jak dotąd, dotrwać do końca. A tymczasem znieś mężnie i z pokorą ten nasz rozdział do czasu... Ufam w Jego miłosierdziu: On nas połączy... Ot co jest! Idź bracie po spowiednika.

Dzień cały przebywszy na modlitwach i opatrzywszy się w Sakramentach zapasem podróżnym, jak sam powiadał, na drogę do wieczności, wieczorem zaprosił do siebie księdza kustosza, i za jego dozwoleniem rozdysponował swoją ruchomostkę, dając i w tem przykład uległości zakonnej. Bo choć sam nieraz był prowincyałem, i chudoba jego najwięcej z podarunków przyjaciół była złożoną, a zatem najmniej do klasztoru nie należała, wszelak i to rozrządzać bez woli zakonnej zwierzchności nie chciał.

— Rób co chcesz, *reverendissime* — rzekł ks. kustosz. — Ja i słuchać tego nie chcę, żebyś miał tak rychło umrzeć.

— Stanie się jak Bóg chce, kochany ks. kustoszu! ot co jest! a tymczasem, za twojem dozwoleniem, niech tak będzie: Krzyż mój z koronką, który noszę na piersiach, odkazuję bratu Michałowi. Niech on po mojej śmierci zdejmie go z moich, a włoży na swoje piersi, a własny niech mi w zamian da do trumny.

— Ależ, *reverendissime*, to krzyż złoty — ozwał się ksiądz kustosz — a ziarna koronki ze słoniowej kości.

Warto, aby ozdabiał pierś zasłużeńszego w zakonie, równego naprzykład w powadze tobie samemu, ojcze!

— Prawda — odpowiedział starzec — krzyż to złoty, a zawiera w sobie rzecz droższą nad złoto i klejnoty, bo *partykułę* drzewa Krzyża świętego! Ot co jest! Darował mi go razem z koronką ś. p. książę Karol Radziwiłł, ordynat nieświeżski, na pamiątkę, żem był jego spowiednikiem lat sześć za mego gwardyaństwa w Nieświeżu. — »Panie-kochanku! — rzekł on, wkładając na mnie tę koronkę — daję waszeci ten krzyż z mojego skarbca na to, abyś został kardynałem; bo to krzyż kardynała Radziwiłła, który zostałby pewnie i papieżem, ale w czasie sejmików tam w Rzymie, jakiś Włoch kondemnatę jemu zarzucił«.

— Ojcze! — rzekłem — ksiądz kustosz słusznie mówi, że krzyż tak drogi, i ze świętości i z pamiątki i z wartości, nie może być na moich piersiach. Zawieśmy go na ołtarzu, jako *votum* za zdrowie twoje, ojcze, i za przedłużenie życia twego.

— Ot co jest! księże kustoszu!... Ot co jest! — rzekł starzec, a ks. kustosz spuścił oczy.

— Zresztą — dodałem — zapomniałeś może ojcze, że i ten krzyż, który noszę, jest darem twoim.

— Nie! nie zapomniałem. Jam włożył na ciebie ten prosty krzyż bernardyński, jam teraz chciał go z tobą zamienić na złoty. Ot co jest! Ale twój projekt jeszcze lepszy. Nieprawdaż, ks. kustoszu?

Ksiądz kustosz zarumienił się mocno.. co postrzegłszy definitor: *Mea culpa!* — zawołał — *mea culpa!* zgrzeszyłem! daruj mi, ojcze! daruj konającemu dla miłości Boga! Czyliż mi to czas teraz urągać ze słabości ludzkich, gdy z własnych grzechów mam zdać rachunek? — Chciał starzec całować rękę kustosza, ale skrucha ta jego i pokora tak wzruszyła kustosza, że wyrywając rękę, sam upadł do nóg starca, i — Ojcze świątobliwy! — zawołał rzewnym głosem — mnie błogosław, mnie odpuść i rozgrzesz z winy i zgorszenia, które pożądaniem krzyża tego, dla złota, nie dla świętości jego, popełniłem. *Mea culpa! mea maxima culpa!* Naznacz pokutę, naznacz dyscyplinę, a daruj! to i Bóg miłosierny darować raczy.

Popłakali się ojcowie, ja z nimi trzeci; poklęknęliśmy potem i zmówili *Sub tuum praesidium.*

— Oto jeszcze mój pektoralik, także w podarunku mnie dany od księcia Macieja Radziwiłła kasztelana, za asystencyę i mowę przy ślubie jego z Chodkiewiczówną. Zacny to i bogobojny pan. On także poszedł już za księciem Karolem... Oh! wkrótce się z nimi obaczę. Regularny bardzo zegarek, oddaję go tobie, ks. kustoszu!

Ks. kustosz aż odskoczył.

— Nie lękaj się, *reverendissime;* oddaję ci go jako depozyt, i w obecności oto brata Michała obowiązuję cię, albo żebyś go przedał, albo zatrzymując dla własnej wygody, wartość onego rozdał na ubogich za moją duszę. Nauczyłem cię, bracie Michale, zażywać tabaki; tobie więc, *bona fide,* należą się moje dwie tabakierki i puszka z tabaką. Ot co jest! A także ten kałamarzyk podróżny wygodnym dla ciebie będzie w twoich kwestarskich peregrynacyach, na skład twych raptularzów i dyaryuszów. Szafę z książkami odnieście do biblioteki klasztornej. Jest ich ze dwieście. Niech służą na pożytek duchowny braciom. Reszta ubogich rupieci jest *secundum regulam nostram* własnością klasztoru. Ot co jest! i po wszystkiem.

XXVI.

Śmierć ks. definitora.

Wieczorem zasłabł mocno nieborak; w nocy wszakże zdawał się zasypiać. Siedziałem w pierwszej celi, pilnując go. O północy wstał i wyszedł nagle ku mnie, aż się przeląkłem.

— A cóż to? bracie! rozumiesz, żem upior? — rzekł, widząc moje zdziwienie. — Chodź ze mną do kościoła. Zebrałem ostatki sił, aby ostatni raz polecić duszę Bogu w Jego przybytku. Zaprowadź mnie, bo sam nie dojdę. Ot co jest.

— Ależ mój ojcze! kościół zamknięty o tej porze. — Myślałem, że się zapomniał.

— Prawda; ale po drodze zastukamy do brata zakrystyana, obudzim go. Pójdzie z nami i otworzy nam kościół przez zakrystyę.

Więc prowadziłem starca przez ciemne kurytarze; ale że dobrze wiadome, a mieszkaliśmy na dole, więc stało się jak żądał.

Brat Hilary, choć zdziwiony i nieco kwaśny z przesenia, otworzył nam jednak kościół.

Zostaliśmy sami jedni! lampa tylko na środku wisząca migała się bladem światełkiem, a cały kościół był ciemny.

Starzec zdjął z siebie krzyż swój złoty z koronką i ucałował go, mnie dał do ucałowania i złożył na ołtarzu. — Dzięki tobie, bracie! — rzekł potem do mnie — za myśl zbawienną ofiarowania Bogu tego *votum*. Pamiętasz tę chwilę w Mińsku, gdym w nocy w kościele modlił się z tobą, prosząc Boga, aby duszę twą odjąwszy marnościom światowym, skłonił ku służbie swojej; a toż taż sama chwila północna, chwila po kilkudziesięciu latach!... Módl się teraz za mną, prosząc Boga, aby moją duszę, wyzwalając ze świata, przyjął do służby swej wiekuistej. Ot co jest.

Ukląkł starzec na stopniach wielkiego ołtarza; ale nie mogąc się utrzymać na kolanach, krzyżem się położył... Nie słyszałem modlitw jego, sam leżąc za nim krzyżem na podłodze kościelnej i modląc się serdecznie, słyszałem tylko westchnienia i łkania...

Tymczasem brat zakrystyan oznajmił o nas ks. kustoszowi. Nadszedł on cicho i ukląkł za nami tak, żeśmy go nie posłyszeli. Powoli i więcej ojców zbierać się poczęło, bo wszyscy kochali i wielbili starego swego definitora, i poklękali obok ks. kustosza. Posłyszawszy szmer niejaki, obróciłem głowę i postrzegłem ich w cieniu, jak mary klęczące, które lampa kiedyniekiedy migając oświecała... Mrowie mię jakieś przebiegło.. Po dość długim czasie, gdym nie słyszał ani westchnień, ani modłów starca, bojąc się, aby mu tak długie leżenie krzyżem nie uszkodziło, powstałem, i biorąc go pod ręce, rzekłem: Wstań, ojcze!...

O Boże! już on nie żył!... przerażony krzyknąłem...

Ksiądz kustosz i wszyscy bracia przypadli do mnie, zdjęto lampę, oglądaliśmy zmarłego. Oczy zawarte... zimny... ale twarz spokojna, blada, jakby uśpiona, a nie zamarła. Bo też usnął on w Bogu przed jego ołtarzem. Płakałem, oh! płakałem, jak nigdym w życiu nie płakał! Położyliśmy trupa na ziemi, zakryliśmy go całunem i wszy-

scy znowu poklękli. *Requiem aeternam dona ei Domine!* rozległo się trzykrotnie po ciemnym kościele. Bracia się wysuwali potem w milczeniu i nikli za filarami... ja tylko, klęczący przy zwłokach mojego dobroczyńcy, modliłem się za jego duszę, i dogorywająca lampa migała po całunie.

XXVII.

Tylko z nałogu już, mój dyaryusz kontynuować zaczynam. Coż mi po nim? Poszarpany, podarty, poszedł w największej części na ogień, pod garnuszki francuskie. Ledwo tylko kilka seksterników najpierwszych i ten ostatni potrafiłem wymknąć z rąk tych ludojadów. Wprawdzie niema czego żałować, jednakowoż miło mnie czasem było odczytywać moje własne dzieje. Przez tyle latek zebrało się różnych historyj, różnych ciekawych ewenementów, na które *suis oculis* patrzałem; różnych perskrypcyj doktorskich, za które nieraz baranów dostawałem; a dziś tego wszystkiego *pasz!* i nawet kałamarzyk piękny nieboszczyka ks. definitora, *fiat pax* duszy jego, skórką obity, zamykany na wewnętrzny zameczek, potrzaskany i rozłupiony, wala się za piecem. Podobno Bóg za to na mnie to spustoszenie dopuścił, żem sercem mojem nadto był przylgnął do tej mojej pracy, żem często mędrszym się sądził od braci moich dlatego, że pisałem te raptularze. *Vanitas* to była. Dziękuję więc Bogu i za to zmartwienie, bo ono mię w grzechu poprawia. Odtąd więc choć pisać będę, lecz nie rojąc stąd żadnej sobie chluby lub zasługi i tyle tylko, ile mi czasu zbędzie od klasztornych posług i obo-

wiązków, których, Bogiem a prawdą mówiąc, nieraz się dla raptularzów zaniedbało...

Po śmierci mego benefaktora, jeszcze kilka tygodni przebyłem w Wilnie, ale samotny i chory, bo spać i jeść nie mogłem z wielkiego po nim żalu. Ksiądz kustosz pocieszał mnie łaskawie i nie obarczał mię żadnymi prawie obowiązkami, aż dnia jednego wszedł on do mnie i rzekł:

— Bracie Michale! grzech jest tak srodze poddawać się żalowi. Jestto sarkać przeciw wyrokom Boskim. Nie mówię ja, abyś zapomniał o swoim ojcu duchownym i serdecznym przyjacielu. Módl się za jego duszę. Tak mu najlepiej odwdzięczysz jego miłość dla ciebie. Ale ponieważ w Wilnie trudnoby ci było uspokoić się, gdy cela twoja własna przypomina ci w każdym momencie twoją stratę, a zatem postanowiłem wyprawić cię stąd dla twego własnego dobra. W klasztorze naszym bienickim [1]) potrzebują kwestarza. Ks. prowincyał (a właśnie przybył on przed dwoma dniami) naznacza tam ciebie. Oto masz i *obediencyę*. Obowiązek znajomy i upodobany tobie, do którego przez tyle lat nawykłeś, rozerwie cię; a doskonałość w tem twoja wesprze tamtejszą niebogatą naszą kongregacyę. Sęk tylko w tem, jak się tam dostaniesz? Dać ci konia klasztornego, to na pewną stratę; bobyś i miasta nie dojechał, a miałbyś już towarzyszów na kałamaszce, a raczej nie miałbyś i kałamaszki.

— Niema nad czem i myśleć, *reverendissime!* — odpowiedziałem. — Nieraz, jako i powinienem, wyprawowałem się piechotą z klasztoru do klasztoru, a przecież za

---

[1]) Bienica — miasteczko i klasztor księży Bernardynów w powiecie oszmiańskim.

łaską Bożą a dobrodziejstwem poczciwych ludzi, na porządnych brykach dojeżdżałem na miejsce. Więc jutro wyjdę, *reverendissime!* Dziś dozwól mi jeszcze pomodlić się na grobie ojca definitora.

— Nic nie nagli, *carissime!* Wybieraj sobie dzień najdogodniejszy. Prócz tego, pomówię z ks. prowincyałem, przełożę mu trudność dostania się do Bienicy, bo i piechotą niełatwo tam dojdziesz, gdy po wszystkich drogach wleką się marodery za armią i rabują a odzierają.

— Nie, ojcze! — odpowiedziałem. — Słusznie osądziłeś, że mi Wilno porzucić trzeba, bo tu darmobym chleb klasztorny zjadał, a na żadne zatrudnienie zdobyćbym się nie mógł; a w oddaleniu od tego feralnego dla mnie miejsca, lżej mi będzie na sercu, w wypełnieniu zaś obowiązków moich znajdę może pociechę. A tak jutro rano, przyjąwszy na drogę twoje, *reverendissime*, błogosławieństwo, wyjadę. Maroderów nie lękam się, bo cóż u mnie zrabują? habitu przecież nie zdejmą, bo i ten łatany.

Nazajutrz więc wybrałem się w podróż. Po mszy świętej dał mi benedykcyę ks. kustosz, który od owego krzyżowego wieczora łaskawszym był na mnie widocznie; dawał mi nawet francuskiego talara na drogę, ale ja podziękowałem, bo nie byłem bez zapasu, z którego wziąłem tylko jednego dukata i tego wkopałem głęboko aż na samo dno do tabaki; resztę zdałem w *kustodyę* poczciwego brata zakrystyana, jemu także zostawując w depozycie do spokojniejszych czasów puszkę piękną cynową z tabaką nieboszczyka ks. definitora i jedną jego tabakierkę *permodum* srebrną; a drugą prostą drewnianą, ale którą jakby ze złota ulaną szacuję, bo i to jego pamiątka, wziąłem z sobą. Oh! czemużem i moich raptularzów nie

zostawił? ale nie mogłem jakoś z niemi się rozstać. Spakowałem więc do kałamarzyka, kałamarzyk zawiązałem na plecach, kij w rękę i w imię Boże, pomaluczku, *per pedes Apostolorum!* marsz!

XXVIII.

Wędrówka do Bienicy.

Cesarz Napoleon Bonaparte już wyjechał z Wilna, puszczając się ze swojem wojskiem, które jak powódź płynęło ku Dźwinie; ale po wszystkich traktach wlekło się żołdactwo i pomimo srogich zakazów, rabowało bez miłosierdzia, tak, że wszystkie dwory około traktów, a nawet i kilka mil w głąb kraju, splądrowane pustkami stoją. Bóg dał tego roku nadzwyczajnie obfity urodzaj. Aż miło patrzeć na pola, zbożami okryte! Koszą to wprawdzie zielone zamiast siana, ale gdy i skoszone odrasta, więc zostanie dosyć.

Ledwom wyszedł za miasto, napędziło mnie czterech Francuzów. Idą obok mnie. Poglądamy na siebie. Idziem aż pod Niemeżę. Nakoniec zaszwargotał jeden do mnie.

Myślę sobie, że to naród oświecony, jak powiadają; między czterema, choć jeden może umie po łacinie? rzekłem więc:

— *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio.*

Spojrzeli po sobie i znowu do mnie po francusku.

Odpowiadam na los szczęścia: *Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum, Bienitiam proficiscor.*

— *Bon, bon, se bon* — odezwali się; a potem bez ceremonii dwóch mnie za ręce przytrzymało, a dwóch odwiązali mój kałamarzyk, usiedli na ziemi i pałaszem około zamku majstrować poczęli.

— Stójcie! — krzyknąłem po polsku już — pieniędzy tu niema — i podałem kluczyk.

— *Bon, bon, se bon* — poklaskali mię po ramieniu, odemknęli, przebrali papiery, a nic więcej nie znalazłszy, rzucili skrzynkę na ziemię i poszli dalej. Pozbierałem więc papiery, uwiązałem znowu kałamarzyk na plecach i rozumiałem, że już między nami *kwita.*

Ale o kilkanaście kroków znowu mię zatrzymali, zdjęli z siebie dwie cielęcinki, to jest tłumoki swoje wojenne, i na mnie je gwałtem włożyli. Szamotałem się wprawdzie, krzyczałem i po polsku i po łacinie: *Non possum, senex et debilis sum!* — A oni swoje: *Bon, bon, se bon!* Maszyr kamrat, maszyr! — I przy tej perswazyi, pokazując mi argument *ad hominem,* to jest bagnet, skonwinkowali mnie zupełnie, tak, że dźwigając dwie cielęcinki, szedłem spokojnie pod ich konwojem.

Co mila luzowali na moim grzbiecie swoje tłumoki, aby każdy z nich równą miał ulgę i za każdym takim popasem traktowali mnie wódeczką ze swoich manierek. Dobrej gdzieś Judasze dopadli staruszki. Łyknąłem z biedy, choć od gorąca i ciężaru pot ze mnie łał się kroplami; a oni śmiali się jeszcze, szwargocąc między sobą, i znowu: Maszyr kamrat!

Tak wędrowaliśmy aż do Miednik. Nieraz zatrzymałem się, aby odpocząć. No, to niebronno było. Usiadłem

sobie na kamieniu i oni koło mnie; dobyłem tabakierki, potraktuję ich tabaczką, zażywają; a jak poczną czchać, to ja krzyczę: *Vivat!* — a oni w śmiech i — *Bon kamrat!* — I ja też sobie drwię z nich w duchu. — Oho! mądrzy wy jesteście — myślę — ale zgadnijcież! oto dukat wam pod nosem, a nie zwąchacie! nie! Więc i ja się śmieję. Słowem, w dobrej maszerujemy *komitywie,* ale cóż, kiedy cielęcinek nie zdejmują?

W Miednikach pustki. Dwór, wieś, karczma, plebania, bez okien, kościół stoi otworem i spustoszony; sklepy nawet otwarte i trumny powywracane. Ani żywego ducha nigdzie, prócz kilkunastu kamratów; podobnych moim, a gospodarujących po tej ruinie. Kilka psów wyło na śmietniskach i kilka kogutów, przelatując ze strzechy na strzechę, piało, jakby urągając rabusiom.

Niedługi jednak był ich tryumf. *Cel, pal* i kogut na ziemi. Pobili wszystkich. Prosię jakieś brnęło na ulicę; i temu w łeb. Garnków po chatach się znalazło, a zatem postanowiono gotować obiad.

Jam się położył na ziemi. Wszyscy pozdejmowali tłómoki, więc i ja odpiąłem moje. Ale też oni i skrzynkę moją odpięli i złożyli razem. Poznałem, że to, abym nie uciekł. — Trudno — pomyślałem — uciekać od takich ichmościów, którzy kulą cię dopędzić mogą.

Rozłożono więc ogień w ogródku wiszniowym jakiegoś chłopka, a do mnie odwrócili się wrzeszcząc: *Kleba! kleba!*

— A skąd ja wezmę? — krzyknąłem wzajemnie. — *Niema kleba!*

— *Niema kleba!* — powtórzyli żałośnie i pokazali na dwór, do którego iść z nimi musiałem.

Cóż z tego? Próżno tam szukać, gdzie tysiące po-

dobnych mistrzów przed nami szukało. Kręcili tylko głowami, rozbijając i niszcząc wszystko do reszty, a za całą zdobycz wynieśli tylko szczypce złamane i pół talerza. Każdy podchodził do mnie i powtarzał: *Niema kleba!* — Aha, *niema kleba!* — odpowiedziałem.

Powróciliśmy. Ale jakaż moja była rozpacz, gdym postrzegł, że kałamarzyk mój rozłupiony, a jeden z tych herodów drze moje raptularze i pod drewka podkłada, aby się lepiej paliły! Wyrwałem mu ten, który w ręku trzymał i porwałem skrzynkę, w której jeszcze z parę się zostało.

Patrzał mi on w oczy z zadziwieniem i złością, nareszcie porwał się do mnie z pałaszem, ale moi kamraci podróżni stanęli w mojej obronie. Zaczęła się zwada. Moi także dobyli pałaszów, inni chwycili za karabiny. Więc ja widząc, że przyjdzie do krwi rozlania za moje szparpały, wpadłem między nich i machnąłem ręką, aby się uspokoili. Stanęli zadziwieni... a ja moją skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

Spojrzał on znowu po mnie, postawił skrzynkę na ziemi, a mrucząc, odszedł spokojnie i usiadł przy ogniu.

Wszyscy inni rzucili się do mnie, zaczęli mnie ściskać, całować, ledwo mię nie udusili; klaskali po ramieniu. — *Bon, bon, se bon! Vivat kamrat!* — wrzeszczeli.— Ha! — pomyślałem sobie — ci ludzie rozumieją jednak i znają szlachetność; jakże to dziwno, że rabują i palą! jaka dziwna mięszanina złego i dobrego!

Zakaty smacznyż był nasz rosół, a jak oni nazywali *sup,* znaczy się *zupa*, którą zgotowali; mieli jednak w swoich blaszankach ryż i sól; a że jeść się chciało bardzo, więc uszła i mnie nawet za wyśmienitszą. Szanowali już mię teraz, posadzili na pierwszem miejscu

i dali srebrną łyżkę z herbem *Kościesza,* widać u jakiegoś szlachcica zrabowaną.

Gdyśmy po posiłku zabierali się w dalszą podróż, spostrzegłem, że każdy z moich pierwszych towarzyszy kładł na siebie swoje tłómoki, a moją pobitą skrzyneczkę, którą ja paskiem moim związałem, podpalacz wziął na siebie. Rozumiałem, że ma ją przywłaszczyć i już nie chciałem się upominać, aby znowu do batalii nie dać powodu. Poznawszy moją wątpliwość, obrócił się on do kamratów i perorował coś do nich. Wysłuchawszy, uścisnęli go, a mnie na migi dali poznać, że on przez wdzięczność chce mi tę ulgę uczynić. A więc także ścisnąłem go za rękę i nie chciałem na to przyzwolić; ale on nie uważał na moje protestacye i poniósł kałamarzyk na sobie.

Pod wieczór weszliśmy do Oszmiany, w której nie można było rabować, bo był komendant placu i niejaki porządek.

Dano żołnierzom kwatery, a ja przed rozejściem się naszem zebrałem ich wszystkich około siebie w kupę, dobyłem tabakierkę i potraktowałem wszystkich, a potem w ich oczach wykopałem z pod tabaki dukata i okazałem każdemu w oczy... Spojrzeli po sobie, pokręcili głowami i rozśmieli się do rozpuku. Rozmieniłem i za całego pół rubla kupiłem obwarzanków i rozdzieliłem między kamratów. — *Bon! bon kamrat!* — krzyczeli; a ja, odebrawszy mój kałamarzyk, udałem się do ojców Dominikanów, którzy mię przyjęli *benevole;* a nazajutrz z bliskim sąsiadem od Bienicy, panem Szczepanowiczem, pisarzem, bezpiecznie i wygodnie tu zdążyłem.

XXIX.

Nieboszczyk Kociełł.

Pan pisarz, wielki *gadativus*, prawił mi w drodze rozmaite historye; ale między niemi rozpowiedział ciekawą rzecz o samejże Bienicy, do której dążyłem; co, wedle mego zwyczaju, zapisuję tutaj.

— Czy już mieszkałeś kiedy w tej rezydencyi? — zapytał on mnie.

— Nie. Pierwszy raz tam będę.

— To nie wiesz zapewne, z jakiej pamiątki założony tam wasz kościół.

— Nie wiem, dobrodzieju!

— To ja ci powiem.

— Proszę najuniżeniej i słucham.

— Oto tak było [1]). Dobra te należą od dawna do możnej i bogatej w Litwie familii *Kociełłów*. Jeden tedy z ich *antenatów* powracał z jakiejś podróży do domu, a mieszkał pono w *Młodecznie*, bo i *Młodeczno quondam* do Kociełłów należało, i niedawno jeszcze *per exdotationem* przeszło do imienia *Ogińskich*. Przelęknione czegoś tam na drodze konie jego uniosły; wzięły na kieł i leciały jak szalone, cugle pękły, stangret spadł z kozeł, a pan Kociełł bez żadnej *salwy*, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu. Nagle przyszła jemu myśl, od Boga widać natchnięta, uczynić jakie pobożne *votum*.

---

[1]) Podanie.

Postanawia więc wymurować kościół i uczynić fundusz na tem miejscu, gdzieby konie stanęły.

Ledwo myśl ta jak błyskawica mknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką w tył targnięte, zaryły się i stanęły.

Pan Kociełł wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, czy jakąś tam *pitumannę*, modlitewkę swoją, ponowił *votum*, i we dwa lata na tem samem miejscu słuchał mszy świętej, gdzie mu Bóg życie zachował.

Mało na tem, mości dobrodzieju! — pod kościołem zmurował on dla siebie w ziemi sklepik osobny, i przeżywszy matuzalowe lata, tam się i położył. Lecz gdy czuł się słabym, kazał odmalować swój portret w całej postaci, przy nim stolik, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pieniądzmi jakoby; nawet na każdym worku ponaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami sumę, którą on podyktował; i portret ten obok swego łóżka na ścianie zawiesił.

Dziwili się wszyscy i odgadywali, coby to miało znaczyć, aż gdy wkrótce pan Kociełł oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne pod głowami, że obraz ten przenieść on rozkazuje do kościoła, i umieścić na ścianie nad jego sklepikiem; że sumy na workach oznaczone, są zakopane w jego grobie i przeznaczone na podźwignienie kościoła Bienickiego, jeżeliby kiedy uległ zupełnej *konflagracie;* lecz aby bez takiej tylko ostatecznej potrzeby dobytemi nie były, sam zatem ich strzedz postanowił, i dlatego w grobie własnym one zakopał, i świętokradzkim lub chciwym rękom nie da.

Otóż tedy przed laty kilkadziesiąt spalił się dach na klasztorze Bienickim; a był natenczas gwardyanem świą-

tobliwy i przykładny kapłan, którego sam dobrze pamiętam, bom był potem na jego powtórnej *prymicyi*, ksiądz *Czapkowski*, i umarł on w Bienicy, przeżywszy lat sto z górą. On tedy osądził, że właśnie stał się *casus* naznaczony przez fundatora i że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

A więc po solennych exekwiach za duszę jego, przystąpiono do odwalenia wielkiej i ciężkiej płyty marmurowej, pokrywającej grób pana Kociełła.

Że nie chciano publikacyi tej roboty, więc wzięto się do niej w nocy, przy lampach i w zamkniętym kościele, a kilku *patrów* i przy nich kilku zaprzysięgłych braciszków pracować zaczęło.

Mrowie wszystkim po skórze przechodziło i robota szła niesporo. Ks. Czapkowski modlił się bez przestanku i kropił pracujących, ośmielając ich i tłómacząc, że pieniądze te pójdą właśnie podług woli pana Kociełła i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podważono kamień i podjęto na drogi... Grób otwarty... Pokropił go i schylił się doń ks. gwardyan, chcąc zajrzeć w głąb.

Wtem lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i rozrysował się na kilka części... i na dobitkę, w tym samym momencie, ogromny a okropny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich i wszystkie lampy pogasły...

Ojcowie i bracia padli na ziemię, jak nieżywi, a każdy posłyszał jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: *Requiescat in pace!*

— Więc pan Kociełł nie dał pieniędzy?

— A oczywiście nie dał i miał racyę, bo klasztor, to nie kościół mospanie! a nawet zawarował sobie pokój przez *requiescat in pace!*

Otóż jak przyjdziesz do Bienicy, możesz i obaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swojem miejscu; kamień nad grobem porysowany na kilka części i szczelinę wielką na ścianie kościelnej, którą nazajutrz spostrzeżono i którą chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.

Jakoż, przybywszy tu, wszystko własnemi oczami obejrzałem.

XXX.

Przed kwestą.

»I komuż zbiegło kiedy na myśl pytać się kwestarza o jego przeszłość i rodzinę? Zapytują ich tylko, gdzie nocowali przeszłej nocy? i czy już po śniadaniu? Poczem nie czekając ani twierdzącej, ani odmownej odpowiedzi (bo też na to zimne pytanie porywa jakaś taka złość człowieka, że nawet po gwardyańskiem śniadaniu gotówby był odpowiedzieć, że nie szkodziłaby *jaka taka przekąska*, rozkazują służącemu przynieść wódeczki dla *jegomości dobrodzieja*, dają naprędce znak ekonomowi, aby wybrał tam jakiegokolwiek pół-żywego barana, i zostawują cię przy stoliku nad darem Bożym, nie pytając się już o nic więcej. Tym świeckim ludziom zdaje się

niemal, że kwestarz bernardyn musiał się urodzić bernardynem. I jak, pytam, po takiej czułości ze strony ludzi, zakonnik nie ma nabrać wstrętu do świata i nie umiłować swojego konwentu? Tak mi się skarżył brat *Placyd*, mój poprzednik, kwestarz w tejże Bienicy, a który, zniechęcony tą *recepcyą* ludzką, nie chciał już więcej kontynować swej peregrynacyi i przyjął *kanaparstwo* po zmarłym bracie. Dlatego mię i sprowadzono z Wilna.

Niestety! prawdę on powiadał. Sam nieraz bywam tak przyjęty; i tem bardziej mnie to martwi, że przypominam czasy, gdy wcale inaczej było; gdy wyprawując mię po raz pierwszy na kwestę nieboszczyk ks. *Ot co jest*, upewniał mię, »że jest jakaś powszechna domowa skłonność dla Bernardynów; że pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie; że kwestarzy z gotowym baranem oczekują jak bocianów na wiosnę; i przepowiadał, że źle będzie na świecie, gdy cnoty te wygasać będą; gdy szczerość, prostota i pokora nie będą już trafiały do serca: bo wtenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii rozszerzy się jak płaga egipska między narodem« [1]).

Otóż i zgadł. Patrzał on nawet na to zgorszenie, martwił się, *fulminował* z ambony i przypominał mi swoje proroctwo. A jednakowoż przed śmiercią nieraz mi powiadał: »Nie bójcie się, kupcie się tylko około krzyża z gorliwą wiarą i nadzieją. *Et crux triumphabit super aspidem et basiliscum!* Bo Bóg nie opuścił sług swoich i nie poda na poniewierkę niezbożnym swojej

---

[1]) Patrz wyżej »Wyjazd na kwestę«.

świętej nauki!« Dajże Boże, aby i to drugie proroctwo jego sprawdziło się czemprędzej.

Oziębłość więc ta dla nas biednych kwestarzy, na którą tak się zawziął ksiądz Placyd, jest to mała gadzinka, biorąca jad swój z wielkiej kałuży niedowiarstwa po świecie rozlanej: bo to mało na tem, że nawpółżywego dadzą barana, że potraktują wódeczką, od której trzy dni człowiek kotłem swędzi, ale jeszcze w domu szlachcica, którego ojciec poczciwie Boga chwalił i ludzi szanował, posłyszysz nieraz wyrazy i zdania, o których ani mu się śniło nawet. Religia, to *fanatyzm*; zakonnicy, to *popi*; artykuły wiary, to *zabobon*. W piekło jegomość nie wierzy, czyśca nie lubi, na niebo nie zasługuje i sam nie wie, gdzie podzieje się po śmierci. Filozofia! filozofia! to u niego grunt, której że ja nie znam i znać nie chcę, to rzecz naturalna; ale że i oni nie znają, to tak mi Panie Boże dopomóż!

Nie raz, a co mówię nie raz, nie sto razy uszy mi więdły, słuchając takich bredni; a zawsze wolałem się odrzec barana, jak potakiwać bluźnierstwu. Opisywałem ja takie wszystkie zdarzenia w moich raptularzach i jak mi udało się nie raz i niejednego niedowiarka *skonfudować* po kwestarsku, jak niegdyś owego francuza u starosty, ale to wszystko z dymem poszło pod francuską zupą w Miednikach.

Gwardyan nasz w Bienicy, *simplex Dei amicus*, był niegdyś profesorem *Infimy* w Cytowinach, na co niewiele potrzeba *sapientii*. Ledwom wysiadł z wozu, ucieszył się mocno i mówił szybko, cienko, jakby lekcye recytując:

Salve bracie! bratuniu! bratunieczku! *salve!* Jedź, jedź, jedź zaraz, kwestuj, zbieraj, proś bracie! bratuniu!

bratunieczku! bo z głodu poumieramy. Objedli naz Francuzi. Na trakcie żyjemy. Gwałtu! Kiedym był profesorem *Infimy* w Cytowianach, zjadałem pirogi i łakocie od mamuniek mnie nasyłane, a teraz *panem nostrum quotidianum careo.* Jedź, bierz, co dawać będą. Ziarnko do ziarnka, zrobi się miarka. Ratuj, bracie! bratuniu! bratunieczku! Konie wszystkie pozabierali. Jedź!

— A na czemże pojadę, kiedy wszystkie pozabierali.

— Zostawili jednego swego *herharę.* Osedniony i chudy, ale pod konno dobrze chodzi. Smaruj go łojem i jedź, bracie! bratuniu! bratunieczku!

— Jest jeszcze jedno *impedimentum grave* — rzekłem.

— *Impedimentum* — przerwał mi staruszek — *est generis neutrius. Gravis, grava, gravum, vel grave,* dobrze zgodziłeś, *Latinescis, bene et valde bene:* bo teraz łaciny nie usłyszysz ani za grosz, *amantissime fratercule!* to jest, bracie, bratunieczku! Kiedym był profesorem *Infimy* w Cytowianach, to żaki moje, pilnując *notalingwy,* lepiej gadali po łacinie, jak dzisiejszy pan jaki, marszałek lub podkomorzy. A bo do zgodzenia *generis masculini cum feminini...*

— Ale *reverendissime!* nie o to idzie — przerwałem mu niecierpliwie. — *Impedimentum grave* jest w tem, że jak kwestować, gdy marodery wszędzie się włóczą? Gdybym i dostał baranów lub jakichkolwiek wiktuałów, to odbiorą pewnie. Daj Boże, abym sam przynajmniej na sucho uszedł.

— Manowcami, bracie! bratuniu! bratunieczku! lasami, błotami, jedź dojeżdżaj, gdzie można... *Prewodyra* schowałem w lesie, zajedziesz po niego. Ratuj! jedź!

Widziałem, że nic nie poczne z moim głodnym gwar-

dyanem, poszedłem więc przygotować jakkolwiek wyprawę, choć źle bardzo o niej tuszyłem.

Nazajutrz, urządziwszy jak mogąc kałamaszkę i założywszy owego wielkiego kusego konia, zajechałem przed klasztor.

— Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku! — wołał na mnie z okna poczciwy profesor infimy.

— Właśnie przyszedłem po benedykcyę twoję, *reverendissime,* na drogę.

— *Adde reverendissime pater!* bracie! bratuniu! bracie! bratuniu! bratunieczku! bo kiedy byłem profesorem *Infimy* w Cytowianach, inaczej mnie nie nazywano. A zresztą *benedykuję, benedykuje,* ale spraw tylko, abyśmy mieli co *benedykować* na stole.

— Przynajmniej-że daj mi innego woźnicę. Cóż pocznę z tym małym chłopczykiem? Jemu do mszy służyć, ale nie kwestarza wozić. Któż dopilnuje wozu, konia i baranów, jeśli ich Bóg zdarzy.

— A skądże wziąć innego? Ten co był i woził brata Placyda, za młodu traktował żołnierkę. Postrzelany jak sito i pokiereszowany, przywlókł się tu nie wiem skąd i ufundował się w klasztorze, jak mówił, przy ołtarzu do śmierci. — Bóg tam z nim — pomyślałem sobie — *restat:* bo prócz tego odrazu pojął się do woskowni i wyśmienicie stoczki ciągał. Ale potem zachciało mu się jeździć po kweście, a nie chciał włożyć habitu; więc na to powiedziałem: — *Nego.* Bo kiedym był profesorem *Infimy...*

— Ależ *reverendissime!* czas nagli.

— To nic, bracie! bratuniu! bratunieczku! Słuchaj tylko. Otóż uparli się oba z bratem Placydem. Ja swoje, oni swoje. Skończyło się na tem, że on *semi*-socyusz,

semi-woźnica, ofiarował się towarzyszyć kwestarzowi. Rzekłem tedy: — *Concedo.* — I dobrze się powodziło; bo ten *peregrynant* zawołany, prawiąc wszędzie *mirabilia* o swojem życiu, o krajach, gdzie bywał i wojował, o bataliach i szturmach, brał za to barany jak grzyby. My sami słuchamy bywało jego rozziawiwszy gęby. Kiedy byłem *profesorem Infimy w Cytowianach*, to geografię na klasę pierwszą sam umiałem na pamięć: a bywało nigdy nie mogę rozgatunkować, w której części świata on bywał i wojował.

Otóż jak tu napłynęło wojsko, jednego dnia poznał on swoich dawnych towarzyszów; naprowadził tu ich do klasztoru. Nie rabowali-to oni wprawdzie, ale objedli i opili nas do szczętu; a nasz *semi-quaestarius* chwycił w rękę karabin i pomaszerował z nimi szczęśliwie.

Ad felix videndum, bracie! bratuniu! bratunieczku! — rzekł — i po wszystkiemu. Bez niego, ani brat Placyd kwestować chce, ani furmana gdzie dostać. Jednakże to nic nie szkodzi, jedź! Chłopak twój choć mały, ale sprytny. Trzymaj go tylko w *subordynacyi;* bo kiedy byłem *profesorem Infimy w Cytowianach* to to bywało *corona asinorum* na głowę i *flectat*, a wnet żaki *szarf!...* Razu jednego...

— *Vale* — rzekłem — *reverendissime! vale! Ad felix videndum* — i siadłem na kałamaszkę.

— Jedź, jedź! bratuniu, bratunieczku! *benedykuję* i oczekuję! ratuj! oczekuję i *benedykuję*.

XXXI.

Kwesta.

Pan Bóg jednostajnie co rok obdarza nas darami swymi, ale tego roku nadzwyczaj nam błogosławi w urodzajach. Jakie piękne zboża! jakie bujne kłosy! jaka obfitość daru Bożego! Ale wojna! wojna!... chociaż teraz przeszła jak wicher i grzmi gdzieś tam od nas daleko, ale jeżeli powróci, broń Boże, połknie wszystko, a może i nas samych! Bądź wola twoja Panie.

Wyjechawszy z klasztoru, zawróciłem na manowce, bo ta jedna rada kochanego ojca profesora *Infimy* w Cytowianach była dobrą. Już też i wypędzeni strachem i rabunkami mieszkańce powracali do domów i krzątali się około gospodarki.

Nie tak bardzo i ozięble mnie przyjmowano. Wszyscy ze zwyczajnego toru zbici, o niczem nie myślą i nie mówią, jak o tem, na co patrzą; a niespokojnie wyglądają, co będzie? W takiej niepewności niema czasu do filozofii. *Kiedy trwoga, to do Boga!* Wprawdzie gdzie przeszedł rabunek, trudno żądać jałmużny; ale jednakże niejeden gospodarz, widząc na polu i ciesząc się z pięknego żytka lub pszeniczki, a niepewny, czy one szczęśliwie zwiezie do gumna, na tę *intencyę* ofiarował mi asygnatę na jesień i do klasztoru odesłać obiecał; niejedna mamunia, zaprowadziwszy mię w kątek, z płaczem wetknęła rubelka *na intencyę*, aby synek szczęśliwie z wojny wrócił; a nikt przecie do świętej *filozofii* na mszę nie dawał.

Przyszło mi jednak spotkać się i z tą zarazą, a to jeszcze na tem samem miejscu, gdzie niegdyś cnoty chrześcijańskie najozdobniej kwitnęły — jako o tem niżej.

Już o mil dziesiątek oddaliłem się od klasztoru ku Niemnowi i kilka baranów wlokło się za *prewodyrem*, gdym zdaleka dostrzegł dwór wielki, a we wsi dowiedziałem się nazwiska pana. Nazwisko to przypomniałem wnet; dwór to był bowiem starosty, ów, w którym przed laty tak hojnie obdarzony byłem. Dowiedziałem się także z żalem, że oboje to bogobojne państwo pozmierało; że ich, to miłe wtenczas paniątko, sukcedował po rodzicach i jest we dworze. A więc choć pora była spóźniona i ciemno już, w imię Boże zawróciłem do dworu.

Coś mi się w duszy smutno zrobiło, gdym wjeżdżał na dziedziniec... czy to przypomnienie lat młodszych i lepszych, czy poczciwych ludzi, których tu poznałem, a nie pewny byłem, że żyją jeszcze?... Oj czas, czas! Dobrze mówił nieboszczyk mój ks. definitor: *Tempus edax rerum!* a w przysłowiach wojewodzińskich stoi: *Contra vim mortis non est medicamentum in hortis* — przeciw srogiej Libitynie niemasz rady w medycynie! Zawinie się ona bodaj wkrótce i koło mnie.

Tak dumając, kazałem chłopcu poszukać stajni i sam szedłem, gdzie się świeciło, a świeciło się tylko z okien jednego pałacowego skrzydła.

W sieniach ani żywego ducha. Dalej przeszedłem jeszcze kilka pokojów, kierując się na krzyki i śmiechy, które mi do uszu dochodziły.

Wszedłem nakoniec do wielkiego pokoju i znalazłem siedzących za stołem kilku panów, jednych z żołnierska, innych z węgierska ubranych, hołdujących królowi egipskiemu i razem Bachusowi: bo przed każdym kupy złota, karty i kielichy z winem stały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— A to co za pop? — razem wymówili.

Nie było ani z jednej, ani z drugiej strony odpowiedzi.

Znowu powtórzyłem: *Laudetur Jesus Christus!*

I znowu zamiast chrześcijańskiego responsu: Skąd cię tu licho przyniosło?

— A — pomyślałem sobie, — pięknie trafiłem!

— Jestem ubogi kwestarz — rzekłem nakoniec. — Rozumiałem, że trafiłem do chrześcijańskiego dworu; ale, jak widzę, wpadłem do jakiegoś *Pandemonium*, bo i na chrześcijańskie pozdrowienie nie odbieram zwyczajnej odpowiedzi.

— Zresztą: na wieki wieków — odezwał się jeden z nich. — Kto cię tu wpuścił?

— Nikt nie wpuszczał, i nikt nie bronił wejścia; a niegdyś wejście do tego pańskiego pałacu nie było bronionem dla poczciwych ludzi.

— No, no, popie, nie gniewaj się. Albożeś tu był kiedy?

— Byłem, i nie zapomnę tego dnia, w którym poznałem zacnego, wspaniałego a bogobojnego pana tutejszego, starostę... Niech w chwale Boskiej świeci jego dusza. Rozumiałem, że znajdę teraz podobnego ojcu syna, z którego natenczas cieszyłem się, bo w maluczkiej dziecinie już pańskie i chrześcijańskie okazywały się cnoty; ale widać, że go tu niema; a zatem na pożegnanie jeszcze raz *Laudetur Jesus Christus!*

— Stój! księże! — rzekł powstając od stołu i rzucając karty mężczyzna w mundurze gęsto srebrem szy-

tym. — Jam jest syn starosty... i gospodarz tego domu...

— Tak, tak — dodał jakiś podpiły *sampan* — to nasz pułkownik, hrabia... Czołem, popie! bo cię skropię!

— Mógłbyś to i uczynić, dobrodzieju! — odpowiedziałem — bo trzymasz kielich pełny, a sam jużeś się tęgo jak widzę zakropił.

— Brawo! — rzekł inny. — Masz za swoje! To po kwestarsku. Skropże go za to, to jest oddaj mu swoją szklankę.

Odsunąłem podawaną szklankę, a w milczeniu patrzałem na starościca. On także na mnie.

— Znałeś mię dzieckiem, powiadasz?

— Znałem, znałem cię, gdyś miał obok siebie anioła i djabła, to jest księdza kapelana i Francuza! Oh! któryż zwyciężył?

Odwrócił się starościc, przechadzał się po pokoju, przecierał czoło... to patrzał na mnie, to się odwracał; odsunął także podawany mu kielich...

— Tak — rzekł potem — tak, miałem przy sobie jakiegoś fanatyka... a może był i poczciwy człowiek. Umarł...

— Przecież za sprawą tego fanatyka — rzekłem znowu — serce twe młodziuchne skłaniało się ku dobremu. Ofiarowałeś mi natenczas dukata, który ja z płaczem i błogosławieństwem przyjmowałem, a teraz...

— A teraz rozumiesz-że mię być nieludzkim? Masz oto pięć takichże samych dukatów — rzekł, biorąc je z kupy złota na stole.

— Dobrodzieju! — rzekłem — gdybyś mi i całe złoto, które widzę na stole, oddał, nie będzie ono tyle

u mnie znaczyło, ile tamten dukat. Rozumiesz mię, panie, dlaczego?

Starościc znowu przeszedł kilka razy salę zadumany. Goście nań poglądali i na mnie z ukosa.

Nakoniec, jakby gwałt sobie czyniąc, odwrócił się do mnie:

— Kaprysisz, księże! — rzekł. — Co było, to było... przeszło.. a dukaty zawsze jednostajne...

Wtem wszedł lokaj i zawołał: Wieczerza!

— Proszę — rzekł starościc — do kompanii i ciebie, księże!... Przypomnimy się lepiej przy półmisku i szklance.

Gdyśmy usiedli do stołu (a było to w tejże samej sali, gdzie przed dwudziestu z górą laty obiadowałem), przypomniały mi się wszystkie osoby, z któremi wówczas zasiadałem; stanęły mi w oczach... i oczy zaszły mi łzami. Nie jadłem, bo i prócz tego był to piątek, a mięso na stole. Milczałem; podobno nawet na kilka kwestyj nie dałem responsu; a tymczasem cała wrzaskliwa drużyna gładko zajadała, a jeszcze gładziej piła.

Nakoniec odezwał się ten sam jegomość, który mię chciał skropić: Cóż milczysz? popku! Zarwę cię z teologii. Powiedz mi, gdzie w człowieku dusza siedzi?

Obudziłem się jak ze snu. — A wspomóżże mię, Panie — pomyślałem — skonfundować tego chłystka.

— U żołnierza — odpowiedziałem — który nie broń, ale szklankę ma w ręku, dusza siedzi w piętach.

Przygryźli usta wszyscy, uśmiechnęli się niektórzy, i spojrzeli po sobie, a *homo quaestionis* krzyknął:

— Słuchaj popie! ostrożnie z żartami, bo ci własną duszę wycisnę.

Pomiarkowałem, że tu za kwestę guza tylko dostać mogę, więc wstałem od stołu i wynieść się chciałem.

— Dokąd? księże! — rzekł starościc, czy pułkownik, jak go nazywano. — Nie uciekaj, bo dowiedziesz, że u ciebie dusza w piętach. Przebaczam ci żart, bo nie wiesz, dlaczego jeszcze tu jesteśmy. Gdy czas przyjdzie, powinności naszych do munduru przywiązanych nie zaniedbamy. Zresztą nie lękaj się, w moim domu nikt cię nie skrzywdzi. A ty — dodał, obracając się do pytającego się *sampana* — siedź i pij. Nie umiesz teologii i dlatego cię zjeździł, a przy tobie i nam się dostało. Nie idzie o to, gdzie dusza siedzi, ale *czy jest* dusza, na tem grunt.

— Dowiedź mi, kwestarzu, że jest dusza, to ci dziesięć baranów dać każę, albo lepiej dam ci dziesięć dukatów, bo baranów podobno w całej ekonomii niema.

— A co? zabrakło ci konceptów?

— Dobrodzieju! — rzekłem do starościca — dziś nam wszystkim nie do dysput, a tem bardziej w takiej ważnej materyi. Jutro odpowiem na kwestyę pańską, a dziś wszystkim dobrodziejom życzyłbym porzucić służbę Bachusa, bo to bożek pogański, a pójść zaraz spać, abyście z duszami przynajmniej wstali.

— No, to do jutra masz zakład — rzekł starościc.

I nie mogłem inaczej zrobić, jak odłożyć, a namyślić odpowiedź, bo pierwszą nastręczyło mi przysłowie zwyczajne, że u tchórza dusza w piętach; ale na drugą, zarwany tak *insperate*, zdobyć się nie mogłem.

Wyszedłszy z sali, szukałem noclegu, bo nikt się o mnie nie frasował. Ujrzałem światełko w oficynie niegdyś marszałkowskiej, tam się więc zawróciłem.

XXXII.

Stary marszałek dworu i stary rezydent.

— *Ave Maria, gratiae...* — posłyszałem jeden głos wchodząc do izby, i drugi odpowiadający: *Sancta Maria, Mater Dei...*

— A! — pomyślałem sobie — tu przecież trafię po myśli. Może to i pan marszałek dawny trzepie różaniec.

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedziało dwóch razem staruszków, siedzących przy stoliku i niżących ziarnka koronki. Jeden z nich w białym dymkowym żupaniku, a drugi w tabaczkowej kapotce; przy jednym stała trzcina ze srebrną gałką, przy drugim leżała klapka na muchy.

— Może dobrodzieje przyjmiecie mnie trzeciego — rzekłem — za socyusza do koronki i trzeciego starca do kompanii?

— *Cum apertis manibus* — odezwał się staruszek biały. — Dawno już takiego gościa Bóg nam nadarzał.

— Niegdyś, a to bardzo dawno, sam byłem gościem w tych progach; i zdaje mi się — mówiłem, wpatrując się w witającego mię jegomościa — że oglądam, a oglądam z pociechą prawdziwą, marszałka dworu zeszłego starosty?

— Tak, tak, *quondam* — odpowiedział, pokręcając siwego wąsa. — Radbym wiedzieć, kiedy to było?

Tymczasem tabaczkowy staruszek wpatrywał się we mnie. Poznaję, przypominam — odezwał się. — *Anno millesimo septingentesimo...* był tu brat kwestarz, którego zapomnieć długo nie mogliśmy, którego nieboszczyk starosta co rok wyglądał, który budowniczego Kwetkę i Francuza skonfundował gracko...

— Ten sam — przerwałem — ten sam; — i obaj starcy rzucili się mi na szyję, i obaj całowali i ściskali najkordyalniej.

— Więc dobrodziej jesteś ów pan chorąży, rezydent na dworze starosty?

— Rezydent i teraz z łaski jego, bo zapewnił on mnie aż do śmierci *victum et amictum* w swym testamencie, jako i wszystkim, którzy się jego pańskiej klamki trzymali. Daj mu Boże niebo!

— Widziałem i jaśnie wielmożnego starościca, teraz, jak uważam, wojskowo traktującego, bo go pułkownikiem nazywają, i hrabią nawet. Widać, że niedawno nim został, bo zeszły starosta tak się nie *magnifikował.*

Obaj starcy kiwali smutnie głowami. Nakoniec rzekł marszałek: W pałacu *Sodoma i Gomora!*

— Nie widziałem i ja tam nic dobrego. Ale skądże to przyszło, że syn tak zacnego i bogobojnego ojca, jak uważam, wcale inny?

— Oh! długoby gadać jegomości o naszych nieszczęściach i dniach opłakanych. Siadaj, *carissime!* Dość ci pokrótce powiedzieć, że po śmierci obojga naszych państwa, która nastąpiła niespodzianie w lat kilka po twojej tu bytności, bo starosta we trzy miesiące poszedł za swoją żoną *ad patres*, opiekunowie (bodaj z piekła nie wyszli!) wywieźli panicza i panienkę na edukacyę do Warszawy. Poczciwi my a życzliwi słudzy ich, błogosławiliśmy ich z płaczem, i oczekiwaliśmy potem powrotu paniąt naszych, jak wybawienia z niewoli babilońskiej; aż tu nam po długiem oczekiwaniu powiadają, że starościanka poszła za mąż, a pan staroście pojechał na wojaż do Paryża. Powrócił aż po latach pięciu. Pożal się Boże! wyjechał od nas miłem pobożnem, ślicznem panięciem, a przyjechał... Ale *non licet mihi* mówić źle o synie mojego pana i benefaktora... Już to on, widać, pod taką konstelacyą urodził się...

— A u wasana wszystko *konstelacye*, same *aspekta* niebieskie i *horoskopy* w głowie — przerwał chorąży, i zwrócił do innego objektu ciekawe dla mnie opowiadanie marszałka o staroście.

— A jużci też pewniejsze moje *aspekta* — odpowiedział z gniewem marszałek — niż waspana *Apokalipsy.* Teraźniejszy kometa nawet nic nie znaczy u waspana? Przecież jak tylko się pokazał, wnet przepowiedziałem, że będzie wojna; a jak wsiadł na wózek niebieski, czy nie mówiłem, że przywiezie biedę na cały świat? To jeszcze będzie szczęście, kiedy nas ogonem nie muśnie, bo wtenczas zapadniem. A tymczasem, czy nie prawda? czy niema wojny i biedy?

— Tak; ale waspan mówiłeś, że taki sam kometa świecił, gdy Jan III szedł na Turka pod Wiedeń, i pokazywałeś go namalowanego w Janinie; to prorokowałeś, że i teraz Turcy tu przyjdą...

— Nie prawda. Mówiłem tylko, że i Turki będą w robocie. A czy nie są? Proszę tylko spojrzeć na kometę, a najbardziej na jego ogon: w którą stronę...

Gdy pan marszałek zwrócił się do okna, pan chorąży,

pokazując nań wzrokiem, kręcił palcem po łbie, i z cicha mi powiadał: — Ma... ma...

Marszałek wpatrywał się w kometę, a rezydent rzekł do mnie: — Co innego zupełnie, gdy ja jak na dłoni tłómaczę, że wszystko co się dziś dzieje, stoi wyraźnie w *Apokalipsie.*

— Winszuję — przerwał śmiejąc się marszałek.

— Wolno śmiać się — mówił także obrażony chorąży — wolno śmiać się, ale czy nie mówiłem waspanu dawniej, że *Apolion,* anioł przepaści, *exterminans*, jest to *Napoleon.* Różnica o literę nic nie znaczy.

— A przecież — przerwał marszałek — *litera nocet litera docet.*

— I uważ jegomość — mówił dalej rezydent, nie zważając na przekąsy kolegi — jak tu wszystko kwadruje się:

Baranek otworzył jedną z siedmiu pieczęci (bo już to pewnie otworzył). *I oto okazał się koń biały, a ten, co na nim siedział, miał łuk* (łuk czy pałasz, wszystko jedno, byle broń), *i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając, aby zwyciężył* [1])«... Aż dowiaduję się teraz, że i Napoleon na białym koniu jeździ.

— Prawda — rzekłem, — sam go na białym koniu widziałem; a ma go, jak mi powiadano, aż z Egiptu.

— O to, to, to, to! — rzekł żwawo uradowany staruszek, tupając aż nogami — o to, to, to! widzisz waspan, z Egiptu, z pod Babilonii, „*i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając.*“ Jak nie wstyd nie wierzyć?

— A w drugiem miejscu znowu co pisze?

„*I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały* (znowu

[1]) Apocalipsis Rozdział IV.

koń biały, widzisz waspan!) *a siedzący na nim sądzi i walczy, a oczy jego jako płomień ogniowy.*“ Wszyscy mówią, że oczy Napoleona przeraźliwe.

— Prawda — odezwałem się, — sam to widziałem także i doświadczyłem: czarne, a świecą jak karbunały.

— O to, to, to, to, to. A mójże ty dobrodzieju! O to, to, to, masz waspan żywego świadka.

Marszałek kiwnął głową.

— Nie wierzy, dalibóg nie wierzy! Niechże cię bestya o siedmiu głowach połknie!

— Dalej tak stoi: „*A na głowie jego wiele koron, a obleczony był szatą krwią zmoczoną*“. Chybaż waspana jaka gwiazda oślepiła! To już jak łopatą w głowę. Na dobitkę jakież to wojsko tego *Apoliona.* Oto szarańcza: *a podobieństwo szarańczy, koniom zgotowanym na wojnę, a twarze ich jako twarze człowiecze, a miały pancerze, jako pancerze żelazne, a ogony podobne niedźwiadkom.*“ Albo znowu: „*I takżem widział konie, a siedzący na nich mieli pancerze ogniste!*“ Cóż tu mospanie i wątpić? Francuzów jak szarańczy, chmurami idą i niszczą wszystko: a sami widzieliśmy, jak onegdaj przejeżdżał do naszego pana *ad praesens* półkownika, zbrojny rycerz w pancerzu ognistym, i z włosistym ogonem na głowie...

— I pewnie z twarzą człowieczą — przerwał znowu marszałek. W tem tylko sęk, że, jakeś wasan wczora czytał, tej szarańczy zakazano, aby nie psowała trawy ani wszelkiej zieloności; a wasana szarańcza żyto kosi

— No to cóż? no to cóż? — odpowiedział zakłopotany nieco chorąży — kosi, ale wszystko odrasta, i trawa i żyto. Sądźże sam księże kwestarzu, czy to nie widoczne? czy to nie jak na dłoni? Kometa! kometa! I cóż ten kometa? Przyszedł swoją drogą. Niema z nim biedy. Ale

co będzie kiedy druga pieczęć otworzy się? i trzecia, aż do siódmej? kiedy *Gog* i *Magog* [1]) nadejdą...

— Nie bredź! nie bredź! — przerwał z gniewem marszałek. — To mi głowa do tłómaczenia tych *hyperbolów* i tajemnic. Tu widoczny znak na niebie, tu wraz idzie i widoczny skutek: wojna a on mnie tu baki świeci o *Gogach* i *Magogach*. Powiadają wszakże, że i Napoleon ma swoją gwiazdę, w którą wierzy; i w *Apokalipsie* nawet czytasz wasan, że będą znaki na niebie.

— O to, to, to, to, zaraz waspanu o tem się sprawię — rzekł, biegąc staruszek do alkierzyka po Biblię A tymczasem marszałek pokazał palcem za odchodzącym, a potem kręcił nim na czole i mówił z cicha: — Ma... ma... tu... ma!...

— Obu wam biednym klepki nie dostaje — pomyślałem.

Otóż to ci dwaj rzeźwi niegdyś, strojni i przystojni dworacy, fantazyą piękną i animuszem dodający lustru powagi pańskiemu dworowi, a mogący iść o *prym* na każdym innym, teraz pokurczeni, podupadli, niedołężni, niepodobni do siebie, dysputują o skończeniu świata, a nie myślą, że sami wnet się skończą. Oj starość! starość!

Wyskoczył z alkierza staruszek z Biblią; ale ja rzekłem: — Dobrodzieje, wiecie co? oto zamiast tych tajemnic apokaliptycznych i niebieskich, dokończmy tajemnic Koronki świętej. Ja pomogę, i pochwalim Pana Boga, w którego mocy wszystkie komety i wszystkie bestye i smoki.

Spojrzeli oba na mnie. Chorąży położył spokojnie Biblię na stole. Oba ucałowali krzyżyki wiszące przy koronkach, i oba usiedli cichuteńko przy stoliku, jak dzieci zgromnione w swawoli.

[1]) Ibidem Apocalipsis.

— Na którejże tajemnicy przestaliśmy, panie chorąży? — zapytał marszałek.

— Na ósmem *Ave Maria*, tajemnicy trzeciej. Na pana marszałka kolej.

— *Ave Maria gratiae plena...* — rozpoczął zatem nabożnie marszłek — *Sancta Maria Dei...* odpowiedzieliśmy, i dokończyliśmy koronki, po której posłałem się na tapczaniku, i poszliśmy spać. Marszałek jednak, nim się układł, spojrzał przez okno na kometę, a rezydent Biblię pod głowę podłożył.

XXXIII.

S n y.

Obudziłem się. Moi gospodarze wstali raniej i oba siedzieli już przed kominem. Jeden grzał piwo, drugi gotował sobie kawkę; i rozmawiali sobie po cichu, wrzekomo aby mnie nie rozbudzić.

— Imaginuj sobie wasan — mówił marszałek — śniłem dziś, że kometa do mnie przemówił. Zniżył się jakoś, ogon po ziemi wlókł. Głowa rychtyk jak w *Janinie* [1]) wymalowana. *Horret animus!* na sam ten widok

[1]) Janina — opisanie wyprawy Jana III pod Wiedeń, gdzie jest i rysunek komety, który natenczas na niebie świecił. Księgę tę piękną czytałem w klasztorze wileńskim. (Nota Autora).

pot zimny na mnie wystąpił! Kiedy to huknie: — Zapa-dasz! zapadasz! — Drgnąłem ze strachu i ocknąłem się... aż patrzę — zapadłem i siedzę na ziemi, a głowa tylko na wierzchu, cały zaś *corpus* pod łóżkiem, bo płótno pękło do reszty i ja z piernatem zapadłem. No proszę uniżenie, powiedz waspan, skąd kometa wiedział, że u mnie łóżko dziurawe.

— *Extraordynaryjna* rzecz! panie Sebastyanie! *extraordynaryjna* rzecz! — odpowiedział rezydent; a tem bardziej, że i mój sen także dziwny i straszny. Imaginuj sobie wasan, śni mi się, że wychodzi z morza *bestya* ogromna, o siedmiu głowach, a na każdej głowie po dwadzieścia cztery rogi i w każdej paszczy po dwadzieścia cztery trąby. Jakże zatrąbi ze wszystkich trąb, aż ziemia zatrzęsła się!... Gwałt! Zatknąłem uszy — nic nie pomaga!... Dreszcz mnie przeszedł, ocknąłem się. Aż to ksiądz kwestarz, ta *bestya*, chrapie na całą izbę, No proszę uniżenie, pytam waspana, jakim to sposobem z kwestarza zrobiła się *bestya?*

— Sen mara — rzekłem powstając — a dzień dobry dobrodziejom.

Nie wspominając o snach, nieco zawstydzeni, oddali mi pozdrowienie, i — na co wola? — zapytali — na piwko? czy na kawę?

— *Et haec facienda, et illa non omittenda* — odpowiedziałem — można jedno drugiem zapić.

— Wyśmienicie! obu nam zrobisz łaskę. Bo widzisz jegomość — mówił rezydent — obadwaj w rannym posiłku żywimy się *de propriis.* Niema kawiarni wspólnej, jak dawniej; więc pan Sebastyan większej odemnie *substancyi*, kupuje sobie kawkę, a ja *cerevisiam* popijam.

Po śniadaniu takowem podwójnem wyszliśmy na przechadzkę po dworze.

O Boże! jakaż to ruina i pustki! jaka różnica od tego, co dawniej było!

— Musiała i tu być szarańcza francuska — rzekłem.

— Nie, my sami tak pięknie wszystko to urządzili, a zaczęli zacni jaśnie wielmożni opiekunowie. Poszły świdrem i dostatki i fortunki ojcowskie, a synek bogatego pana będzie mógł wkrótce powiedzieć:

Chodziłem niegdyś strojno, a teraz obdarty,
Trzy rzeczy mnie zgubiły: Venus, wino, karty.

— Oh! niech go Bóg od ostatniej ruiny zachowa, bobym tego nie przeżył!

— I ja także — dodał rezydent, a oba z łez oczy otarli.

— Teraz — mówił dalej marszałek — do Towarzystwa Wenery, Bachusa i Faraona — przybył Mars. Nie wiem, czy on nam pomoże, chyba że panicz nasz miał go w swoim *horoskopie:* bo jeżeli rodził się pod tym *planetą*, a w *Zodyaku* miał Lwa...

— A dajże wasan temu pokój! — przerwał niecierpliwie chorąży — dajże wasan temu pokój! Nie może być inaczej, jak jest. Czy tam nie pisze, że gdy „*smok wielki rydzy, pozrze dziecko niewiasty* [1]), *natenczas upadną wszyscy mocarze i bogacze tego świata*“. Więc i upadają bogacze, a między nimi i starościc. Bo mogę dowieść jak na dłoni, że *smok rydzy* znaczy...

— A niech cię kaduk porwie i z twoim *smokiem rydzym!* — wrzasnął zniecierpliwiony marszałek.

---

[1]) Ibidem: Apocalypsis.

— Niech ciebię porwie z twemi *horoskopami* — wrzasnął wzajemnie rezydent — bo to, prawdę mówiąc, *magią* pachnie.

— Dajcie pokój dobrodzieje temu wszystkiemu — rzekłem. — Ot wolej dowiedzcie mi i pokażcie, czyli dawna kaplica piękna stoi jeszcze? i czy nie zrujnowana tak, jako i wszystko, co tu widzę?

— O nie, chwała Bogu, nie! — odpowiedział marszałek — obaj my z kochanym chorążym jesteśmy zakrystyanami tej świątyni Pańskiej, i z ostatniego ważym na jej utrzymanie. Co niedziela moich parę kuców posyłam po księdza i mamy mszę świętą, do której kolejką jeden z nas służy. Ludek prosty i kilku starych sług, którzy nam dotrzymują w tem życiu kroku, gromadzi się natenczas około nas i razem chwalimy Boga, a modlim się za dusze naszych panów i dobrodziejów.

— Tak, tak — dodał kolega — póki żyjem z kochanym marszałkiem, nie damy upaść temu domowi Bożemu.

— Jaka przykładna jedność około chwały Bożej — rzekłem — a w innych materyach...

— Cóż robić? — przerwał marszałek. — Jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy... a drudzy — mówił, patrząjąc z ukosa na rezydenta — a drudzy *Boże odpuść!!..*

— O to to to to to — przerwał znowu rezydent — jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy — rzucając także z ukosa okiem na marszałka — drudzy... *Jezu mój Panie!!..*

Obejrzeliśmy kościółek, pomodliliśmy się; a tymczasem wstał pułkownik i wyszedł na ganek z fajką na sążniowym cybuchu i z bursztynem, którego gęba objąć nie mogła; a za nim kilku wczorajszych adherentów.

— Dzień dobry! — zawołał on, postrzegłszy mnie. — A chodź-no tu, księże kwestarzu!

Poszedłem do ganku, oddałem pokłon i postrzegłem, że starościc blady, smutny, jakby niewyspany, czy chory. Jakaś mię troskliwość o nim przejęła. Stanął mi on na pamięć w miłej, maluczkiej dziecinie. Pożałowałem go. Dlaczegoż biedny został wcześnie sierotą? Słowem, sam nie wiem, dlaczego zapytałem: — Czy nie chory JW. pan?

— Dlaczego?

— Bo coś mi się bladym i zmienionym wydajesz, dobrodzieju!

— W rzeczy samej — rzekł on — jestem słabym. Nie spałem, a raczej sen mię bardziej udręczył, niżby wzmocnił. Może wino, może twoje zjawienie się tutaj, było tego przyczyną, a może to oboje razem. Ledwom zamrużył oczy, wnet jakieś marzenia napastować mię zaczęły. Widziałem potem siebie w jakiejś przepaści. Węże koło mnie, straszydła jakieś, mary... Zrywałem się, odcykałem i znowu zasypiałem. Płynąłem potem po jakiemś morzu. Łódź pękła — potonąłem, ale się nie utopiłem. Żyłem na dnie morza jak w krysztale, widziałem daleko i szeroko... Tysiące, krocie, miliony postaci rozmaitych, białych, szarych, przeźroczystych, mętnych, ogarnęły mię, snuły się koło mnie, jawiły się tłumami jak pokusy i nikły w głębinach. Z niemi i ja unosiłem się miotany na falach; pogrążałem się i wybijałem na wierzch; chwytałem się rąk podawanych mi jakby dla ratunku,

ale te ręce były z piany. Cały świat, cały Paryż, wszyscy i wszystko, co gdziekolwiek i kiedykolwiek widziałem, zalewało mię, dusiło jąk topielca i niknąc znowu z odbiegającemi wałami, na chwilę wolno oddychać mi dozwalało... Ocknąłem się nakoniec; a chociaż przez sen byłem w wodzie, na jawie jednak (i jakaż to była jawa?) głowa mi pałała, a piersi jakbyś kamieniem przycisnął. Oczu otworzyć nie mogłem; i lubo ocucić się zupełnie wstać i otrząść się z tego dręczącego marzenia chciałem, napróżno jednak. Znowu marzyć zacząłem. Jakiś kościół ogromny a ciemny. Ja w nim sam jeden... a jednak słyszałem około siebie jakieś szepty głuche, mrowiem mię przejmujące... Dzwony potem się odezwały, kościół się blado oświecał... mogłem rozpoznawać co się działo... organ zabrzmiał *Dies irae* czy *De profundis*, tak mi się przynajmniej natenczas wydawało i przy każdej kolumnie kościelnej ujrzałem białe marmurowe posągi, a przy dwóch mnie najbliższych poznałem ojca i matkę moją. Chciałem biedz ku nim, ale jak przykuty, ruszyć się z miejsca nie mogłem; ręce tylko ku nim wyciągałem. Przy innych kolumnach stały także posągi; między niemi byłeś i ty, kwestarzu, jak *Pastor bonus*, trzymając baranka na ramionach; był i dawny mój nauczyciel ks. Joachim. Oczy wszystkich, a szczególniej rodziców moich, ogniem pałały... Okropny był stan mój!... Nakoniec w takiem martwem otrętwieniu zdawało mi się, że sam stygnę i na środku kościoła kamienieję... Pod dzień spokojniej zasnąłem.

— Dziwny sen panie! — rzekłem, sam nad nim rozmyślając — dziwny sen!.. Któż wie, czy nie nauka?

Starościc stał zadumany.

— A nauka — odezwał się wczorajszy kropiący jegomość – nauka, że mięszać trunków nie należy. Szampańskie szumi, a węgierskie rzuca. Pan zaś wczoraj po odejściu kwestarza piłeś jedno i drugie, jak gdybyś gwałtem rozum i pamięć utopić pragnął. Dlatego we śnie utopiłeś się w morzu szumiącem, a węgrzyn rzucał cię na falach. Cha! cha! cha! czy źle sny tłómaczę? Byłbym drugim Józefem, gdybym żył za Faraonów.

— A więc może dobrodziej i mój sen dzisiejszy wytłómaczysz, bo także dziwny.

— Jakto? i ty także śniłeś? — odezwał się starościc.

— Tak — rzekłem — a nawet sen mój ma niejakąś *konjunkcyę* z pańskim.

— Mów — odezwali się wszyscy. — słuchamy!

— Oto, byłem w piekle. Jak tam się dostałem, nie wiem; i nie będę opisywał ichmościom wszystkiego, com tam widział: bo sami z czasem tam dostaniecie się i zlustrujecie wszystko należycie.

— A skąd ta pewność, popie — przerwał tłómacz snów — że my tam będziemy?

— *Qualis vita, et mors ita.* Jaka zasługa, taka i nagroda. Ale mniejsza o to. Dość, że przeglądając kotły, w których smażą się potępieńcy w smole, jak pampuszki w oleju, posłyszałem: — Bracie Michale! ratuj mnie! — Obejrzę się, kto tu mój znajomy? aż spostrzegam mojego kochanego starostę, ojca pańskiego. Siedzi po szyję w smole; a Francuz, dyrektor niegdyś pański, który w piekle funkcyę *pieczurnika* spełnia, poddmucha ogień, szumuje żelazną stągwią warzącą się smołę, jak kuchcik garnki na kuchni i urąga się JW. staroście. — Ach dobrodzieju! — rzekłem — *ex inferno nulla redemptio*! Cóż ja tu dopomogę? Ależ za jakież grzechy tak cnotliwy pan poszedłeś na potępienie!

— Za syna mojego tak pokutuję — odpowiedział mi żałośliwie. — On mię tu wsadził, za to najbardziej, że zaniechawszy rad i przestrog poczciwych ludzi i kapłanów, dałem mu w młodych jego latach za *preceptora* tego wcielonego szatana, który mię teraz dręczy, a który zepsuł jego serce i założył w niem fundamenta złego. A oto obok siedzą panowie opiekunowie, którym powierzyłem umierając dziecko moje, a którzy zawiedli moje zaufanie, z fortunki mojej korzystali, a syna mego zaniedbując, dozwolili mu napawać się trucizną dzisiejszej na świecie panującej bezbożności. Oj, takich opiekunów jest tu moc nieprzeliczona, i codzień przybywają. Cokolwiek więc on teraz zbroi albo zbluźni, spada to wszystko na moję i na ich głowy; a tak zamiast kropel ochłody, któreby mnie z jego cnót spływały, dolewa on mnie codzień po garncu gorącej smoły....

— Łżesz! księże! — przerwał mi pułkownik, rzucając fajkę — kłamiesz niedorzecznie! Ojciec mój tak poczciwy człowiek, że pewnie w niebie.

— Czy tak? w niebie? A więc miał duszę!... *Sequitur*, dobrodzieju!...

— Żeś wygrał zakład — przerwał uspakajając się starościc i uśmiechając się. — Chętnie ci zapłacę przegranę.

— Brawo kwestarz! zawołali towarzysze — brawo!

— Ale to mało na tem, dobrodzieje! Także kto ma duszę, a duszę dobrą i poczciwą, ten obdarzy kwestarza; a kto jej nie ma, niech nic nie daje, bo od bydląt nie biorę.

Spojrzeli po sobie wszyscy, rozśmieli się, i każdy do kieski. Starościc dukatów dziesięć, a ci ichmość po kilka złożyli, i tak od razu zebrała się sumka, z którą bez dalszej kwesty do klasztoru wrócić mogłem.

Gdym żegnał starościca, rzekł on mi: Bracie kwestarzu! nie zapomnę twej tu bytności... z wielu przyczyn i względów.... Jeżeli mnie kule oszczędzą, (bo nie myśl, ażebym moją wojskowość tu przy kielichu odbywał), powróć kiedyś do mnie.... Bóg nam natenczas inne sny... pomyślniejsze zapewne zesłać raczy....

Podniosłem oczy i ręce w niebiosa. On się odwrócił i spiesznie odszedł.

Pożegnałem potem poczciwych, a po części zdziecinniałych moich staruszków. Marszałek dał mi z dawnych swoich zapasów flaszkę wybornej gorzałki, a rezydent ze swej partykularnej spiżarni, szczupaka wędzonego na zakąski, i ruszyłem, zawracając się ku domowi.

XXXIV.

Łostaje.[1]

Zakopałem znowu moje złotko i ruble w tabace głęboko, nauczony niedawną *experiencyą*, że nosy maroderów na tabakę *se bon!* ale kruszcu pod nią zwietrzyć nie mogą; i wlokłem się, zbliżając się codzień do Bienicy. Baranów zebrało się kilkanaście, i miałem nadzieję dostawić ich w całości księdzu profesorowi *Infimy*.

Jużem się pod *Krewo* podbierał, i wjechałem w leśne i pagórkowate okolice, między któremi i samo *Krewo* sy-

[1]) Nazwisko okolicy kraju w powiecie Oszmiańskiej, zamieszkanej przez Tatarów.

tuowane, gdy postrzegłem po wzgórkach i dolinach rozrzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektóremi sadzawki, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowania gospodarskie mniejsze od pańskich, większe od okolicznej szlachty, z którą znam się od dawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wierzyczką cienką. Zdziwiłem się jednak, że i kapliczka i wieżyczka bez krzyża.

— Już blizko Bienica, — rzekł Jaś wiozący mnie — tylko półtory mili. To *Łostaje*.

— A cóż to za *Łostaje?*

— Tu na *Łostajach* mieszkają *Tatary*. Oto dworek pana rotmistrza *Ułana*, tamten pana porucznika *Baranowskiego,* tamtem przy meczecie, to ich *Mołny*, a ten przy naszej drodze, to największego ich Murzy, mojora *Amurata Bielaka*. My tu często bywało z tatulą na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

— Ha! — pomyśliłem sobie — więc niema po co do muzułmanów zajeżdżać. Mijaj — rzekłem do Jasia.

Mijaliśmy więc dworek pana *Amurata*, gdy on sam powracając z pola spotkał nas przed swojemi wrotami i — stój zawołał.

— Niech będzie... upadam do nóg! — zacząłem z nałogu dokończyłem postrzegłszy się.

— Na wieki wieków... kłaniam uniżenie! — odpowiedział uśmiechając się. — A dla czegoż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? boś pewnie z Bienicy.

— Spieszę — rzekłem — do klasztorn.

— Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicyusz w tych stronach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że muzułman zamknie ci wrota, albo powie:

fora ze dwora! A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzim się o wiarę, a na tym żyjmy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej *Witołdówki*, a zobaczysz, że kołdun tatarski wart bernardyńskiego brzucha.

Hora canonica zbliżyła się, wzmógł się apetyt, a jak na licho, lubię kołduny. Przyszło mi wprawdzie za myśl, że to tam u nich i młoda źrebięcinka uchodzi podobno; ale jednak nie bardzo temu wierząc, i szczeremu zaproszeniu odmówić nie mogąc zawróciłem we wrota.

Sam pan Amurat, lat z górą pięćdziesiąt mieć mogący, łysy jest, ale wąs ma zawiesisty, i nie po dworsku zakręcony i gumowany, a suty, siwy i obwisły, że mu aż gębę zakrywa. *Facies* przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* za szeroka, wydaje jego *progeniturę*. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w ręku harap myśliwski.

— Hej *Ajeszko!* zawołał wchodząc do sieni, a na to wybiegła w jubce tarletanowej młoda *et quidem* jak na tatarkę, ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, postrzegłszy mnie.

Oto moja jedynaczka rzekł pan major. — Nie lękaj się, córko! Mamy widzisz gościa, więc drugą kopę kołdunów wsyp do rądla. A tymczasem napijem się wódki. Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu! ale o wódeczce w Alkoranie *cyt!* A zatem my winu dajem *kwit*, a *wódeczkę* i *luleczkę* ciągniem sobie po troszeczkę. Proszę na tę stronę do mojej izby, bo tam po waszemu *klauzura*, a po naszemu *harem*.

— Jakto? — zapytałem — więc jegomość utrzymujesz seraj?

— Oho! przeląkłeś się! A gdybym i utrzymywał, co waści do tego? Wszak gdybyś w moich oczach jadł szynkę, jabym nic na to nie powiedział. Ale uspokój się, my doświadczyliśmy. że z jedną kobietą trudno często dojść ładu, cóż dopiero gdyby ich mieć tuzin! Tam stancya mojej córki i nic więcej; a jam wdowiec.

Weszliśmy więc do izby pana *Amurata*. Pierwsza obszerna; stół dębowy na środku, zedle naokoło. Druga maleńka, tam łóżko i na ścianie wojenny rynsztunek pana mojora. Między tym zdziwił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

— A co? kwestarzu! dziwisz się broni, z którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka, jest to łuk naszego przodka, *Kara Mirzy*, który długo wojując z Litwą, nakoniec gdy w bitwie jednej dowodził przeciw księciu Witołdowi, okryty ranami dostał się z wielką częścią swej ordy w niewolę. Poosadzał ich miłosciwy ten książe a waleczny rycerz, w różnych miejscach swojego kraju: w Niemieży, w Wace, a *Kara Mirza*, nasz przodek, dostał tu na *Łostai* ziemię. I książę nazwał go *Bielakiem*, naprzeciw imienia *Kara*, co znaczy w naszym języku *Czarny* [1]). Służył mu potem *Bielak* w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno to już było, panie bracie, bo przed laty czterystu, a może i więcej, plemie tatarskie rozmnożyło się na Litwie, i zawsze poczciwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku dochowujemy razem z ziemią jemu nadaną i łuk ten jego. Z głowy na głowę, dziedziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi ani łuku żaden

[1]) Podanie.

Bielak za miliony nie odda; a choć który *zholeje*, to składamy z ostatniego na zapomogę brata, byle nie wpuścić cudzego *intruza* między nas. Gospodarstwo u nas nie wielkie; często na *Bejram* ostatnia idzie pod nóż krowa; ale za to do *korda* każdy gracz; do trzech tatarowi nie gadaj: każdy od młodości prochu powąchał a tchórza i piecucha z tureckim abszytem wypędziliśmy z *Łostaj;* i żadna tatarka nie poszłaby do jego *haremu*, to się rozumie, nie wzięłaby go za męża.

Przy tym rozhoworze, pan major dostał flaszkę z policy i — do wasana — rzekł nalewając sobie spory kieliszek; a wychyliwszy do dna i ocierając wąsy rzekł: — *Tacto pectore* upewniam cię, że wyśmienita!

— *Tacto pectore!* a to co? — rzekłem zdziwiony — skąd łacina?

— Z ust szlacheckich, mospanie! bo chociaż w szkole nie bywałem, rózgi nie widziałem, ale przysłowiów poczciwych szlacheckich od dziadów i ojców uczymy się; a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy położywszy rękę na sercu powiedzięł tatar litewski: *tacto pectore*! to jakby na głowę Mahometa przysiągł. Nie chlubiąc się, krew ich we mnie płynie. Jestem synem generała Bielaka, którego znała cała Litwa... Dźgnij zatem bracie kwestarzu! bo przez ścianę słyszę, że wrą kołduny w ukropie.

Jakoż wnet weszła panna *Ajesza* z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosla runtową misę kołdunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiedliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego, rodzaj żeński osobno stołuje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panom swoim.

Wyśmienite! *magni saporis* kołduny! Odjeść się

i odchwalić się ich nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał. Jakoż misa się wypróżniła i popiliśmy dia *konkokcyi* wódeczką.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu po swojemu; pan major jakby tego nie widział: potem i jemu samemu; a po takim bankiecie, nie długo czekając, poszliśmy oba spać do odryny i już słońce dobrze na południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

— No, teraz, księżulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.

— A więc tu na Łostai nie widzieliście maroderów francuskich, kiedy jeszcze są barany?

— Oho! jakto? tak blisko traktu żyjemy, a więc zawitali oni i do nas. Doczekałem się w Witołdówce dawnych znajomych, bo poznałem się z francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień, to jest trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, pałasze i pistolety. Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście, codzień więc byliśmy gotowi na przyjęcie.

Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze trzydziestu; w odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków, z czem kto miał; z fuzyją, z siekierką, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło się wśród nich z narabowanemi rzeczami i z ich cielęcinkami. Gdy weszli w ulicę, spostrzegli nas na dziedzińcu — zastanowili się. Patrzaliśmy na siebie zdaleka. Oni się naradzali; a my nie ruszaliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę, co

widzisz, wygrodzoną ulicę i pominą moją zasadzkę w życie za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i *kupno* ruszyli ku nam.

Wzajemnie zakomenderowałem: *Dubeltówki z ramienia!* — i maszerowałem ku nim.

— *Russ?* — zawołali oni, podnosząc karabiny.

— *Tatar!* — odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a pałasze gołe wisiały u nas na temblakach na rękach.

— Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzye na plecy, pistolety z za pasa i *hojże* ku nim. Razem gwiznąłem przeraźliwie i rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu. Nie było im czasu do karabinów, albo do nasadzenia bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc: *Pardon!* albo *caput!* — a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula byłaby mu w sercu... Przerażeni, w mgnieniu oka pardonowali się i batalia wygrana. Zabraliśmy cały obóz i broń i samych rycerzy dostawiłem do *Oszmiany*. Rabowane rzeczy porozbierali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięzko wyszliśmy. W jednym z nich moją damascenką uciąłem dwa bagnety, jakby świeczki łojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie, i dla waści księżulu, bo ci barana dać mogę.

Jakoż i dał.

— A pokażno, dobrodzieju — rzekłem, wróciwszy do izby, gdy nam panna *Ajesza* kawę podała — ową *damascenkę*, którą bagnety jak świeczki rozcinasz.

— Skądże ta Bernardynowi *sympatia* do pałasza?

— Aj, bo go niegdyś, jako szlachcic, przy boku nosiłem.

— Oto go masz — rzekł, zdejmując z kołka i obnażając z pochwy. — To moja sukcesya po ojcu moim, generale Bielaku. Wart być obok łuku *Kara Mirzy*, bo był w ręku nieodrodnego odeń potomka.

— Prawda — rzekłem, — klinga prawdziwa turecka, ale osada i *furdament* nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział *Amurat*, — takie pałasze nosim przy boku i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?

Patrzyłem mu w oczy, które się nagle rozpłomieniły i rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce — to *klinga!* Szlachecka mowa i głowa — to *furdament!*

Wtem *Mołna* zaryczał na meczecie; pan *Amurat* szedł na modlitwę i pożegnaliśmy się *ad felix videndum!*

XXXV.

Elżutka.

Szło pod zachód słońca, gdym się wybrał od tego zacnego muzułmana. — Połtory mili przebędę łatwo — pomyślałem sobie — jedna tylko ciężka będzie *rappa*, to jest, kilka staj wielkiego gościńca. A nuż tam spotkam *se bon kamrat!* to jedna chwila całej kwesty, a szczególniej baranów, pozbawić mię może. Co do złotka — myślałem — zjedzą dyabła.

Powstając więc coraz na kałamaszce, rozpatrywałem

się pilnie na wszystkie strony, jak żóraw. Wjechałem na gościniec. Już mi widać kopułkę kościoła Bienickiego. Chwałaż Bogu! Podjeżdżam pod jakąś pustą karczemkę... aż tu z niej jak wysypie się kilkunastu kamratów — bądźcież zdrowe barany!!

Jakoż wnet w moich oczach, *prewodyr* i kilka przy nim legło na placu pod bagnetami tych rycerzy. Poczciwy baranisko! przyzwyczaiłem go do rąk, biegł na zawołanie, a nazywałem go *Jonasz*. Zabeczał biedny tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Gdziekolwiek byłem kwestarzem, zostawiałem zawsze moim następcom pięknie ułożonych prewodyrów i częstokroć to tylko jedni przyjaciele, którzy się po mnie tam zostali i jedni, których żałowałem.

Z wielkim hałasem zaprowadzono i mnie do pustej stodoły, a tam nastąpiła rewizya kałamaszki, a potem i mnie samego.

— *Latrones estis!* — krzyczałem, ale ci, zapalczywsi od pierwszych, tuzali mnie bez ceremonii. Pozbyłem kapelusza, paska, nawet i butów. — Dobrze mi tak — pomyślałem, — a czemu, podług reguły, nie noszę trepków?

Inni łupili ze skóry barany, inni rozkładali ogień.

Lecz jeden, wpatrując się we mnie czas niejaki, roześmiał się i klepiąc po ramieniu, zawołał: — *A, kamrat! Vilna, Osmana* — słowem, pokazywał, że mnie zna.

Ha! — pomyślałem znowu — ponieważ to jeden z moich dawnych znajomych, więc mnie przecie zaproteguje. — Uścisnąłem go z afektem i on mnie. Potem prawił im widać historyę naszej wędrówki i popasu w *Miednikach*. Słuchali, uśmiechali się, ruszali ramionami. Nakoniec, jakby przypomniał rzecz ważną, zacny

narrator odwrócił się nagle do mnie i krzyknął: *Kamrat! tobak!*

Zmięszałem się. Poznał francuzisko mój kłopot; szust rękę do mojej kieszeni i wyjął tabakierkę, odemknął, traktował wszystkich i mnie samego, a potem *Herod* postawił swój kaszkiet na ziemi, wytrząsł nań tabakę, a z nią i dukaciki i kilka rubelków wysypało się... *Obstupuerunt* łotry, a ja z biedną miną stałem jak *delinkwent.*

Wnet łapczywie rzucili się na złoto; ale wynalazca tej *minery* przystąpił do sprawiedliwego podziału: sobie wziął za piękne odkrycie dwa czerwone złote, a każdemu dał po jednym; gdy nie stało złota, dzielił rublami, mnie pytając się na migach wiele rubli za dukat należy. Po takiej dzielance, która spokojnie i przystojnie odbyła się, zebrał skrupulatnie tabakę do tabakierki i mnie oddał. — *Bon! bon! se bon kamrat!*

Ledwo się ta bolesna dla mnie operacya skończyła i jeszcze nie naśmieli się dosyć i nie nacieszyli się szubrawcy z tego obłowu, gdy tentent koni dał się słyszeć na dworze i — stój! — zawołał głos mocny. Wybiegli Francuzi i ja z nimi. Kilkadziesiąt koni ułanów i oficer na ich czele zatrzymało się przed karczmą.

Oficer zagadał do nich po francusku. Coś mu odpowiedzieli. A on do swoich: To właśnie ptaszki, których zbierać i pędzić do Mińska mam ordynans — marodery i rabusie, otoczyć ich!

W mgnieniu oka rozkaz ten spełniono. Już nawet nie mogli wrócić do stodoły, gdzie, gdyby broni dopadli, pewnieby wydali batalię, miarkując po ich złości, dąsaniach się i przekleństwach.

— A co tu między maroderami robisz? księże Bernardynie? czy rabujesz razem z nimi?

— Owszem, dobrodzieju! jestem zrabowany przez nich. Ubogi kwestarz z klasztoru Bienickiego, którego oto spostrzegasz dobrodziej przed sobą. Jeździłem po świecie, aby coś zebrać na ogłodzony nasz konwent; jakoż Pan Bóg pobłogosławił i z kilkanaście baranów, a najbardziej kilkanaście dukatów w gotówce wiozłem kościołowi na wsparcie, gdy oto przejęli mię ci waleczni rycerze i obrali ze wszystkiego. Goły i bosy, bo mi i buty zdjęli, powrócę teraz do głodnych braci moich.

Krzyknął jak lew rozjuszony na Francuzów oficer, że aż ja zadrżałem; a gdy ci krnąbrnie coś mu odpowiadali, wyrwał pałasz z pochew i kiedy nie zacznie okładać płazem bez różnicy, którego napadł, jak huknie na ułanów, a ci w toż samo... Widzą rabusie, że kuso koło nich. — *Pardon! pardon!* — zaczęli wołać i składali oficerowi moje dukaty.

— Czy wszystkie? — zapytał on, oddając mi garść złota.

— Zapewne wszystkie? — odpowiedziałem, nie licząc — bo Bóg tam z nimi nareszcie.

— Nie wszystkie — rzekł on, — bo oto masz jeszcze jednego — dając mi własnego czerwieńca *cum effigie Bonapartego.*

— *Deus te benedicat,* młodzieńcze! — zawołałem. — I tę twoją własną ofertę i zebraną od ludzi dobroczynnych, już teraz mam z twojej łaski. Modlić się gorąco będziemy do Boga za twoją fortunę i zdrowie. A może też raczysz wstąpić na noc do naszego klasztoru, jeżeli w tamtą stronę Pan Bóg prowadzi. Właśnie byłoby w czas

— Mam też w *marszrucie* — odpowiedział — nocleg zapisany w Bienicy, więc ochotnie twe zaproszenie przyjmuję i ruszajmy. — Chłopcy! kilku z koni! poskładać porznięte barany na furgony. Odwieziemy je do klasztoru, a ojcowie i dla nas nie pożałują jednego na wieczerzę.

— Z całego serca i na wieczerzę i na drogę. Ale ja mam i moją kałamaszkę w stodole, którą mnie także skonfiskowali ci dobrodzieje; więc teraz powracając do mojej własności, dowiozę na niej pobite moje barany do klasztoru, nie obciążając pańskich bagażów.

— I owszem — rzekł oficer. — A teraz zabrać broń maroderów, ich wziąć w środek, a jeżeliby który się upierał, płazem! choć nie szkodziłoby i rębem: tylko że ja mojej *Elżutki* nie chcę poniewierać na szyjach tych podłych rabusiów, niegodnych imienia żołnierzy. — I schował szablę do pochew.

Elżutka! coś mi przebiegło po głowie jak błyskawica. *Elżutka*! Spojrzałem na tę szablę — osada staroświecka... zdaje mi się znajoma. Spojrzałem na samego oficera — twarz młoda, przystojna, ale także jakbym go gdzieś widział, albo podobnego jemu.

Tymczasem Francuzi mrucząc wkładali swoje cielęcinki, a ułani przypędzali ich grzecznie płazami.

— Dlaczego się we mnie tak wpatrujesz? księże kwestarzu! — zapytał oficer.

— Daruj — rzekłem nieśmiało i drżącym od jakiegoś nieznanego mi dotąd wzruszenia głosem — daruj, zacny wojowniku, że się zapytam: czyli to twoją szablę nazywasz *Elżutką?* i jeżeli tak, od kogo ją masz?

— Tak — rzekł — to moja żonka *Elżutka*, a wierniejsza i lepsza od wielu żonek, bo mi wierną będzie do śmierci; strzeże pilnie mego zdrowia, życia i nieraz mi

już to oboje uratowała. A zaręczył mię z nią ojciec mój; bratu memu starszemu dał za przyjaciela i *sekundanta Harasima*, mnie za towarzyszkę *Elżutkę*.

— To więc ty jesteś — mówiłem, patrząc nań łzą nabiegłem a niepewnem jeszcze okiem — to więc ty jesteś Władyś *Swieboda*, syn *Stanisława*!

— Skąd mię znasz? księże! co to znaczy? — I zsiadł z konia.

— Na ręku cię mojem nosiłem. Byłem najlepszym przyjacielem ojca twojego za jego życia, modlę się codzień za jego duszę po śmierci. Tę szablę jam mu odesłał na pamiątkę, sam wdziewając ubogą zakonną sukienkę...

— A więc ty jesteś Michał Ławrynowicz! — zawołał on. — Tak! przypominam cię jak przez sen!... Tyś towarzysz młodości ojca naszego... o którym tylekroć nam rozpowiadał, którego kochał aż do śmierci, do którego tęsknił zawsze... a oddając mi nawet tę szablę i wyprawując na świat z błogosławieństwem rodzicielskiem i łzami, jeszcze cię wspomniał!... A więc to ty jesteś?

— Ja! — rzekłem — ja sam!

Młodzieniec rzucił się w moje objęcia.

KONIEC.

OBJAŚNIENIA

DO CZĘŚCI DRUGIEJ.

Str.	Wiersz	
5	9:	*duższy* = silniejszy.
5	24:	*rankor* = gniew.
8	6, 7:	*gemeini* = prości żołnierze.
8	16, 17:	*determinativus* = śmiały.
8	22:	*wexując* = lżąc.
10	28:	żelazny list dawali królowie skazanym za wielkie zbrodnie, gdy ci chcieli się przed sądem uniewinnić.
13	4:	*swory* lub *sfory* = rzemienie na psy gończe.
14	3:	*per modum* = na sposób, niby.
15	2:	*odryna* = stodoła.
15	25:	*wieża fundowa* = z lochem.
17	21:	*quo ad horam* = co do godziny.
18	12:	*horret animus* = wzdryga się dusza.
18	20:	*indukować* = wprowadzić.
18	30:	*deprekacya* = przeproszenia i wynagrodzenia krzywdy.

Str.	Wiersz	
19	10:	*In triduo* = w ciągu trzech dni.
9	25:	*suspendować egzekucyę* = zawiesić wykonanie.
20	1:	*cyrkumstancya* = okoliczność.
20	3:	*directe* = wprost.
20	3, 4:	*indirecte* = ubocznie.
20	8:	*rapt* = gwałt, porwanie.
20	19:	*insperate* = niespodzianie.
21	8:	*certamentach* = sporach.
22	12:	Stało się to 12 lutego 1760 r.
23	1:	*wolej* = raczej.
23	17, 18:	*Requiem aeternam dona ei Domine* = Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.
24	4:	*jure* = prawnie skazany.
27	10, 11:	*particularitatis* = szczegóły.
33	22:	*Buzyrys* = starożytny król egipski, głośny ze srogości.
38	2:	*przynuka* = zachęcanie do jedzenia i picia.
38	24:	*humillime* = bardzo pokornie.
40	3:	*Carissime* = najdroższy.
40	23:	*re et nomine* = i z istoty i z nazwiska.
40	25:	*dywidendę* = podział.
47	9:	*formosa puella* = przystojna panna.
47	9, 10:	*circa connubium* = o małżeństwie.
48	16:	*tenutor* = dzierżawca.
49	14:	*hohol* = dryblas.
50	27:	*żelozya* = jalousie = zazdrość.
51	29:	*taki* = przecież.
55	14:	*salva* = ocalenie.
56	23:	*Hospes venit, Christus venit* = Gość przyszedł, Chrystus przyszedł, czyli: Gość w dom, Bóg w dom.

Str.	Wiersz	
56	27,28:	*Hospes non invitatus recedit saepe ingratus* = Gość nieproszony, odchodzi często niezadowolony, czyli: kogo nie proszą, tego kijem wynoszą.
57	9:	*cui quod debet* = co komu należy.
57	12:	*feller*, *Fehler* = omyłka.
57	17:	*peritus rei* = biegły, doświadczony.
57	20,21:	*feruła* = linia; *preceptor* = nauczyciel; *z pod feruły preceptorskiej* = z pod karności szkolnej.
57	22:	*szerm*, *szyrm* = sposób postępowania, obycie się.
58	5:	*Cerera* = bogini gospodarstwa rolnego; *Wenera* = bogini piękności.
58	5, 6:	*olimpijski dziardyn* = ogród bóstw mitologicznych, siedzących, wedle podania, na górze Olimpie.
58	26:	*Inutilis quaestio solvitur silentio* = na niepotrzebne pytanie najlepszem jest milczenie.
60	5:	*generis masculini* = rodzaju męskiego.
61	7:	*farmazon* = *francmaçon* = wolnomularz.
61	19:	*Fulminuję* = piorunuję.
64	19:	*non derogando* = nie ubliżając.
65	11, 12:	*sentencyj* = zdań moralnych.
65	26:	*jure victi* = pokonani prawem.
65	29:	*remissa* = odłożenie na później.
65	31:	*beatus qui tenet* = szczęśliwy, kto trzyma.
66	3:	Nie *beatus*, ale *maledictus qui tenet injuste* = nie szczęśliwy, ale przeklęty, kto zatrzymuje niesprawiedliwie.
66	24:	*Deo gratias* = dzięki Bogu.

Str.	Wiersz	
67	5, 6:	*praeter propter* = mniej więcej.
67	25:	*et id genus* = i tym podobnych.
69	10,11:	*perdere causam* = zgubić sprawę.
69	20:	*cum duplici* = podwójnie.
69	31:	*obsedował* = naciskał, oblegał.
70	4:	*manudukcya* = przewodnictwo, kierownictwo.
70	21:	*Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum* = daje dobrze, daje wiele, kto wraz z podarkiem miłą twarz ukazuje. Zob. Część I Pamiętników, str. 76, sentencya 37.
72	26:	*Timeo Danaos et dona ferentes* = lękam się Danajczyków (Greków), choćby dary przynosili.
72	27:	*Kes? kes? kes?* = *qu' est-ce, que c'est* = co to jest?
73	10:	*allokucyę verbum de verbo* = przemowę słowo w słowo.
75	4:	*Casus fatalis* = nieszczęśliwy wypadek.
76	23:	*osieliczkę* = łączka.
77	31:	*bukisz* = uderzenie rogami.
80	9:	*certament* = sprzeczka.
81	5:	*Porcyunkuła* = uroczystość św. Franciszka z Assyżu.
82	10:	*Et haec facienda, et illa non omittenda* = i to robić należy i tamtego nie pomijać.
83	3:	*ibidem* = tamże (t. j. u św. Pawła w liście do Rzymian).
89	4:	*Salve Frater amantissime* = witaj, bracie najukochańszy.
89	11:	*munificencya* = szczodrobliwość.

Str.	Wiersz	
89	21:	*Caetera ad coram* = o innych rzeczach na osobności.
89	24:	*Post silentium* = po czasie milczenia.
90	6:	*Bene, valde bene!* = dobrze, bardzo dobrze!
91	21:	*Antokol* = nazwa przedmieścia w Wilnie.
91	30:	*Zakret* = jedna z pięknych, lesistych okolic Wilna.
92	15:	*tercyarz* = człowiek świecki, wpisany do zakonu św. Franciszka, obowiązany do pewnych modlitw.
92	25:	*futurum* = czas przyszły.
92	25:	*tempus praesens* = czas teraźniejszy.
92	28:	*ut fert fama* = jak wieść głosi.
92	30:	*materia gravis* = sprawa ważna.
92	31:	*ekwanimia* = opinia, zdanie.
93	5:	*preciosa* = kosztowności.
93	18:	*signum pro re signata* = znak za rzecz oznaczoną.
93	28:	*merita* = zasługi.
94	2:	*emeritus* = wysłużony.
94	4, 5:	*inseparabiles* = nierozłączni.
94	27:	*Fiat voluntas Dei* = niech się dzieje wola Boża.
94	29:	*Junii* = czerwca.
96	1:	*Subintelligitur* = łatwo pojąć.
96	9:	*v. s.* = *veteris styli* = starego stylu, według kalendarza juliańskiego.
98	6:	*konsyliarz* = doradca.
98	25:	*retro* = z powrotem.
99	19:	*locum standi* = miejsce do stania.
100	23,24:	*interregnum* = bezkrólewie.

Str.	Wiersz	
100	27:	*obstupuerunt* = osłupiały.
101	21:	*summatim* = pokrótce.
101	27:	*speranda* = nadzieja.
103	17:	*caput* = głowa.
103	26:	*expedite* = wybornie.
105	13:	*moderunek* = ubiór i uzbrojenie wojskowe.
105	24:	*horrendum* = widok okropny.
106	6:	*kryzrechtem* = *Kriegsrecht* = prawo wojenne, sąd wojenny.
106	9:	*in extremis* = w ostatniej chwili życia.
107	20:	*rum* = miejsce wolne.
108	13,14:	*Wiwlamperer* = *vive l'empereur* = niech żyje cesarz! (Napoleon).
108	24,25:	*Nunc dimittis, Domine! nunc dimittis* = teraz puścisz, Panie! teraz puścisz.
109	26:	*Digitus Dei hic est* = jest tu palec Boży.
109	30,31:	*Fiat voluntas Tua Domine* = wola Twoja Panie niech się stanie.
110	13,14:	*de puro grano* = z czystego ziarna.
112	5:	*partykułę* = cząstkę.
112	13,14:	*kondemnata* = zarzut co do jakiegoś nieprawnego postępku.
113	29,30:	*secundum regulam nostram* = według ustawy naszej.
119	23,24:	*Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio* = Nie rozumiem po francusku, mów po łacinie.
120	1—3:	*Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum, Bienitiam proficiscor* = Jestem z zakonu Bernardynów, idę do Bienicy.

Str.	Wiersz	
120	18, 19:	*Non possum, senex et debilis sum* = Nie mogę, jestem stary i słaby.
125	27:	*konflagracie* = spaleniu.
128	23:	*fulminował* = piorunował.
128	26, 27:	*Et crux triumphabit super aspidem et basiliscum* = I krzyż zwycięży węża i smoka.
129	26:	*Simplex Dei amicus* = prosty przyjaciel Boga.
129	29:	*sapientia* = mądrość.
130	4:	*Panem nostrum quotidianum careo* = brak mi chleba naszego powszedniego.
130	13:	*impedimentum grave* = ważna przeszkoda.
131	26:	*Nego* = przeczę.
132	3:	*Mirabilia* = cudowności.
132	16:	*Ad felix videndum* = do szczęśliwego zobaczenia.
132	21:	*corona asinorum* = ośla czapka.
132	25:	*benedykuję* = błogosławię.
135	12:	*Pandemonium* = zgromadzenie wszystkich dyabłów.
139	1:	*Ave Maria, gratiae* = Zdrowaś Maryo łaskiś pełna i t. d.
139	17:	*cum apertis manibus* = z otwartemi rękami.
139	24:	*quondam* = niegdyś.
140	2, 3:	*Anno millesimo septingentesimo...* = w roku tysiąc siedmset...
140	31:	poszedł *ad patres* = poszedł do ojców, umarł.
141	8:	*non licet mihi* = nie przystoi mi.
145	22:	*Horret animus* = dusza się wzdryga.
150	22:	*Pastor bonus* = dobry pasterz.
151	20:	*Qualis vita, et mors ita* = Jakie życie, taka śmierć.

Str.	Wiersz	
151	30:	*ex inferno nulla redemptio* = z piekła niemasz wybawienia.
155	28:	*luleczka* = fajka.
161	18:	*Latrones estis* = łotry jesteście.
162	8:	*Obstupuerunt* = osłupieli.
163	24:	*cum effigie* = z wizerunkiem.
163	26:	*Deus te benedicat* = Niech cię Bóg błogosławi.